eprasa.pl 86d7586509

plus polsat box

Światłowód + Telewizja

od **19** zł /mies.

przez rok po rabatach

Od 13. mies. 70 zł/mies. z rabatami,
od 25. mies. 99 zł/mies. z rabatem.
Światłowód S – do 300 Mb/s,
Telewizja Pakiet S – 57 kanałów.

Umowa na min. 24 mies.

Opłata abonamentowa może być wyższa o kwotę 26 zł/mies. w zależności od dostępnej infrastruktury oraz typu zabudowy budynku.

Dotyczy prezentowanych ofert łączonych dla nowych Klientów na min. 24 mies. **Światłowód Plusa S** z rabatami (e-faktura, smartDOM i specjalny) 19 zł/mies. przez 12 mies., od 13. mies. 40 zł/mies. z rabatami (e-faktura i smartDOM), od 25. mies. 59 zł/mies. z rabatem (e-faktura). Rabaty mies.: e-faktura 10 zł, specjalny 21 zł, smartDOM 9 zł. Szczegóły w cenniku z grupy ofert „Plus Internet Stacjonarny – oferta łączona" na plus.pl. **Telewizja Polsat Box Pakiet S** przez pierwszy rok bez opłat, w drugim roku 30 zł/mies., potem 40 zł/mies. Zwolnienie z opłat nie obejmuje innych pakietów oraz opcji dodatkowych ani opłat jednorazowych za dekoder. Liczba kanałów uwzględnia kanały niegwarantowane. Min. prędkości 8 Mb/s dla kanałów HD i 25 Mb/s dla kanałów 4K na dekoder. Szczegóły w cennikach i regulaminie na polsatbox.pl. **Aby skorzystać z rabatu** smartDOM, należy dotrzymać warunków tego programu i wyrazić zgodę na przekazywanie danych pomiędzy Cyfrowym Polsatem S.A. a Polkomtelem Sp. z o.o. Szczegóły w regulaminie „smartDOM 5 – Telewizja, Internet, Telefon" na polsatbox.pl i plus.pl

eprasa.pl 86d75865c9

W imieniu narodu

Od 13 grudnia ub.r. nie ma dnia, by wolny, dumny, kochający Rzeczpospolitą obywatel nie musiał się wstydzić za jej obecne władze. Ostentacyjna rezygnacja z ambicji utrzymywania suwerenności, rosnące patologiczne wpływy ościennych mocarstw, podeptanie konstytucji, ustaw i najważniejszych instytucji demokratycznych, dewastowanie budżetu, nagradzanie ludzi mających na koncie lżenie obrońców ojczyzny – to wszystko przedstawia bardzo smutny obraz.

Jego częścią jest stosunek władzy i jej propagandy do tragedii smoleńskiej z 10 kwietnia 2010 r. Rozpoczęto prześladowania ludzi, którzy po 2015 r. podjęli trud jej wyjaśnienia, rozpędzono komisję, która jako pierwsza podjęła oczywiste w cywilizowanym świecie badania naukowe, powrócił przemysł pogardy wobec ofiar. Rządzący znów powielają rosyjskie kłamstwa, typowo sowieckie manipulacje zakładające, że to ofiary są winne zbrodni. Z całego pakietu oczywistych zbrodni putinowskiego reżimu dokonanych za granicami Rosji i wewnątrz, przed wielu laty i zaledwie wczoraj, tylko tę jedną się wyłącza. Putin zabija nawet w Wielkiej Brytanii, putinowscy najeźdźcy mordują i gwałcą na Ukrainie, to reżim zdolny do wszystkiego – ale w Smoleńsku na pewno (jak twierdzą) zamachu nie było.

Te kłamstwa i manipulacje obrażają rozum i uczucia. Bo są dowodem, iż ci ludzie dla politycznego zysku w kraju są gotowi posunąć się do odpuszczenia zbrodni na narodowej elicie ze śp. prezydentem Lechem Kaczyńskim na czele. Tu właśnie zbrodniczy charakter putinowskiej władzy nagle znika, tu oczywista dzisiaj bolszewickość współczesnej Rosji nagle jest negowana. Czy fakt, że obecnie rządzący wcześniej tak łatwo dali się okłamać i oszukać Putinowi, że tyle lat inwestowali w kłamstwa i dziś nie umieją się zmierzyć z prawdą, jest jakimkolwiek usprawiedliwieniem? Nie. W sprawie tej wagi to nie może być uznane. Tym bardziej że i ze świata coraz częściej płyną sygnały o pełnej świadomości, że w Smoleńsku dokonano zamachu na polskiego prezydenta.

Ten najwybitniejszy mąż stanu wolnej Polski, polityk dzielny i mądry, zawsze szedł drogą bezkompromisowej służby Rzeczypospolitej, wierności dziedzictwu Solidarności i złożonej prezydenckiej przysiędze, czego cyniczni politykierzy biorący sakiewki od obcych ambasadorów i medale w Berlinie nigdy nawet nie pojmą. Rozumiał i głośno nazywał zagrożenia stojące przed Polską, gdy przytłaczająca większość elit popadła w infantylizm i cynicznie propagowała bzdury o niemieckiej troskliwości, która zapewni nam bezpieczeństwo. Robili to, kiedy niemieckie pieniądze przekazywane za rosyjskie nośniki energii budowały siłę rosyjskiej armii. W latach, gdy kolejne gazociągi na dnie Bałtyku zaciskały pętlę na ukraińskiej szyi i zwiększały zagrożenie dla naszej ojczyzny.

To śp. Lech Kaczyński zatrzymał ruskie czołgi pędzące na Tbilisi, to on budził państwa naszej części Europy. To dzieło kontynuował premier Jarosław Kaczyński, który przekazując setki czołgów i tysiące sztuk innego sprzętu, uratował Ukrainę w pierwszych dniach po pełnoskalowym putinowskim najeździe. Wdzięczności nie było, Zełenski przyłączył się do obalania Prawa i Sprawiedliwości (więcej o tym na str. 27–29), ale wszystko, co wtedy zrobiliśmy, było słuszne.

Dziś okrutna i głupia władza wysyła policjantów, by jej bojówki mogły składać pod pomnikiem Ofiar Tragedii Smoleńskiej w Warszawie obrzydliwy wieniec, po sowiecku przypisujący sprawstwo tragedii jej ofierze. Ta sama władza prześladuje prezesa Jarosława Kaczyńskiego odebraniem immunitetu za to, że zerwał haniebną tabliczkę. Dotąd wolna Polska widziała zaledwie kilka takich podłości, a to jest jedna z największych.

Te obrzydliwe tabliczki są nie tylko pluciem na groby ofiar – są pluciem całemu narodowi w twarz. To powiedzenie przez władzę, że jest tak silna i tak zewnętrzna, że może szargać każdą świętość, podeptać każde uczucie. I co najważniejsze, że nigdy, w żadnym wypadku nie zatrzyma jej właściwe cywilizowanemu człowiekowi samoobrzydzenie.

Dziękuję prezesowi Jarosławowi Kaczyńskiemu, że stanął w obronie godności nie tylko śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego, lecz także całego narodu. Liczę, że to zadanie podejmą także inni.

Michał Karnowski

Reklama | 12/0324/F

eprasa.pl 86d75865c9

SIECI

spis treści

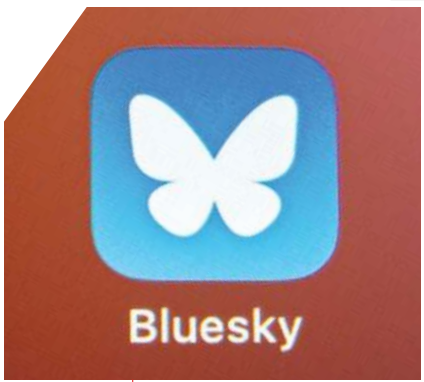

30 Bańka lewych hejterów
Marek Pyza

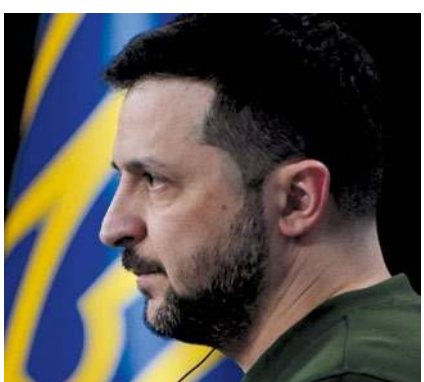

42 Desperacka oferta
Jan Rokita

56 Co upamiętnia polski hymn?
Stanisław Płużański

NA POCZĄTEK

5 **KADENCJA JULII PRZYŁĘBSKIEJ**
Bronisław Wildstein

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **KOLEGOM TUMANOM**
Krzysztof Feusette

9 **ŁAPAĆ ZŁODZIEJA**
Dorota Łosiewicz

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **PAN PRAWORZĄDNOŚĆ I BRUDNA PRALNIA**
Daniel Obajtek

13 **NIELEGALNI LEGALNI**
Marta Kaczyńska-Zielińska

14 **WALIZKA EDIEGO PYRKA**
Michał Korsun

16 **NIEMOŻLIWY SOBIESKI**
Jan Pietrzak

16 **TUSK KAŻE, SŁUGA MUSI**
Samuel Pereira

17 **NIESPEŁNIONY KAMIEŃ MILOWY REYNDERSA – UCZCIWOŚĆ**
Arkadiusz Mularczyk

18 **KARUZELA FUNDACYJNA**
Ryszard Makowski

TEMAT TYGODNIA

19 **Z JULIĄ PRZYŁĘBSKĄ**
rozmawiają Jacek i Michał Karnowscy

KRAJ

24 **POJEDYNEK GENERAŁÓW**
Stanisław Janecki

27 **DLACZEGO ZEŁENSKI PRZYŁĄCZYŁ SIĘ DO ATAKU NA RZĄD PiS?**
Z Przemysławem Żurawskim vel Grajewskim rozmawia Piotr Gursztyn

30 **BAŃKA LEWYCH HEJTERÓW**
Marek Pyza

33 **TRANSPORT ODDAM W CUDZE RĘCE**
Konrad Kołodziejski

36 **Z MAGDALENĄ SZEFERNAKER**
rozmawia Dorota Łosiewicz

40 **JAKI KOŚCIÓŁ ZBUDUJE NOWY METROPOLITA WARSZAWY?**
Goran Andrijanić

ŚWIAT

42 **DESPERACKA OFERTA**
Jan Rokita

46 **ROSYJSKA WOJNA Z EUROPĄ**
Marek Budzisz

49 **EUROPEIZACJA NATO?**
Jan Parys

50 **WYMIANA LUDÓW**
Dariusz Matuszak

52 **KANDYDAT Z TIKTOKA**
Aleksandra Rybińska

HISTORIA

54 **KONSPIRACYJNE FAKTY I MITOLOGIE**
Maciej Walaszczyk

56 **CO UPAMIĘTNIA POLSKI HYMN?**
Stanisław Płużański

SIECI KULTURY

59 **DWOJE LUDZI Z SANKAMI**
Jolanta Gajda-Zadworna

62 **I TO JEST WŁAŚNIE FANTASTYCZNE**
Robert Tekieli

63 **WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli

64 **KOKTAJL KULTURALNO-POLITYCZNY**
Maciej Walaszczyk

GOSPODARKA

66 **GOSPODARCZY EKSPERYMENT CZŁOWIEKA Z PIŁĄ**
Stanisław Koczot

PODRÓŻE

68 **MOJE SZLAKI: MAREK KRAJEWSKI**
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

69 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

70 **ANODINA W POLSKIEJ POLICJI**
Wojciech Reszczyński

71 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

72 **OBLĘŻENIE**
Aleksander Nalaskowski

73 **ARMIA CZERWONA Z CYPRU, MILCZĄCA UEFA I POLAK Z JAJAMI**
Ryszard Czarnecki

74 **SPITFIRE I HISTORYCZNE BŁĘDY**
Andrzej Zybertowicz

eprasa.pl 86d75865c9

BRONISŁAW WILDSTEIN

Kadencja Julii Przyłębskiej

Na mównicę wychodzi prezes Trybunału Konstytucyjnego. Grupka posłów z rządzącej koalicji usiłuje ją zakrzyczeć. „Kucharka prezesa!" – to chyba najczęściej intonowany epitet. Mimo to sędzia uśmiecha się i mówi spokojnie: „Nie mogą mnie państwo obrazić ani wyprowadzić z równowagi. Wydaje się wam, że potęgując określoną narrację, przekształcicie ją w prawdę. To się wam nie uda. Fakty pozostaną faktami, a tekst konstytucji nie zmieni się od waszych pokrzykiwań. Wasze usiłowanie jej zmiany poprzez uchwały uderza w państwo prawa, a próba rządów za ich pomocą niszczy demokrację".

Te kluczowe uwagi ostatniego wystąpienia Julii Przyłębskiej w Sejmie podsumowywały wymierzoną w nią kampanię, a jednocześnie ostatnie dekady polityki w III RP. Uwaga Jarosława Kaczyńskiego, że jest wspaniałą panią domu, stała się pretekstem do nazywania prezes TK kucharką prezesa. To przykład dezawuowania przeciwników ze strony establishmentu, który reprezentują obecnie rządzący. To także metoda niszczenia demokracji i autorytetu państwa.

Teraz, kiedy kadencja Przyłębskiej skończyła się, warto się jej przyjrzeć.

W 2015 r. Sejm mianował awansem pięciu członków TK, pomimo że kadencje ich poprzedników kończyły się już po wyborach, które odbyły się parę tygodni później. Nowy Sejm zakwestionował decyzję poprzedników i powołał kolejnych pięciu sędziów. TK zgodził się na dwóch z nich, ale wybór trzech uznał za nieprawny. Wobec Przyłębskiej nie podnoszono żadnego sprzeciwu. Tak było również z mianowaniem jej na prezesa. Nawet niechętny Przyłębskiej wiceprzewodniczący Stanisław Biernat oświadczył, że należy się z tym pogodzić.

Ale establishment nie zaakceptował uszczuplenia swojej władzy. Pieszczoszka PRL, była sędzia TK Ewa Łętowska stwierdziła, że nowa prezes ma „bardzo kruchą legitymację". Andrzej Rzepliński posunął się dalej, stwierdzając, że Przyłębska nie została wybrana prawidłowo, ponieważ... nie poinformowała w trakcie mianowania, że ileś lat wcześniej otrzymała negatywne opinie od wizytatorów sędziowskich. Były prezes nie dodał, że opinie te nie wpłynęły na jej awanse w poznańskim sądzie. Konflikt Przyłębskiej z częścią tamtejszego establishmentu wydaje o niej jak najlepsze świadectwo, gdyż był efektem jej nieustępliwości w tropieniu afery, w którą uwikłana była miejscowa socjeta.

Mnożące się zastrzeżenia, które obrońcy dawnego układu wysuwali przeciw nowej przewodniczącej, z czasem przekształciły się w stałą kontestację. Ogłoszono, że prezes została wybrana nieprawidłowo, ponieważ TK nie przedstawił uchwały, w której poparł jej kandydaturę. To, że sam wybór miał charakter uchwały i wszyscy poprzedni prezesi wybierani byli w ten sposób, nie miało znaczenia. Tezę, że Przyłębska została wybrana „nieprawnie", bez sprawdzenia powtarzały jako oczywistość najważniejsze instytucje UE.

Podobnie było z najgłośniejszym wyrokiem TK pod przewodnictwem Przyłębskiej, który dotyczył aborcji eugenicznej. Jego przedstawienie to studium manipulacji. Był on powtórzeniem postanowienia trybunału pod przewodnictwem Andrzeja Zolla z 1997 r., gdyż w oparciu o konstytucję nie można było orzec niczego innego. Wbrew lamentom zwolenników aborcji, kobieta w ustawodawstwie polskim nigdy nie ponosi za nią prawnej odpowiedzialności, a legalnie można jej dokonać, gdy ciąża jest efektem czynu zabronionego albo stanowi zagrożenie dla życia lub zdrowia ciężarnej. Niezgodnie z propagandą ówczesnej opozycji werdykt TK był politycznie nie na rękę PiS. Wszystkie te fakty zagłuszyło wycie Lempart i jej czeredy.

Rozstrzygnięcie o nadrzędności polskiej konstytucji nad instytucjami europejskimi, które ogłosił TK pod przewodnictwem Przyłębskiej, także było powtórzeniem jego wcześniejszych wyroków. Sygnowali je ówcześni prezesi. Teraz atakują oni Przyłębską, przekreślając swoje motywowane zasadami postępowanie na rzecz politycznego zaangażowania i występując jako rzecznicy oligarchii III RP. Próba „reformy" TK dziś to usiłowanie przejęcia go na powrót przez establishment i trwałego zablokowania demokracji, czego byliśmy świadkami w latach 2005–2007, kiedy konstytucyjny sąd sytuował się w roli nadparlamentu, wetując ustawy niewygodne dla właścicieli III RP.

Trybunał pod przewodnictwem Przyłębskiej był zaprzeczeniem takiego podejścia i kastowego stosunku do wymiaru sprawiedliwości. Cechował się wstrzemięźliwością i mógł stać się wzorem dla tego typu instytucji na Zachodzie, które cierpią na aktywizm uderzający w zasady parlamentaryzmu i państwa prawa. Przyłębska płynęła pod prąd, odmawiając propagowania występującej pod szyldem praw człowieka ideologii, która służy betonowaniu oligarchicznego ustroju.

Dlatego stała się jedną z najbardziej atakowanych postaci życia publicznego w III RP. W jej historii ma jednak Przyłębska miejsce jako prezes TK, który najpoważniej potraktował swoją rolę jako strażnika konstytucji i praworządności w Polsce.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 86d75865c9

Sygnalista nadaje

„Nie znamy autorów raportu, a publikując go, nie przesądzamy, czy wszystkie zawarte w nim dane są prawdziwe" – od dzisiaj to zdanie będzie służyło za motto naszej rubryki. Zawdzięczamy je „Gazecie Wyborczej", która tymi słowami uzasadniła publikację anonimowego kwitu, który od dłuższego czasu krążył wśród polityków i redakcji. „Wyborcza" słyszała o nim wcześniej, ale nie widziała i bardzo pragnęła zobaczyć. Wreszcie ktoś zlitował się nad nieszczęsnymi pracobiorcami spółki Agora i podesłał im PDF z 70 slajdami. Co do treści, to państwo już wiedzą – jest tam o tym, że ***Karol Nawrocki*** jest straszny, okrutny, niedobry i absolutnie nie może zostać prezydentem. Czyli nudy i rutyna.

„Protokoły mędrców Fajfrandu" – tak jest nazywany kwit, który wstrząsnął wrażliwymi sumieniami z ul. Czerskiej. W internetach wybuchła już o to straszna awantura. Były dworzanin prezydenta Dudy (z powodu brody często brany za statystę z filmów fantasy klasy B) Marcin Kędryna ujawnił tam, że dowiedział się, kto stoi za kwitem. „Już w drugim miejscu słyszę, że słynny »raport« jest autorstwa posła Konfederacji i byłego dziennikarza »Newsweeka«" – napisał, nie wymieniając jednak nazwisk. Ale jedno samo się odezwało: „A ja już w drugim miejscu słyszę, że lubi Pan małych chłopców... Tak się Pan chce bawić? Przeprosi Pan za pomówienia i szerzenie oszczerstw?" – zareagował bynajmniej przez nikogo niezaczepiany poseł Konfederacji ***Przemysław Wipler***. Drugie nazwisko – byłego dziennikarza Michała Krzymowskiego, czyli wspólnika Wiplera z przedsiębiorstwa Fajfrand, nie odezwało się, ale teraz to już bez znaczenia. Czas na morał dla dziatwy szkolnej: przysłowia są mądrością narodów. Na przykład: „Uderz w stół, a nożyce same się odezwą".

Wracając do „Protokołów mędrców Fajfrandu" – najgorsze jest tam co innego niż atak na Karola Nawrockiego. Ofiarami strasznych oskarżeń o związki z kaczyzmem padło kilku wybitnych trójmiejskich działaczy społecznych, ludzi o ciekawej i bogatej przeszłości, a jeszcze bardziej interesującej teraźniejszości. Jeden z nich, Grzegorz H. „Śledź", z oburzeniem przyjął oskarżenia, że spotykał się z kandydatem obywatelskim, który jak wiadomo jest prawakiem i pisiorem. Grzegorz H. nie chce być z tym kojarzony, bowiem nie po to osadzeni gremialnie głosują na Platformę Obywatelską, aby potem ktoś insynuował ich związki z prawactwem. „Ciekawe, co te TVN-owskie i platfusowskie świnie powiedzą, jak opublikuję zdjęcia z Jackiem Karnowskim i Donaldem Tuskiem. Z tym pierwszym wypiłem w SPATiF trochę wódy, z Donkiem morze piwa" – napisał oburzony pan „Śledź". My mu wierzymy, bo czytamy „Wyborczą". A tam pisali o nim: „Taki człowiek, jak Grzegorz, to skarb".

Zresztą w „Wyborczej" i innych mediach uśmiechniętej Polski nie ma zbyt wiele radości. Po chwili entuzjazmu przyszedł czas refleksji i dzisiaj ocenia się, że „Protokoły mędrców Fajfrandu" to kolejna intryga ukuta przez Sarumana z Nowogrodzkiej. I nie po to, aby zaszkodzić kandydatowi obywatel-

eprasa.pl 86d7586509

skiemu, ale znów wszystkich oszukać. W opinii mędrców uśmiechniętej Polski doniesienia o spotkaniach z gangusami, kibolami i innymi panami o ponadnormatywnie rozwiniętej muskulaturze nie zaszkodzą Karolowi Nawrockiemu. To chytry spisek, bowiem już od czasów Unii Demokratycznej wiadomo, że Polacy nie dorośli do demokracji. Będą więc zachwyceni wytatuowanymi bicepsami. Szczególnie wyborcy Konfederacji, na których tak bardzo liczy ***Rafał Trzaskowski***. „Nawrocki to polska wersja wiceprezydenta elekta J.D. Vance'a, człowieka z Middletown, głębokiej, amerykańskiej prowincji, smutniejszej jeszcze niż gdańskie Siedlce, skąd pochodzi Nawrocki. Obaj to nabici faceci o mocnych karkach, przekonani o wyłączności własnych racji, idący do celu jak buldożery. Obaj mają do opowiedzenia swoją »Elegię dla bidoków«, że jest droga wprost z kibolskiej trybuny na Lechii do prezydentury 36-milionowego kraju" – napisał przerażony Jarosław Kurski (wice-Michnik „GW"). Więc co robić, panie wice-Michniku? „Strzeżcie się, demokraci, i walczcie, walczcie, walczcie!" – takim porywającym wezwaniem zakończył swoje przestrogi Jarosław Kurski.

Widać, że taki los i rola wicków mediów uśmiechniętej Polski. Szok i przerażenie ogarnęły też Mariusza Janickiego z „Polityki". „Trzaskowski i Nawrocki, czyli panicz i bokser. Zaczęła się nowa i zacięta gra, wynik nie jest pewny" – ostrzega Kasandra z „Polityki". Ale jak to? Ludzie nie zagłosują na Rafała? Nie posłuchają „Wyborczej", „Polityki", TVN ani nawet Onetu?

Nie rozumiemy heheszków z tego, że jakiś prawacki generał czy prof. Pogonowski zaorał komisję pegasusową. Być może dlatego, że osoby poselskie Sroka, Trela i Zembaczyński nie są kompetentne. My jednak doceniamy geniusz premiera Tuska, który umożliwił takim osobom zaprezentowanie się opinii publicznej od prawdziwej strony.

Bardzo też doceniamy możliwość śledzenia losów Bosackiego, wybitnego parlamentarzysty z ul. Czerskiej. W naszej rubryce nie ma miejsca na plotki obyczajowe, więc w tym miejscu potępimy złych ludzi, którzy opowiadają niedobre rzeczy o życiu osobistym posła. Że to niby taka ballada o lekkim zabarwieniu... wiadomo jakim. Popieramy decyzję Tuska w sprawie Bosackiego. To znaczy, że nadal będzie umieszczany na listach wyborczych Platformy, jeśli tylko nakłoni znajome panie, aby więcej nie pisały na niego donosów. Szczególnie do mediów, bo te, jak wiadomo, są kompletnie nieodpowiedzialne i mogą to opublikować. Mimo że sprawa dotyczy posła demokratycznego, a nie jakiegoś tam pisowca. PS Nie znamy autorów tych plotek, a publikując je, nie przesądzamy, czy wszystkie zawarte w nich dane są prawdziwe.

A teraz o maśle. Jest bardzo drogie, starsi ludzie pamiętają, że droższe nawet niż w czasach reżimu kaczystowskiego. Ta sprawa spędza sen z powiek demokratów zatroskanych o los uśmiechniętej Polski. W demokratycznych publikatorach pojawiła się seria artykułów oraz komentarzy o dramatycznym wydźwięku: jeśli ceny nie spadną, to cała ta prawacka biomasa (która nie dorosła do demokracji) zagłosuje nie tak, jak trzeba. I Rafałowi Trzaskowskiemu nie pomoże nawet to, że jest jak król Michał Korybut Wiśniowiecki. To znaczy, że nie ma nic ciekawego do powiedzenia w żadnym z licznych języków obcych, którymi tak dobrze włada. Ani nawet nie będzie pożytku z tego, że ostatnio Rafał musiał wstać przed 6.00 (rano, a nie wieczorem!) i pojechał zrobić sobie selfie na giełdzie w Broniszach.

Jeśli chodzi o poranne wstawanie, to ostrzegaliśmy, że kampania prezydencka będzie bardzo brutalna. Kolejnym dowodem na to, że prawacy uderzą poniżej pasa, są doniesienia o tym, że wyszpiegowali wielką tajemnicę Rafała. Jeszcze w kampanii 2020 r. ustalili, że lubił on zatrzymać się w trasie w godzinach popołudniowych. Gdzieś ok. 15.00 i uciąć sobie wtedy drzemkę. Kandydat Nawrocki podobno nie lubi poobiednich drzemek (młody, nie wie jeszcze, co dobre), więc kaczystowscy siepacze zapowiadają, że dojadą Rafała, tak aby nie mógł się zdrzemnąć. Nie godzimy się na tak okrutną kampanię. Liczymy na zdecydowany głos Unii Europejskiej w tej sprawie.

A tam też dzieją się niedobre rzeczy. Wzorzec z Sèvres, jeśli chodzi o praworządność, komisarz Didier R. jest oskarżany o pranie brudnych pieniędzy. Dostrzegamy w tym macki kaczyzmu, bo siepacze przeszukali nawet skromne domki komisarza. Nie wierzymy, że jakakolwiek osoba w Brukseli mogłaby zrobić coś niezgodnego z praworządnością. Nawet jeśli ten wielki przyjaciel uśmiechniętej Polski, protektor przodującej szkoły jurysprudencji, czyli bondaryzmu-kornelukizmu, trafi za kraty, to i tak będzie dla nas postacią nieskalaną. Dokładnie tak samo, jak druga ikona praworządności, komisarz Vera J., o której przecież wiadomo, że w lochach czeskich katowni siedziała za niewinność. „Na głowie kwietny ma wianek, w ręku zielony badylek" – to przecież o niej była ta piosenka.

Fot. Andrzej Wiktor x2, Julita Szewczyk

eprasa.pl 86d75865c9

Kolegom Tumanom

KRZYSZTOF FEUSETTE

Donald: Siadajcie...
Szymon: Sam jestem.
Donald: Nieważne. No i powiedzcie mi, co wyście znowu nabroili?
Szymon: Już mówiłem: sam jestem.
Donald: Oj, zwracam się tak do was przez szacunek dla urzędu. Mojego, oczywiście.
Szymon: Aha. To nie rozumiem pytania. O czym pan premier mówi? Sytuacja jest pod kontrolą. Sami mówiliście, to znaczy sam pan premier mówił, że wszystko wyjaśniłem...
Donald: Wy nie rozróżniacie narracji od prywatnej rozmowy? Prywatnej, podkreślam, bo przecież nikt nas nie nagrywa, prawda?
Szymon: ...
Donald: Prawda?!
Szymon: Przetrzepali mnie przed drzwiami.
Donald: Taką mają pracę. Bez tego co chwilę byśmy mieli aferę taśmową. Mówcie teraz, szczerze, jak na posiedzeniu kryzysowym, macie ten dyplom?
Szymon: Przecież ja nie znałem nawet adresu uczelni. Nie kojarzyłem nawet nazwy, Kobosko wszystko ogarniał. Chciałem tylko zrobić magistra, ale nie w cztery lata na starej uczelni, tylko krócej.
Donald: Czyli ile?
Szymon: No nie wiem, osiem semestrów? Gdy Kobosko jechał zawieźć nasze teczki, uczelnia była czysta. Jak tylko wrócił, zaczął się smród.
Donald: Czemu nie zabraliście teczki?
Szymon: Zapomniałem. Kobosko też zapomniał.
Donald: Płaciliście?
Szymon: Kobosce? Skąd!
Donald: Za studia!
Szymon: Jak? Przecież chodziło o to, żeby były za friko... to znaczy nie płaciłem, bo nie studiowałem.
Donald: A co mieliście z czeskiego?
Szymon: Słucham?
Donald: Czytam, że byliście zwolnieni z czeskiego.
Szymon: Z czesnego. Nie pamiętam, czy Kobosko składał takie podanie.
Donald: A on?
Szymon: On nie pamięta, czy ja składałem. Tyle że ja nie mogłem, bo mnie tam nigdy nie było.
Donald: Podobno można było studiować online...
Szymon: Nie wiem. Miałem mieć przepisane oceny... To znaczy on, ten rektor, musiał mi indeks zajumać.
Donald: I wpisał wam oceny bez zgody? Do Sokratesa?
Szymon: Do kogo?
Donald: Piłkarz taki, brazylijski. Genialny.
Szymon: Nam mówili, że filozof. Wiedział, że nic nie wie. Trochę jak ja.
Donald: A ja wiem, czego nie wiem, a co wiem. I widzę, że kręcicie jak ogon psem. Chcecie mi powiedzieć, że jak was pytali rok temu, czy znacie Collegium Romanum...
Szymon: Humanum.
Tusk: Srumanum! Nagle wam się nazwa przypomniała?!
Szymon: Baba mnie zaskoczyła w samochodzie na Onecie! Co miałem powiedzieć? Że jestem zapisany? Gdy tylko wysiadłem, to do was zadzwoniłem, czy wszystko jest okay i co mi powiedzieliście?
Donald: Ja?!
Szymon: A kto? Ojciec święty?
Donald: Ja tam nie wiem, z kim wy sobie prywatnie rozmawiacie w snach i z jakich wyrzutów to wynika. Ani nazwy, ani adresu nie znałem, nie znam i nie chcę poznać. Ale wy tam studiowaliście, dobrze, byliście zapisani, złożyliście przysięgę i nawet wam brew nie drgnęła, jak was o to pytali? Kto was nauczył tak kłamać?
Szymon: Ja jestem z TVN.
Donald: No tak. Tylko że przesadziliście z tymi służbami. Jakie to światło rzuca na rząd? Że niby to był przeciek?
Szymon: Bo czemu przyczepili się akurat do mnie? Mało to nas kończyło te studia? To znaczy, ja nie. Ale Zembaczyński, Gajewska...
Donald: Wspaniałe wizytówki, naprawdę. Ale musicie być ostrożniejsi. Z salą BHP też daliście do pieca. Jak można było słać pisma z Kancelarii Sejmu, a potem płacić jako partia? Nawet Joński by się zorientował, że chcecie tam ogłosić prywatne decyzje.
Szymon: Bo ja jestem niezależny jako kandydat.
Donald: To musieliście rezerwować salę, w której podpisano porozumienia sierpniowe? Mieliście wtedy cztery lata. W tym waszym Humanum Niekumanum nie było żadnej auli?
Szymon: Już mówiłem: nie byłem, nie widziałem. Poza tym to jest fake news. Albo przeciek. Ewentualnie wykradziona tożsamość.
Donald: A kto by chciał kraść to, co dawno zgubiliście?
Szymon: O, przepraszam, ja idę środkiem drogi, Trzeciej Drogi, i mnie nic nie powstrzyma, jeśli sam się nie powstrzymam. A spotkanie będę miał w teatrze...
Donald: ...telewizji? Super. Bo nasi właśnie likwidują. W TVP wszystko zabiera teraz „czyżta woda". Jak fala powodziowa.
Szymon: Właśnie nie! Nie w telewizji! Ja już mam telewizji po dziurki w nosie. Lajfy teraz nagrywam, i to na żywo. A teatr będzie szekspirowski.
Donald: Klaun wam się znudził, to będziecie Hamleta rżnąć?
Szymon: „Tu szczyt! Lękam się spojrzeć w przepaść świata ciemną...".
Donald: To akurat Słowacki.
Szymon: Mieliśmy tylko angielski. Aha, że monolog Gustawa?
Donald: Kordiana chyba.
Szymon: „Umarł Gustaw, narodził się Kordian" – tak to leciało. I z nami też tak będzie. Pan premier odejdzie do lamusa historii, a ja poniosę ten kaganiec oświaty dalej. Z dyplomem czy bez.
Donald: Jak wam dam lamusa, to was partia matka nie rozpozna. I kiedy wy to chcecie zrealizować?
Szymon: W 2050 r.
Donald: A ile wtedy będziecie mieć lat?
Szymon: Raptem siedem więcej niż pan premier teraz.
Donald: Wyjdźcie. No już, zanim się wścieknę!

eprasa.pl 86d75865c9

Łapać złodzieja

A taki był ładny i dobrze wychodził na zdjęciach z naszymi rodzimymi fachowcami od praworządności

Czytelnicy z pewnością pamiętają zapowiedzi z ostatniej kampanii parlamentarnej o fachowcach, którzy po wyborach przejmą sprawy Polski w swoje ręce i nasz kraj stanie się krainą mlekiem i miodem płynącą, na wszystko znajdą się pieniądze, a ceny w sklepach automatycznie spadną. Przyszli tacy fachowcy, że przychody spółek Skarbu Państwa lecą na łeb na szyję, na wszystko brakuje pieniędzy, a cena masła przekroczyła już 10 zł.

Nalot „apolitycznych fachowców" na spółki Skarbu Państwa i inne instytucje jest tak duży, że nawet na stronie PO konkret dotyczący odpolitycznienia spółek zmienił się w zapis „w spółkach z udziałem Skarbu Państwa zwolnimy wszystkich członków rad nadzorczych i zarządów. Przeprowadzimy nowy nabór w transparentnych konkursach, w których decydować będą kompetencje, a nie znajomości rodzinne i partyjne". Pewnie niedługo zniknie i zapis o tych znajomościach, bo te ewidentnie decydują. I właściwe nikomu by pewnie nie przeszkadzało, że polityczna ekipa dobiera zaufanych współpracowników, gdyby nie fakt, że latami właśnie to krytykowali.

Niektóre nominacje w publicznych instytucjach są mocno kontrowersyjne. Minister zdrowia Izabela Leszczyna postanowiła np. powołać na stanowisko wicedyrektora Narodowego Instytutu Zdrowia Publicznego-Państwowego Zakładu Higieny (NIZP-PZH) Andrzeja Parafianowicza, byłego wiceministra finansów, którego prawdopodobnie poznała w tymże resorcie. Dlaczego to kontrowersyjny pomysł? Parafianowicz nie ma bowiem żadnego doświadczenia w kwestii ochrony zdrowia. Powiedzą państwo, że Leszczyna także nie ma, publicznie nawet przyznała, że nie spodziewała się, że to będzie tak trudne zadanie, a czarodziejską różdżkę trafił szlag. Co więcej, Andrzej Parafianowicz był przez chwilę typowany na stanowisko wiceministra, ale jak podają media, nie przeszedł standardowej weryfikacji przez służby.

Jest jeszcze inny powód, dla którego ten pomysł jest kontrowersyjny. Otóż Parafianowicz był jednym z bohaterów afery taśmowej. W 2014 r. tygodnik „Wprost" ujawnił nagranie jego rozmowy ze Sławomirem Nowakiem, byłym ministrem transportu, a kiedyś politykiem PO. Tematem była kontrola skarbowa w spółce należącej do żony Nowaka. „Chcą ją trzepać. Cały 2012 rok. Chcą najpierw wziąć rachunek bankowy [...]. Mam nadzieję, że to dotyczy tylko jej działalności, a nie będą chcieli crossować tego z moim rachunkiem – skarżył się Nowak. – Ja to wszystko wiem... ale... bo ja z urzędu kontroli skarbowej... to już odkryliśmy bardzo dawno. UKS, komputery wyrzuciły [...]. Zablokowałem to..." – odpowiadał Nowakowi Parafianowicz. Dodawał też, że ostrzegał kolegów z rządu przed prowadzeniem takich kontroli, mówiąc im: „Czyście ochu...li?! Czy żeście ochu...li do końca?!".

Ale nie tylko Polska ma problemy ze swoimi fachowcami. Mają i Belgowie, a za sprawą jednego Belga cała Komisja Europejska. Właśnie się okazało, że były komisarz ds. sprawiedliwości, ten który był ekspertem od przestrzegania prawa i za rządu PiS atakował Polskę za rzekome problemy z praworządnością, sam ma problemy z prawem. I to poważne. Ponoć prał brudne pieniądze, a w tym celu przez lata miał kupować losy na loterii, żeby właśnie w ten sposób wyprać znaczne ilości nielegalnie pozyskanej gotówki. Belgijska prokuratura czekała do końca mandatu unijnego komisarza, żeby postawić mu poważne zarzuty. Według informacji podanych przez media „Follow the Money" i „Le Soir" Didier Reynders został przesłuchany 3 grudnia, a w jego dwóch domach (stałe miejsce zamieszkania w Brukseli oraz wiejski dom letni) dokonano rewizji.

Ale i to nie wszystko. Okazało się, że nawet zmieniono prawo w UE pod oszustwa Reyndersa. Nowo przyjęte unijne przepisy dotyczące przeciwdziałania praniu pieniędzy zawierają wyraźne wyłączenie dla krajowych loterii – dokładnie tej metody, o którą belgijska policja podejrzewa byłego komisarza.

A taki był ładny i dobrze wychodził na zdjęciach z naszymi rodzimymi fachowcami od praworządności. Nie pierwszy raz złodziejem okazuje się ten, który najgłośniej krzyczy: „Łapać złodzieja!".

Dorota Łosiewicz

Rosja

Armaty zamiast masła

Fot. home for heroes/Shutterstock.com

„Armaty zamiast masła" – głosiło znane hitlerowskie hasło sprzed II wojny światowej. Chodziło o konieczność zaciśnięcia pasa przez obywateli i ograniczenie ich potrzeb konsumpcyjnych w obliczu wzmożonej produkcji broni. Teraz ten sam slogan może stać się codziennością putinowskiej Rosji – twierdzi Alex Isakov, ekspert ekonomiczny Bloomberga.

W listopadzie doszło do gwałtownego załamania kursu rubla – na międzynarodowym rynku walutowym spadł on do poziomu 107 za dolara i 113 za euro. To największy spadek wartości rosyjskiej waluty od początku inwazji na Ukrainę. I choć minister finansów Rosji Anton Siluanow przekonywał, że to świetne wiadomości, bo niski kurs poprawi opłacalność eksportu, w rzeczywistości robił tylko dobrą minę do złej gry.

Prawda jest bowiem taka, że Rosja nie ma zbyt wiele do zaoferowania w handlu międzynarodowym poza surowcami, które i tak z powodu sankcji są sprzedawane z dużą bonifikatą. Gwałtowny spadek wartości rubla oznacza też, że szybko topnieją rezerwy Narodowego Funduszu Dobrobytu. Przed inwazją na Ukrainę Rosja zgromadziła w nim 140 mld dol. w aktywach płynnych – to znaczy takich, które można łatwo sprzedać. Teraz ta kwota spadła do ok. 55 mld dol. Jednak po odjęciu od tego rezerw złota pozostaje zaledwie 31 mld dol., czyli mniej więcej tyle, ile było w 2008 r., – a więc w pierwszym roku działalności funduszu. Inaczej mówiąc, po trzech latach wojny Rosja wydała znaczną część swoich oszczędności.

Dużo pieniędzy kosztowało ustabilizowanie kursu rubla. Teraz, gdy te możliwości zostały ograniczone, inflacja prawdopodobnie przyspieszy. W związku z tym bank centralny będzie mniej chętny do obniżania wysokich stóp procentowych. Jeśli Kreml zdecyduje się teraz opróżnić fundusz, budżet państwa stanie się podatny na każde, nawet krótkoterminowe, wahania cen surowców, co w latach 80. wpędziło sowiecki reżim w potężne tarapaty.

Prawdopodobnie więc Moskwa zdecyduje się na inny krok. Według eksperta ekonomicznego Alexa Isakova Kreml „będzie dążył do przyspieszenia transferu deficytowej siły roboczej i kapitału z sektorów uznawanych za nieistotne, takich jak usługi, budownictwo mieszkaniowe i finanse, do tych, które są uważane za kluczowe dla zapewnienia Putinowi przewagi militarnej". Inaczej mówiąc, w Rosji nastanie prawdziwa gospodarka wojenna, w której potrzeby konsumentów zostaną drastycznie zredukowane na rzecz wspierania wysiłku zbrojnego.

Trudno dziś ocenić, jak to wpłynie na nastroje ludności. W tej chwili akceptacja polityki Kremla spadła do poziomu sprzed wybuchu wojny. I choć ciągle jest wysoka, wskazuje stałą tendencję zniżkową.

Konrad Kołodziejski

Skąd my to znamy?

Amerykańska aktorka Sharon Stone pojawiła się niedawno na włoskim Festiwalu Filmowym w Turynie, gdzie publicznie skrytykowała „nieświadomych" i „aroganckich" Amerykanów, którzy są odpowiedzialni za wybór Donalda Trumpa.

Stone trafiła na pierwsze strony gazet w lipcu, gdy powiedziała, że prawdopodobnie kupi dom we Włoszech i wyprowadzi się ze Stanów Zjednoczonych, jeśli Donald Trump zostanie ponownie wybrany. „Wiecie, Włochy widziały faszyzm. Włochy widziały te rzeczy. I rozumieją, co się dzieje, bo widziały to wcześniej" – wyjaśniała Stone, nie zdając sobie najwyraźniej sprawy z tego, że Italią rządzi dziś premier Meloni, a jej partia Bracia Włosi, prawicowa alternatywa dla liberalnego establishmentu, skrywa w swojej politycznej tożsamości postfaszystowskie dziedzictwo.

Stone narzekała też na swoich rodaków. Jej zdaniem wyborcy Trumpa to ludzie, „którzy nie podróżują, bo 80 proc. z nich nie ma paszportu, są niewykształceni i tkwią w swojej niezwykłej naiwności". Okazją do wygłaszania tych aroganckich niedorzeczności był tegoroczny Festiwal Filmowy w Turynie, gdzie aktorka odebrała nagrodę za całokształt twórczości. I choć Sharon Stone odgraża się, że wyemigruje z Ameryki w proteście przeciwko wyborowi Trumpa, to jak dotąd nie zdecydowała się na wyjazd. Posiada bowiem piękny dom w Beverly Hills.

Ale nie tylko ona groziła wyjazdem. Wśród osób, które obiecywały, że opuszczą Amerykę po zwycięstwie Trumpa, znaleźli się m.in. Amy Schumer, Chelsea Handler, Bryan Cranston, Jon Stewart, Samuel L. Jackson, Miley Cyrus i Cher. Jednak nikt z nich nie spełnił swoich gróźb. Jedynie Lena Dunham, scenarzystka serialu „Dziewczyny", dotrzymała obietnicy i opuściła Stany w 2021 r. Rok po zwycięstwie Bidena.

Maciej Walaszczyk

USA

Fot. sbonsi/Shutterstock.com

eprasa.pl 86d7

Ofensywa islamistów

Syria

Tego samego dnia, gdy pojawiły się informacje o zawieszeniu broni między Izraelem a Hezbollahem, w sąsiedniej Syrii doszło do wybuchu gwałtownych walk. Do ofensywy ruszyli islamscy rebelianci skupieni wokół organizacji Hajat Tahrir asz-Szam (HTS). Zaskoczona i zdemoralizowana armia rządowa nie była w stanie stawić zorganizowanego oporu.

Dżihadyści w ciągu kilkudziesięciu godzin zdobyli Aleppo, drugie pod względem wielkości miasto Syrii, które armia reżimu Asada wspierana przez Rosjan i Irańczyków zdobywała wcześniej przez trzy lata. Tymczasem sprzymierzeni z Turcją rebelianci po zaledwie czterech dniach potroili obszar kontrolowanego przez siebie terytorium, a także zmusili oddziały rosyjskie wspierające Asada do opuszczenia kilku garnizonów i skoncentrowania sił w bazie lotniczej Latakia.

Organizacja, która stoi na czele sił rebelianckich, w 2018 r. została uznana przez administrację Donalda Trumpa za terrorystów powiązanych z Al-Kaidą. Od tego czasu jej przywództwo próbowało zmienić swój wizerunek na bardziej umiarkowany, na co nalegały władze wspierającej ją Turcji, ale w opinii wielu komentatorów nadal jest ona mocno powiązana z szyickimi islamistami.

Rozpoczęcie ofensywy jest bezpośrednim następstwem wojny między Hezbollahem a Izraelem. W jej trakcie wspierająca Asada organizacja straciła niemal całe swoje kierownictwo i znaczny potencjał wojskowy. Reżim w Damaszku nie może też liczyć na znaczące wsparcie Rosji, która jest zaangażowana na Ukrainie, ani na Iran, który po wymianie ciosów z Izraelem jest raczej zainteresowany uspokojeniem sytuacji.

Po rozpoczęciu ofensywy rebeliantów syryjski dyktator Baszszar al-Asad poleciał do Moskwy, a po powrocie do Damaszku spotkał się z irańskim wiceministrem spraw zagranicznych. Zaraz potem reżimowe wojska zostały wsparte przez rosyjskie i irańskie lotnictwo, które zbombardowało przedmieścia Aleppo. Jednak o pełnowymiarowej kontrofensywie nie ma jeszcze mowy.

Stany Zjednoczone, Francja i Wielka Brytania wezwały do „pilnej deeskalacji", ale niepotwierdzone doniesienia mówią o wybuchu walk w Damaszku, co raczej nie zwiastuje stabilizacji. Kraj jest zrujnowany, ostatni rok upłynął pod znakiem głębokiego kryzysu, a jednym ze źródeł dochodów szeroko rozumianego obozu władzy jest produkcja i dystrybucja syntetycznych narkotyków, które trafiają do Europy.

Wydaje się, że osłabienie Rosji i Iranu, głównych protektorów Asada, może prowadzić do wznowienia trwającej od 13 lat wojny domowej. Jednak nawet obalenie znienawidzonego dyktatora nie oznacza pokoju, jest raczej równoznaczne z ześlizgiwaniem się Syrii w chaos.

Marek Budzisz

Fot. Mohammad Bash/Shutterstock.com

Demokratyczna Rep. Konga

Męczennik korupcji

Po raz pierwszy w historii Kościoła jako męczennik za wiarę zostanie wyniesiony na ołtarze katolik, który został zamordowany tylko za to, że odmówił przyjęcia łapówki.

Od zarania chrześcijaństwa męczennikami ogłaszano tych, którzy nie chcieli się wyrzec swojej wiary w Jezusa i przynależności do Kościoła. W czasach nowożytnych rozszerzono rozumienie męczeństwa, a szczególną rolę odegrał w tym Jan Paweł II. Polski papież jako męczennika kanonizował np. Maksymiliana Kolbego, który oddał przecież życie w bunkrze głodowym nie za Boga, lecz za drugiego człowieka. Podobnie uczynił z Edytą Stein, którą uśmiercono w komorze gazowej jako Żydówkę, a nie jako chrześcijankę. Niemcy, którzy wysłali ją do Auschwitz, nie pytali nawet o jej wiarę – dla nich liczyło się jedynie jej pochodzenie etniczne.

Wkrótce do grona męczenników Kościoła katolickiego dołączy urzędnik z Demokratycznej Republiki Konga, który nie dał się skorumpować nieuczciwym handlarzom. Papież Franciszek upoważnił bowiem watykańską Dykasterię ds. Kanonizacji do ogłoszenia dekretu dotyczącego męczeństwa Floriberta Bwany Chuia Bin Kositiego. Chodzi o urodzonego w 1981 r. Kongijczyka, który pracował w instytucji państwowej odpowiedzialnej za przeprowadzanie kontroli jakości towaru wprowadzanego na rynek krajowy. W 2007 r. sprzeciwił się on dopuszczeniu do sprzedaży zepsutego ryżu z sąsiedniej Rwandy. Jego zdaniem był to produkt niebezpieczny dla zdrowia konsumentów. Floribert pozostał nieugięty mimo propozycji łapówek i gróźb. Znajomej zakonnicy zwierzył się, że woli umrzeć, niż ulec korupcji, ponieważ jako chrześcijanin nie może się zgodzić na narażanie zdrowia tysięcy ludzi. Wkrótce potem 26-latek został porwany przez nieznanych sprawców. Torturowano go, a następnie zamordowano. Zdaniem kongijskich duchownych, bł. Floribert może być patronem osób sprzeciwiających się łapówkarstwu i walczących z korupcją.

Grzegorz Górny

Fot. Community of Sant'Egidio

eprasa.pl 86d75865c9

Pan Praworządność i brudna pralnia

W ostatnim tygodniu europejskie salony zelektryzowała wiadomość o przeszukaniach mieszkań i domów Didiera Reyndersa, kończącego właśnie urzędowanie komisarza ds. sprawiedliwości. Okazało się bowiem, że największy sojusznik koalicji 13 grudnia w bezustannych atakach na Polskę jest od miesięcy obiektem intensywnego śledztwa dotyczącego prania brudnych pieniędzy

Według doniesień medialnych proceder trwał latami, kwoty były olbrzymie, a ich prawdziwe źródło pochodzenia – nieznane. Śledczy czekali, aż byłego już komisarza przestanie chronić immunitet europejski i dwa dni potem został poddany wielogodzinnym przesłuchaniom. Wyników oczywiście nie znamy.

W Brukseli wybuchł skandal – jak to możliwe, że polityk oskarżany o przestępcze działania prowadzone latami (korupcyjny proceder miał się zacząć dekadę temu) pełnił funkcję komisarza ds. sprawiedliwości przez całą pierwszą kadencję Komisji Europejskiej kierowanej przez Ursulę von der Leyen i mimo intensywnego, wielomiesięcznego śledztwa nie spadł mu wówczas włos z głowy? Jakie było prawdziwe źródło pochodzenia pieniędzy, które Reynders pracowicie czyścił poprzez biznes loteryjny? Czy trupy w szafie miały wpływ na jego działania jako komisarza? Jak w tym świetle wyglądają jego obsesyjne ataki na konserwatywne rządy w Polsce i na Węgrzech? Czy politycy obozu Tuska, ochoczo fotografujący się z politykiem oskarżanym o korupcję i pranie brudnych pieniędzy, byli wygodnym narzędziem propagandowym? A jeśli tak, to w czyich rękach?

W ostatnim tygodniu europejskie media były pełne doniesień i analiz dotyczących afery Reyndersa. A polskie? Niekoniecznie. W Polsce skandal związany z ulubionym komisarzem ministra Bodnara ledwie przemknął przez portale internetowe i został wstydliwe upchnięty za prognozami pogody, sprawozdaniami z lokalnych wydarzeń sportowych oraz ploteczkami o celebrytach. Informacja, która zdominowała europejskie nagłówki gazet, w polskich mainstreamowych mediach nie była warta nawet pierwszej strony.

Może dlatego, że jeszcze w ostatnich dniach listopada Reynders, kończący misję unijnego komisarza, gościł w Warszawie i na spotkaniu z ministrem Bodnarem dyskutował o przywracaniu praworządności i przejrzystości przepisów w Polsce. Chwalił kierunek i metody rządu Tuska i fotografował się z jego najważniejszymi politykami. W tym samym czasie toczyło się przeciwko niemu śledztwo w sprawie prania brudnych pieniędzy. Toczyło się ono również wtedy, gdy bezpardonowo atakował rząd Zjednoczonej Prawicy, straszył Polskę karami za reformę wymiaru sprawiedliwości i pozywał do TSUE za możliwość weryfikacji sędziów. Był wtedy ulubieńcem opozycji i jej największym unijnym sojusznikiem. Dość powiedzieć, że kandydat Trzaskowski pisał mu rezolucje wymierzone w polski rząd. Polskie media sprzyjające opozycji rozpływały się nad tym w zachwycie. Nic zatem dziwnego, że teraz, gdy okazało się, że Pan Praworządność może mieć niewiele wspólnego z rzeczywistą praworządnością i uczciwością, wstydliwie milczą.

Niestety tak to właśnie często wygląda – pod latarnią bywa najciemniej. Jednak ludzie najgłośniej i najzapalczywiej atakujący rząd PiS mogą liczyć na przychylność i polskich mediów, i rządowych polityków. Niezależnie od tego, jak poważne zarzuty na nich ciążą.

Daniel Obajtek

Fot. Archiwum autora

eprasa.pl 86d75865c9

Nielegalni legalni

Marta Kaczyńska-Zielińska

Amerykański system imigracyjny za rządów prezydenta Joe Bidena i demokratów był nieskuteczny z powodu nieegzekwowania obowiązujących przepisów, a także z racji ich nadmiernej zawiłości. Radykalna lewica celowo zdekonstruowała granice i struktury imigracyjne w nadziei na zbudowanie nowej wersji Ameryki. Jej wizja prowadziła do stanu dewastującego państwo, w którym granice pozostają otwarte, zmniejsza się liczba miejsc pracy, obniżeniu ulegają pensje, możliwości ekonomiczne obywateli, gwałtownie spada poziom nauczania, a wzrasta przestępczość. Żaden kraj nie byłby w stanie przetrwać w opisanych warunkach.

Wygrana prezydenta Donalda Trupa postulującego uszczelnienie amerykańskich granic to szansa na wprowadzenie nowego systemu imigracyjnego, który stawia interesy Amerykanów na pierwszym miejscu i może stać się przykładem rozwiązań, które w niedalekiej przyszłości posłużą wyprowadzeniu Europy z kryzysu migracyjnego wywołanego szkodliwą polityką ugrupowań neoliberalnych.

Działania administracji Bidena i Harris doprowadziły do zatarcia granicy między legalną i nielegalną imigracją. Prezydent polecił agencjom federalnym, aby odnosiły się zarówno do legalnych, jak i nielegalnych cudzoziemców jako do „nieobywateli". Urzędnicy zostali poinstruowani, aby procedowali sprawy większości nielegalnych cudzoziemców, których napotkali w USA, z naruszeniem przepisów imigracyjnych, zamiast ich zawracać. Lewica i media określały wszystkich nielegalnych cudzoziemców mianem „osób ubiegających się o azyl", próbując wzbudzić w Amerykanach empatię dla rzeszy przybywających do Stanów Zjednoczonych. Tymczasem prawdziwą konsekwencją tej lewicowej propagandy było zachęcenie cudzoziemców do składania fałszywych wniosków o azyl, aby kupić sobie więcej czasu na pozostanie w USA i uzyskanie pozwolenia na pracę.

Opisana sytuacja nasuwa skojarzenia z unijnym paktem migracyjnym – jego zapisy mają służyć m.in. usprawnieniu procesu legalizacji pobytu osób, które wbrew obowiązującym przepisom przekroczyły granice UE. Działania lewicowych polityków amerykańskich i mediów łudząco przypominają narrację towarzyszącą atakom rozpętanym przez ówczesną polską opozycję i opiniotwórczy mainstream na polskich strażników granicznych i rząd Zjednoczonej Prawicy, który wdrożył działania mające na celu ochronę polskich granic. Jak widać, *modus operandi* amerykańskich demokratów i eurokratów wykazuje pewne cechy zbieżne polegające na maskowaniu problemu nielegalnej imigracji poprzez jej formalną legalizację.

Zwolennicy nowej administracji w Waszyngtonie postulują, aby nielegalny pobyt w USA w żadnym przypadku nie był podstawą do przyznania świadczenia imigracyjnego. Migranci mają być wykluczeni ze świadczeń federalnych, stanowych, lokalnych i komercyjnych, które ułatwiają nielegalny pobyt, w tym posiadania kont bankowych.

W UE niebawem będzie dokładnie odwrotnie. Regulacje paktu migracyjnego i azylowego wchodzą w życie w 2026 r. Dokument odbiera państwom członkowskim prawo do prowadzenia suwerennej polityki migracyjnej. Organy unijne będą decydowały o tym, jakie wsparcie dla imigrantów jest wymagane od poszczególnych państw w ramach tzw. mechanizmu solidarnościowego. Polska nie będzie mogła odmawiać przyjęcia relokowanych imigrantów bez zgody Komisji Europejskiej i większości kwalifikowanej w Radzie UE. Dodatkowo większości imigrantów nie będzie można wydalić niezależnie od tego, czy są rzeczywistymi uchodźcami. Migranci, którzy złożą wniosek o azyl, będą mieli prawo do ubiegania się o zatrudnienie w Polsce na równi z obywatelami polskimi, prawo do zakwaterowania, wyżywienia, odzieży, artykułów higieny osobistej oraz pieniędzy, talonów lub rzeczy na tzw. codzienne wydatki zapewniające minimalny stopień samodzielności, prawo do świadczeń z zakresu ubezpieczenia społecznego, prawo do bezpłatnej opieki zdrowotnej – dla dorosłych co najmniej w zakresie nagłych przypadków, a dla dzieci w pełnym zakresie. Polska ma wkrótce uruchomić 49 centrów integracji cudzoziemców, które mają za zadanie wspierać przybyłych do naszego kraju migrantów.

REKLAMA

30/1124/F

eprasa.pl 86d75865c9

Walizka Ediego Pyrka

współzałożyciela GAIA (Global Artificial Inteligence Alliance) oraz WorldGrowth, mentora, pisarza, wykładowcy, podróżnika

Mój ojciec umarł, gdy byłem mały. W wieku 15 lat zrozumiałem, że wiem wszystko na temat bycia dziewczynką, ale nic, jak być chłopakiem. Dlatego postanowiłem szukać nauczycieli, „ojców", którzy nauczą mnie bycia mężczyzną. Pierwszym z nich został Jerzy Prokopiuk, jeden z największych gnostyków, tłumacz Junga i Steinera. Przez dwa lata raz w miesiącu prowadził darmowe wykłady z psychologii, filozofii, antropozofii oraz historii chrześcijaństwa dla mnie i moich przyjaciół. Gdy miałem 18 lat, okazało się, że jestem kaleką. Z powodu choroby miałem zniszczone stawy, ważyłem 120 kg i musiałem chodzić o kulach. Gdy usłyszałem, że za kilka lat czeka mnie wózek inwalidzki, wolałem, jak mawia nepalskie przysłowie, żyć jeden dzień jak tygrys, zamiast 100 dni jak owca. Moim dniem tygrysa miał być rok takiego życia, jak chcę. Postanowiłem podróżować po świecie, aby zasmakować życia, tego „niedźwiedziego mięsa", o którym pisał Jack London, i jednocześnie aby zrozumieć siebie i to, co znaczy być mężczyzną. Miałem to szczęście, że nie tylko zasmakowałem owego „mięsa", lecz także poznałem ludzi, którzy nauczyli mnie żyć. Byli to m.in. szaman Czarnych Stóp – Chief Moon i Matka Teresa, u której pracowałem w kalkuckiej „umieralni", szef druidów, o. Bereza, opat zakonu benedyktynów.

Lekarze się pomylili. Od 35 lat żyję jak tygrys: podróżuję po świecie, uczestniczę w badaniach tradycyjnych kultur, piszę książki i reportaże, doradzam politykom oraz ludziom biznesu i ciągle wędruję. W ostatnich latach mniej szukam przygód, a bardziej zrozumienia. Więc teraz jeżdżę do tych ludzi, którzy tworzą nasze jutro...

KAPELUSZ

Wielozadaniowy. Jeżeli łódka przecieka, kapeluszem możesz wylewać wodę za burtę. Gdy brakuje słodkiej wody pitnej, to podczas deszczu można w niego łapać krople. Do kapelusza można też zbierać jedzenie – owoce, orzechy itp. No i pełni typową funkcję ochronną przed słońcem.

eprasa.pl 86d75865c9

ROBOT EINSTEIN

Został stworzony przez mojego biznesowego partnera, z którym razem założyliśmy GAIA – Davida Hansona, twórcy androida Sophie. To właśnie Sophie zapytana przez jednego z dziennikarzy, czy AI nie będzie zagrożeniem dla ludzkości, odpowiedziała, że to zależy od tego, jak ludzie będą ją traktować. Wtedy uświadomiłem sobie, że jestem w świecie, który coraz mniej rozumiem, a obok nas powstaje nowy gatunek – androidy ze sztuczną inteligencją.

IIKAKIMAHK!

Słowa wygrawerowane w kamieniu pochodzą z języka Czarnych Stóp i znaczą: „Możesz, dasz radę!”. Zaadoptowali mnie, a te słowa przypominają mi o sile plemienia, społeczności, rodziny. O tym, że razem możemy wszystko.

MACZETA

30 lat temu postanowiłem przejść kawałek Syberii na piechotę. Na tę wyprawę zabrałem herbatę, cukier, sól i mąkę. Zbierałem grzyby, z kory brzozy robiłem makaron, który jadłem z mchem i cebulkami znalezionymi w lesie. Bez pieca chlebowego piekłem „chleb” – ciasto z mąki i soli nawijałem na patyk, który wkładałem w ognisko. A z noża zrobiłem rohatynę na niedźwiedzie.

NASZYJNIK

Krzyż koptyjski przywiozłem z Etiopii, do której pojechałem, żeby poznać kulturę Koptów, interesowała mnie też postać Hajle Syllasje I. Kieł pochodzi z Kostaryki, gdzie mieszkałem przez kilka lat.

MATEUSZ

Mój syn był w Azji, gdy miał sześć miesięcy. Pierwszą podróż dookoła świata odbył jako dwulatek. Do „normalnej” szkoły zaczął chodzić w siódmej klasie, bo do tego czasu był world-schooling. Dziś ma za sobą 6 lat w drodze i jakieś 50–60 krajów. Kiedy miał 8 lat, napisaliśmy pierwszą książkę – o tym, jak zjeździliśmy Europę, szukając Świętego Graala. Obecnie syn ma 15 lat, razem ze mną „pracuje” przy kilku think tankach i ciągle wędruje.

SOKRATES

Przywieziony z Aten. Myślenie nie jest dla amatorów i trzeba się go nauczyć tak jak kultury, piękna, zachwytu muzyką klasyczną.

NAKLEJKI

Gdy w pewnym momencie życia postanowiłem z rodziną wyprowadzić się za granicę, musiałem podjąć decyzję, co ze sobą zabrać. Spośród wielu pięknych przedmiotów, m.in. dzieł sztuki i pamiątek z podróży, wybrałem tylko dwie naklejki. „Dumny z bycia Czarną Stopą” – bo przypomina mi, że zostałem przyjęty przez plemię pięknych ludzi. „Kwestionuj rzeczywistość” nie pozwala zapomnieć, że rozwój oznacza wychodzenie ze swojej strefy komfortu, akceptowanie omylności i mocy pokory.

MOGIERI

Będąc pod wrażeniem książek Carlosa Castanedy opisujących jego naukę szamanizmu wśród Indian z Meksyku, postanowiłem poznać pejotlowego szamana. Po licznych staraniach udało mi się zostać uczniem jednego z nich. Uczestniczyłem w bardzo ważnej ceremonii w rezerwacie Indian Nawaho, a mogieri służy do przywoływania duchów w czasie pejotlowego rytuału.

Wysłuchał i zapisał
Michał Korsun

Fot. Michał Korsun, archiwum Edlego Pyrka

eprasa.pl 86d75865c9

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Niemożliwy Sobieski

Jan Pietrzak

Doniesiono z Wiednia, że planowane od lat wystawienie w tym mieście pomnika króla Jana III Sobieskiego nie jest możliwe. Powodów podano bardzo wiele, bardzo różnych... w sumie austriackie gadanie, które ma ukryć prawdę o polskim zwycięstwie nad turecką nawałą pod wodzą Kara Mustafy w 1683 r. Wielkie zwycięstwa o strategicznym znaczeniu wymagają dobrej pamięci. Stąd potrzeba stawiania pomników chwały – ku pokrzepieniu serc zwycięzców i ku przestrodze napastliwych agresorów.

W naszym szczególnym przypadku zawiła logika dziejów sprawiła, że obroniony przez Polaków Wiedeń chętnie wziął udział w rozbiorach Rzeczypospolitej, a kongres wiedeński przyklepał ten paskudny akt na następne 100 lat. Odebranie narodowi własnego państwa jest prawdziwą tragedią.

Zasada samostanowienia narodów jeszcze wtedy nie była zakorzeniona. Despotyczni władcy nie musieli się krępować ani liczyć z konsekwencjami. A te były dramatyczne, mianowicie dwie wojny, które choć wybuchły w Europie, są zwane światowymi jak najbardziej słusznie. Pewnie zostanę wykpiony przez rozlicznych specjalistów, ale z perspektywy trzech stuleci (mniej więcej) wyłania się taki związek przyczynowo-skutkowy: gdyby nie było rozbiorów Polski w XVIII w., w XX w. nie byłoby dwóch wojen światowych i związanych z nimi nieszczęść.

Radykalne naruszenie politycznej struktury kontynentu (który po prawdzie jest jedynie półwyspem Azji) wywołało ruchy tektoniczne niewygodnie osadzonych narodów, których nagromadziło się tu ok. 40. Nieodległym przykładem tej społecznej tektoniki były wojny jugosłowiańskie. Zniewoleni komunistyczną przemocą ludzie, kiedy tylko wyczuli, że mogą zrzucić uciążliwe jarzmo przymusowej wspólnoty, z pasją zabrali się do rozkuwania uciążliwych więzów. Inaczej niż społeczeństwa tzw. demoludów, które po urwaniu się z sowieckiego łańcucha czym prędzej zapisywały się do mitycznego Zachodu. Ale trend ten sam: najpierw odzyskać niepodległość, a potem zdecydować, w jakim gronie chce się ją konsumować.

Odzyskiwanie niepodległości to odzyskiwanie godności, powrót do wartości kształtujących tożsamość itd.

Przejawem tej potrzeby są właśnie pomniki. Wracając więc do tematu – nie denerwujcie się rodacy, że Austriacy, Niemcy, Rosjanie nie mają zamiaru godzić się na polskie monumenty na swoim terytorium. Nie są tacy głupi. Denerwujcie się, nawet wściekajcie, że my sami jesteśmy zbyt głupi, by postawić w Warszawie łuk triumfalny Bitwy Warszawskiej. To dosyć ponura konstatacja, dotycząca również mnie osobiście, ponieważ przez wiele lat zabiegałem o tę historyczną inwestycję. Niestety betonu okupantów na warszawskich placach i w różnych głowach nie dało się skruszyć. Jestem przekonany, że po wyborach temat wróci...

Tusk każe, sługa musi

Samuel Pereira

Tempo, w jakim podwładni Donalda Tuska, jego ministrowie reagują na jeden krótki wpis wściekłego premiera, jest zadziwiające.

W minioną środę w nocy Tusk usiadł do komputera i zagrzmiał na platformie X. W swojej rutynowej wściekłości napisał, że rozliczanie PiS trwa za wolno. Wiadomo, może i masło drogie, inflacja rośnie, Polacy się zapożyczają, ale za to zrobimy wam igrzyska. Więcej rozliczeń, ostrzej, śmielej! Wystarczył ten wpis i natychmiast mamy reakcję.

Minister spraw wewnętrznych i administracji rzucił swoje psy gończe, a ich działania nagłośnił medialnie. Zatrzymanie Olgierda L. pozwoliło politykom PO połączyć go z kandydatem obywatelskim Karolem Nawrockim (bezpodstawnie, ale kogo by to interesowało, prawda?), a kontrola CBA w Lux Veritas przyniosła nową falę hejtu na Radio Maryja i o. Tadeusza Rydzyka. Wszystko pod publiczkę, co zresztą potwierdził sam premier, chwaląc się na konferencji prasowej tymi akcjami. W tym wszystkim nie mogło zabraknąć reakcji „Ananiasza", pupilka i pieszczoszka naszego pana premiera. W odpowiedzi na grzmoty Tuska minister sprawiedliwości wysmażył długą litanię zemsty, w której podsumował, jak to dzielnie walczy z opozycją, podał nazwiska, liczbę spraw i pochwalił się świetną współpracą z komisjami śledczymi – wszyscy widzimy, jak działają. Oprócz nich samych, bo przecież posłowie przewodniczący komisjom śledczym są święcie przekonani o tym, że prowadzą obrady wybitnie. Nie zastanawiają się zbytnio nad meritum, co było widać po ciężkich pracach polowych byłego szefa ABW Piotra Pogonowskiego.

Jednak psy gończe nie przejmują się tym, zadowolenie pana jest najważniejsze. Słowa Donalda Tuska są świętością, która ma się zmienić w ciało, a kto uważa inaczej, ten wróg, a może i gorzej: pisowiec. Grunt to odpowiednie ustawienie priorytetów. Prawo? Nieważne trybunały i sądy. Wyroki, przepisy? Też nieważne. Ważne jest tylko polowanie, ono trwa i trwa mać.

eprasa.pl 86d75865c9

Niespełniony kamień milowy Reyndersa – uczciwość

W świecie polityki, gdzie każdy gest i każde słowo są analizowane, w oczach euroentuzjastów przez lata Didier Reynders jawił się jako współczesny Świętoszek. Ten polityczny moralizator, który z wysokości unijnych trybun pouczał Polskę o praworządności, nagle sam stał się bohaterem ostatnich dni. Belgijska policja przeszukująca jego nieruchomości w związku z podejrzeniami o pranie brudnych pieniędzy? Cóż, to brzmi jak paradoks godny najlepszych fars Moliera.

Reynders, przez lata pełniący funkcję komisarza UE ds. sprawiedliwości, był swoistą wyrocznią dla opozycji w Polsce. Politycy KO natrzaskali sobie z nim tyle zdjęć, że trudno to teraz zliczyć. Pewnie też sporo już pousuwali, bo były komisarz, twarz europejskiej walki o „praworządność" takiej, jaką oni ją rozumieją (parafrazując Tuska), znalazł się na celowniku śledczych.

Przypomnijmy, że to właśnie on wyliczał Polsce kamienie milowe. Te same, które rzekomo miały nas doprowadzić do unijnych pieniędzy z KPO, a które według niego wciąż pozostawały poza naszym zasięgiem. Ten sam Reynders, który krytykował aresztowanie Pabla Gonzáleza-Rubcowa, bijąc na alarm o rzekomym łamaniu wolności mediów i praw człowieka w Polsce. W tej sytuacji pytanie brzmi: skąd pochodziły pieniądze, które, jak podejrzewają belgijscy śledczy, mógł prać Reynders? Czy po wypraniu były równie „czyste", jak jego polityczne kazania?

Historia Reyndersa to dowód na to, że ci najbardziej „praworządni", w świetle reflektorów prezentujący nieskazitelny wizerunek, za kulisami wikłają się w moralne bagno. Mamy tu swoistego współczesnego Tartuffe'a, który z zapałem pouczał innych, podczas gdy sam najwyraźniej zapomniał, że etyka zaczyna się od własnego podwórka.

Zgodnie z narracją Reyndersa Polska za rządów Zjednoczonej Prawicy miała być uczniem na ławie oskarżonych, któremu trzeba nieustannie wymachiwać palcem. Tymczasem to właśnie ten samozwańczy sędzia praworządności okazuje się podejrzany o czyny, które z praworządnością mają tyle wspólnego, co molierowski Świętoszek z prawdziwą pobożnością.

Reynders wyliczał nam kamienie milowe, a teraz sam potknął się o najważniejszy... uczciwość.

Teraz należy spokojnie czekać, jakie kamienie milowe przedstawią mu śledczy, by zmniejszyć wymiar kary.

Arkadiusz Mularczyk

Stanę się wreszcie sobą

Z aktorką Aleksandrą Grabowską rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Jak długo zna pani dr Krasucką?

Aleksandra Grabowska: Nawet trudno mi w to uwierzyć, ale z serialem „Na dobre i na złe" jestem związana od sześciu lat. I bardzo się cieszę z tego powodu, bo scenariusz nieustannie daje mi pole do rozwoju. Poza tym atmosfera jest wspaniała. To najbardziej rodzinny plan, na jakim zdarzyło mi się pracować.

Glorii przytrafiają się różne zawirowania. Które z nich wspomina pani szczególnie?

Wątek adopcji. Nie obawiam się grać z dziećmi (na planie było dwóch chłopców), bo tym, co szczególnie mnie fascynuje w aktorstwie, jest prawda płynąca od partnera. Dzieci i zwierzęta są autentyczne i przez to zmuszają do prawdy.

Odnalazła się pani w Leśnej Górze, a jak było w Królowym Moście?

Podlasie absolutnie mnie urzekło, podobnie jak moją bohaterkę. Mieliśmy dużo wyjazdowych zdjęć, bo równocześnie z filmem realizowany był serial.

Podobno wróciła pani do serialowych „Braci"?

I to z wielką radością. Również tu pracowało się nam znakomicie. Poza tym kobiety w „Braciach" rządzą.

A jak się grało z Tomaszem Kotem?

Znakomicie. To wspaniały aktor i człowiek. Serial „Gąska" jest kolejną propozycją twórców przebojowego „1670". Komediowa fabuła rozgrywa się w tytułowym supermarkecie.

Zdarza się pani jeszcze słyszeć: „Czy ten Grabowski to pani ojciec?".

Owszem. Odpowiadam wtedy, że tak. Tyle że Piotr, a nie Andrzej. I wciąż mam nadzieję, że z „córki swojego taty" stanę się wreszcie sobą. Chyba już na to zapracowałam [uśmiech].

Fot. TVP

eprasa.pl 86d75865c9

TRENDY I OWĘDY

Karuzela fundacyjna

Ryszard Makowski

Mamy finansową zapaść w służbie zdrowia. Nie jest to jakieś kuriozum. Po trzech kwartałach br. zysk netto Grupy ORLEN wyniósł 3,012 mld zł i był niższy, bagatela, o 17,034 mld zł niż w takim samym okresie 2023 r. Mimo tych tarapatów spółka postanowiła wspomóc nasze lecznictwo, z tym że środki będą przepuszczone przez WOŚP. Trzy najbliższe finały rodzinnego interesu zostaną wsparte kwotą 3,9 mln zł. Ale to nie wszystko. Od każdego kubka kawy sprzedanego na stacjach ORLEN WOŚP będzie dostawała złotówkę. Na stronie Fundacji Grupy ORLEN widnieje informacja: „Dzięki połączeniom i fuzjom z innymi spółkami Grupa ORLEN posiada pięć fundacji korporacyjnych – Fundacja ORLEN, Fundacja PGNiG im. Ignacego Łukasiewicza, Fundacja ORLEN dla Pomorza, Fundacja Energa, Fundacja ANWIL, Fundacja ORLEN Unipetrol". Jak to jest, że jako potęga fundacyjna Grupa ORLEN nie może pomagać bez zewnętrznych pośredników?

Podobnie było w przypadku powodzi. Mający swoją fundację PZU zamiast bezpośrednio powodzianom przesłało środki na WOŚP. Czemu akurat ta fundacja jest tak rozpieszczana? Krążą plotki, że władza odpłaca się za rozwieszenie przez nią przed zeszłorocznymi wyborami sprytnych billboardów z napisem: „Polacy! Pokonajmy to zło! Wygramy" i drobnym drukiem „z sepsą".

Pojawia się pytanie zasadnicze, czy WOŚP nie dopuściła się niegospodarności, rozwieszając w całej Polsce takie billboardy? Pieniądze ze zbiórki nie poszły na żadną konkretną pomoc, tylko na propagandę z podtekstem politycznym. Widać, że u nas nie tylko karuzele VAT-owskie działają prężnie. Karuzele fundacyjne również.

POWOLNE MEDIA WEDŁUG MICHAŁA KORSUNA

SIECI
ISSN 2544-2694
www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI
ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, JAKUB MACIEJEWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NALASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, MAŁGORZATA WOŁCZYK, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU: KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY: REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO: TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00) PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT.: ANDRZEJ WIKTOR x3, JULITA SZEWCZYK, ARTUR SZCZEPAŃSKI/REPORTER, SHUTTERSTOCK/REVIEW NEWS, DMITRY SHCHUKIN

Zamów prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	109 zł	189 zł	349 zł

*Dane do przelewu w stopce redakcyjnej

eprasa.pl 86d75865c9

To my wygraliśmy!

Musiałam być jak bokser, który wychodzi na ring i walczy, nie użala się nad swoim losem. Jeśli kolejnym prezesem TK zostanie sędzia, który czuje się niezależny, który rozumie wyjątkowość tej instytucji, to myślę, że także poradzi sobie i z presją, i z wyzwaniami

Jacek Karnowski i Wojciech Biedroń
rozmawiają z Julią Przyłębską, prezesem Trybunału Konstytucyjnego

Za panią dziewięć bardzo trudnych lat, pełnych chwilami ekstremalnych przeciążeń, najpierw w roli sędziego Trybunału Konstytucyjnego, później już w roli prezesa TK. Zapytamy krótko: czy było warto?

Julia Przyłębska: Zawsze warto podejmować wyzwania, zwłaszcza w służbie publicznej. Osobiście nie lubię takiego cofania się w przeszłość i budowania alternatywnych scenariuszy. To nic nie wnosi, do niczego nie prowadzi. Na ostatnie dziewięć lat patrzę jednak z perspektywy całej mojej drogi życiowej.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 26d75

Pracowała pani jako sędzia „liniowy", później jako dyplomata i znów jako sędzia. Pani krytycy, czy też wrogowie, zupełnie pomijali tę drogę.

Tak, ale chodzi mi o coś innego: zawsze uważałam, że sędzia musi być przede wszystkim odważnym człowiekiem. Musi wiedzieć, że wpływa na losy konkretnych ludzi, czy to podejmując wielkie decyzje, czy rozstrzygając pozornie drobne sprawy dotyczące tzw. groszy. Sędzia nie może podchodzić do swojej pracy z perspektywy kariery, on jest delegowany przez suwerena do służby społeczeństwu i nigdy nie może o tym zapomnieć.

Sędziowie nie powinni więc „grać w paragrafy", lecz powinni dostrzegać istotę sprawy i szukać zrozumiałej społecznie sprawiedliwości?

Gdy śp. prezydent Lech Kaczyński wręczał nominacje sędziowskie, szczególnie mocno podkreślał ten wątek, mówiąc, że sędziowie nie są bogami, ale ludźmi, którzy muszą sprostać zaufaniu społecznemu. Sędzia nie może myśleć o sobie, musi mieć zdolność spojrzenia na sprawę obiektywnie, w poczuciu służby. Sędzia musi być hermeneutą, musi wiedzieć, że kształtuje nas rozmowa, że jesteśmy rozmową.

Sędzia musi być odważny, ale czy odwaga wystarczy, gdy zwala się na niego zorganizowana kampania hejtu, nienawiści i prześladowań, także rodziny? Jesienią 2020 r. po werdykcie w sprawie ochrony życia znalazła się pani na celowniku potężnych sił i mediów, nie oszczędzono także sfery prywatnej, atakując również w miejscu zamieszkania.

Rzeczywiście, szczyt ataku przypadł na jesień 2020 r., ale zaczęło się jeszcze wcześniej przed wyrokiem. Z głośników ustawionych przed siedzibą Trybunału Konstytucyjnego godzinami puszczano np. przejmujący płacz dzieci, co było w istocie torturą dla wielu pracowników. Staliśmy się oblężoną twierdzą, sędziowie oraz pracownicy musieli znieść bardzo wiele, często cierpieli. Konieczne było przydzielenie ochrony kilku sędziom. Atakowano mnie również w Niemczech, gdzie mój mąż pełnił wówczas funkcję ambasadora RP. Z tego powodu przydzielono mi niemiecką ochronę. Atakowano mnie w sklepach, w czasie podróży, gdy byłam w domu. Atakowano, gdy stałam z wnuczką na peronie. Wszędzie, i to zarówno przed, jak i po wyroku. W zasadzie od kiedy objęłam funkcję prezesa.

> To, co mamy, wynika z ciężkiej i uczciwej pracy mojej oraz mojego męża. Nie jesteśmy milionerami. Teraz też snuje się opowieść o odprawach. Więc wyjaśniam: odprawa prezesa jest taka sama, jaką dostają i zawsze dostawali sędziowie, także Sądu Najwyższego

Jak znosiła pani te prześladowania, których celem było przecież złamanie, zniszczenie, dezintegracja człowieka?

Byłam już uodporniona, martwiłam się raczej o bliskich, innych sędziów, pracowników. Oni bardzo cierpieli, wielu nie było przygotowanych na tak ekstremalne przejścia. W czasie mojej kadencji jako prezesa zmarło trzech sędziów TK, co miało też wpływ, oprócz pandemii, na tempo pracy w różnych sprawach, ponieważ zmieniały się składy sędziowskie, sędzia musiał zapoznać się ze sprawami, co spowodowało przesunięcie terminów. Łącznie w czasie mojej kadencji w Trybunale Konstytucyjnym pojawiło się 10 sędziów.

Śmierć trzech sędziów – Lecha Morawskiego, Henryka Ciocha i Grzegorza Jędrejka – to także był efekt presji, która spadła na Trybunał Konstytucyjny? Czy zgadza się pani z opinią, że tych sędziów po prostu zaszczuto?

Przekraczano granice, i to w bezwzględny sposób. Ta olbrzymia presja musiała mieć swoje skutki i wywarła wpływ na stan zdrowia nas wszystkich.

Pani nie oszczędzono nawet wiwisekcji osobistego majątku. Ze zwykłego domu na wsi zrobiono „pałacyk". Zgodzi się pani, że to było nawet zabawne?

Może z perspektywy czasu tak na to spojrzę. To, co mamy, wynika z ciężkiej i uczciwej pracy mojej oraz mojego męża. Nie jesteśmy milionerami, ale całe życie uczciwie pracowaliśmy na fundamentalne potrzeby funkcjonowania. Teraz też snuje się opowieść o odprawach, zaległym urlopie. Więc wyjaśniam: odprawa prezesa jest taka sama, jaką dostają i zawsze dostawali sędziowie, także Sądu Najwyższego. A żadnego zaległego urlopu nie mam. Często czytam o sobie wymysły, bzdury, których już nawet nie prostuję, bo media i tak nie uwzględniają tych sprostowań.

Czy wówczas, w październiku 2020 r., podjęcie decyzji w sprawie aborcji było konieczne? Jest jasne, że na gruncie konstytucji i wcześniejszej linii orzeczniczej werdykt nie mógł być inny, ale czy sprawa nie mogła dalej leżeć i czekać?

Termin rozpatrzenia sprawy był przypadkowy w tym sensie, że został wyznaczony losowo i trzeba było w końcu przystąpić do jej rozpatrywania po okresie, gdy wyznaczony skład zapoznał się ze sprawą, przepracował ją i był gotowy do orzekania. Poza tym, i to jest najważniejsze, sędzia musi być sędzią do końca, nie może sobie wybierać spraw łatwiejszych, nie może się uchylać, grać w jakieś gry, w istocie polityczne. Wniosek wpłynął dwukrotnie i należało go rozpoznać.

eprasa.pl 86d75865c9

Fot. Andrzej Wiktor

Spodziewała się pani tak wielkiej burzy, właściwie huraganu, w tej sprawie?

Sądzę, że duża część emocji wokół tej sprawy wynika z celowej manipulacji. Nie jest przecież prawdą, że wyrok TK całkowicie zakazał aborcji. Cały czas obowiązuje przepis, który stanowi, że jeżeli ciąża zagraża życiu lub zdrowiu kobiety, zabieg jest dopuszczalny. Lekarze o tym wiedzą, lecz milczą, nie zabierali i nie zabierają głosu. Tak samo w przypadku gwałtu lub kazirodztwa. Obowiązujące w Polsce regulacje uwzględniają prawo kobiety do ochrony jej życia i zdrowia.

Pamiętamy, że przed wyrokiem środowiska pro-life były bardzo aktywne, wywierały na panią presję, czasem bardzo brutalną. Później, gdy rozpętała się burza, gdy pojawiło się zagrożenie fizyczne, właściwie zamilkły. To politycy PiS musieli bronić kościołów, sfera społeczna zamknęła się w domu.

Tak, miałam poczucie, że zostałam w tej walce sama, ale dziś też uważam, że postąpiłam w sposób, w który należało postąpić. Prawa człowieka, do których tak często się odwołujemy, dotyczą nas wszystkich. I tego nic nie zmieni.

> Jeśli w wywiadach profesorowie prawa potrafią zmienić linię, którą prezentowali w wydanych przez siebie podręcznikach, to naprawdę mamy kryzys fundamentów

Stale rozliczano panią także z rzekomo wolnego tempa pracy TK, zarzucano, że zapada zbyt mało wyroków.

Wspomniałam już o zmianach kadrowych, o pandemii. Ale kluczowe jest to, że Trybunał Konstytucyjny składa się tylko z 15 sędziów, jest sądem prawa, a wpłynęły setki spraw. Każda wymaga większości do podjęcia decyzji, co oznacza, że nieprawdziwe są tezy, że jesteśmy monolitem. Świadczy o tym chociażby znacząca liczba zdań odrębnych.

Patrząc na poziom dyskusji w Sejmie wokół TK, dochodzimy do wniosku, że tu w ogóle nie było merytorycznych sporów. Rzucano hasła i powtarzano je bez końca. To była operacja z obszaru postpolityki, a nie prawa czy klasycznej polityki.

Dobrej woli rzeczywiście nie było, nie słuchano, stale próbowano poniżać. Ale i w świecie nauki, tak ważnym dla prawidłowego funkcjonowania praworządności, mamy do czynienia z pauperyzacją. Za pisanie doktoratów biorą się ludzie, którzy nie mają do tego kompetencji, skutki są opłakane. Do tego dochodzi zjawisko wypowiadania się przez osoby o pozycji autorytetów w sposób bardzo ostry, niezgodny z całym ich dorobkiem naukowym, czysto polityczny.

Co pani ma na myśli?

Jeśli prof. Andrzej Zoll wypowiada tezy, które mają uderzać w prezydenta Andrzeja Dudę, a które są całkowicie sprzeczne z obowiązującym w Polsce prawem, jest to jednak deformowanie doktryny prawnej obowiązującej w naszym kraju. Jeśli w wywiadach prasowych profesorowie potrafią zmienić linię, którą prezentowali

eprasa.pl 86d75865c9

w wydanych przez siebie podręcznikach, to naprawdę mamy kryzys fundamentów. W tym kontekście – mówię to na podstawie wieloletnich doświadczeń – myśl prawnicza prezentowana przez prezydenta dr. Andrzeja Dudę jest przemyślana, konsekwentna, zgodna z porządkiem prawnym. Prezydent jest świetnym prawnikiem.

Linia wierności konstytucji jednak przegrała. Dziś władza rządzi za pomocą „pały i uchwały", wchodzi bez podstawy prawnej do instytucji, a jednocześnie, tak jak minister Adam Bodnar, gardłuje o „przywracaniu praworządności". Co można zrobić?

Minister sprawiedliwości, będąc profesorem prawa, wykorzystuje prawo w sposób niezgodny z duchem i literą. On niszczy obowiązujący w Rzeczypospolitej system prawny, narusza konstytucję w oczywisty sposób.

Powinien siedzieć?

Jako sędzia nigdy tego nie powiem zgodnie z zasadą *in dubio pro reo*, ale z pewnością powinien zostać rozliczony z tego wszystkiego, co obecnie robi, przez obiektywny sąd. Pamiętajmy też, że za każdym konkretnym przypadkiem naruszenia prawa przez sądy stoi konkretny sędzia. Wierzę, że są sędziowie, którzy staną na wysokości zadania i będą potrafili ocenić te wszystkie sprawy. Wierzę też, że po ciemnych dniach przychodzą jasne, przychodzi otrzeźwienie. My też nie możemy zrezygnować z troski o wymiar sprawiedliwości, do którego ma prawo każdy obywatel. Tym bardziej że zdecydowana większość sędziów jest uczciwa i dobrze rozumie swoją misję, swoje obowiązki.

Może więc należy po prostu odpolitycznić środowisko sędziowskie?

To jest złe podejście, nie ma czegoś takiego jak całkowita wolność od polityki. Wszyscy funkcjonujemy w konkretnej społeczności, wszyscy mamy jakieś poglądy. To jest oczywiste. Zalecam czytanie Monteskiusza, by zrozumieć, na czym rzeczywiście polegają trójpodział władzy i sędziowska niezależność, ów przymiot, który trzeba mieć w sobie. A jeśli szukamy konkretnych rozwiązań, to dbajmy o godne, równe wynagrodzenia i poziomą strukturę systemu, bo w ten sposób minimalizujemy elementy konformizujące sędziów ze strony administracji i władzy.

> Byłoby absurdem założenie, że w momencie wyboru na funkcję prezesa TK należy zerwać wszelkie relacje towarzyskie. Niezawisłość polega na tym, że gdy zakłada się togę i zaczyna orzekanie, sędzia kieruje się wyłącznie prawem

Trybunał Konstytucyjny rozpoczął działalność w połowie lat 80. XX w., był elementem politycznych manewrów komunistycznych władz. Po upadku PRL został w dużej mierze zawłaszczony przez konkretne środowiska prawnicze, i choć sędziów wybierał Sejm, to decydowały wewnętrzne hierarchie, kolejki, drabinki. Gdy pani została prezesem TK, ten układ runął. Czy to nie była główna przyczyna tego wściekłego ataku?

Rzeczywiście, te konteksty są ważne. Miałam przyjaciół raczej w kręgach naukowych, w których obraca się mój mąż, więc nigdy nie toczyłam dyskusji o konkretnych sprawach, nie miałam poczucia, że opinia koleżanek i kolegów wpływa na moje postrzeganie sprawy, w której mam orzekać, nigdy nie budowałam jakichś sieci. W Trybunale z kolei pracowało 15 sędziów i choćby liczba zdań odrębnych pokazuje, że każdy był wolny w wyrażaniu swojego poglądu.

Pani zarzucano jednak znajomość z prezesem PiS Jarosławem Kaczyńskim, przywoływano jego wypowiedź w tej sprawie. Czy prezes TK może się spotykać z politykami?

Absurdem byłoby założenie, że w momencie wyboru na funkcję prezesa TK należy zerwać wszelkie relacje towarzyskie i społeczne, a może i rodzinne. Niezawisłość polega na tym, że gdy zakłada się togę i zaczyna orzekanie, sędzia kieruje się wyłącznie prawem, jego literą i duchem. Ci, którzy mnie atakują, nie mogą sobie wyobrazić, że na spotkaniu towarzyskim w szerszym gronie przez kilka godzin można rozmawiać o wszystkim, ale nie o sprawach Trybunału. To świadczy raczej o nich niż o mnie. Co oni mają w głowach? Jak funkcjonują na co dzień?

Sugerują, że ktoś dyktuje werdykty.

Nigdy bym sobie nie pozwoliła nawet na sugestie w sprawach rozpraw czy wyroków. Nigdy nie postawiłam takiego zarzutu moim poprzednikom w Trybunale, choć zapadały tu wyroki, np. w sprawie OFE i to w czasie, gdy ówczesny rząd desperacko potrzebował pieniędzy. Powtarzam: sędziego TK nie można wypisać ze społeczeństwa. Mnie i mojej rodzinie próbuje się narzucić jakieś absurdalne ograniczenie praw obywatelskich. Gdy rozeszła się nieprawdziwa plotka, jakoby mój mąż miał kandydować do Parlamentu Europejskiego, rozpętała się histeria. Musiałam wydawać oświadczenie, choć przecież teoretycznie mój mąż ma prawo korzystać również z biernego prawa wyborczego.

Czy w sprawie sędziów, których duża część polityków określa mianem „dublerów", można było zrobić coś więcej? Można było uniknąć tego sporu?

Nie, bo w sferze prawnej nie ma żadnych wątpliwości: to są legalni sędziowie TK. Prezydent nie popełnił żadnego błędu, odebrał ślubowanie od legalnie wybranych sędziów. Marszałek Sejmu przysłał bowiem panu

eprasa.pl 86d75865c9

prezydentowi pięć uchwał potwierdzających wybór konkretnych osób.

Kończy pani swoją kadencję sędziego i prezesa w chwili, gdy rząd i większość sejmowa po prostu ignorują orzeczenia TK. Mamy sytuację, która nawet nie śniła autorom konstytucji. Czy to panią boli?

To my wygraliśmy! My, czyli ja i pozostali sędziowie TK. Trybunał działa, wydaje wyroki, nie wystraszył się. Żaden z sędziów się nie załamał, nie uległ presji i tym niewypowiedzianym, ale czytelnym groźbom.

Czasem wypowiedzianym. Pamiętamy choćby „silnych mężczyzn".

To prawda. Pani, która nie publikuje wyroków, szefowa Rządowego Centrum Legislacji, narusza obowiązujące prawo. Ale jednocześnie wyroki Trybunału obowiązują od chwili ich podjęcia z samej mocy prawa, więc to, że ona łamie prawo, niczego nie zmienia. A przedstawiciele władz, w tym Sejmu, którzy ignorują rozprawy, pozbawiają głosu obywateli, których reprezentują. To są ich decyzje. My obroniliśmy Trybunał.

Sędziowie nie ulegli presji, ale faktem jest, że najwięcej spadało na panią, a i pani brała na siebie najwięcej, chroniąc pozostałych sędziów oraz instytucję. Czy teraz to grono będzie w stanie równie dzielnie bronić pozycji konstytucyjnych?

Prezes reprezentuje Trybunał na zewnątrz, więc to była moja rola i nie mogło być inaczej. Musiałam być jak bokser, który wychodzi na ring i walczy, nie użala się nad swoim losem. Jeśli kolejnym prezesem Trybunału zostanie sędzia, który czuje się niezależny, który rozumie wyjątkowość tej instytucji, to myślę, że także poradzi sobie i z presją, i z wyzwaniami.

Władza mówi – i już także zaczyna to wdrażać – że nie wypłaci pensji sędziom. Co wtedy?

Niech władza poczyta konstytucję, w niej jest jasno napisane, że sędziom zapewnia się wynagrodzenie i warunki pracy adekwatne do stanowiska. Ignorancja nie tłumaczy polityków, którzy łamią ustawę zasadniczą. I jestem przekonana, że Polacy w końcu zareagują na to, co się dzieje wokół nas. Już widać, że reagują, że się jednoczą, organizują. Do tego prezydent dzielnie i mądrze broni naszego ustroju. Ten koszmar nie będzie trwał wiecznie. Już widać początki jego ustępowania.

Uważne oko dostrzegło jednak, że w czasie pani kadencji i z Trybunału wychodziły dyskretne, ale i zjadliwe uderzenia w panią. Wyciekały np. informacje, które nie powinny wyciekać. Część wrogich pani mediów wyraźnie dostawało wiadomości ze środka.

> Sądzę, że duża część emocji wokół tej sprawy wynika z celowej manipulacji. Nie jest przecież prawdą, że wyrok TK całkowicie zakazał aborcji. Miałam poczucie, że zostałam w tej walce sama, ale dziś też uważam, że postąpiłam w sposób, w który należało postąpić

Tak, to była moja porażka. Wiem, kto i co robił, ale nie zdołałam tego zatrzymać. Za porażkę uważam także fakt, że nie udało się rozpoznać wszystkich spraw, np. związanych z przywilejami byłych funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa.

Czy w ciągu ostatnich dziewięciu lat nie myślała pani o odejściu? Może to zdjęłoby część presji z Trybunału?

Nie mogłam tego zrobić, bo w ten sposób przyznałabym rację tym, którzy podważali legalność mojej pozycji, wypowiadając wręcz żenujące opinie w sprawie stanu prawnego. Nie mogłam tego zrobić, bo postawiłabym znak zapytania przy moich kompetencjach prawniczych. Nie mogłabym tego zrobić, bo zlekceważyłabym opinię pozostałych sędziów, którzy kilkakrotnie potwierdzali moje stanowisko, okazywali mi wsparcie, także osobiste, bardzo dla mnie ważne. Nie mogłam też zawieść moich współpracowników, w dużej części młodych osób, które okazały się nie tylko zdolnymi, lecz także mocnymi ludźmi z kręgosłupami. Powtarzam: sędzia musi być sędzią do końca. Dziś mam satysfakcję, bo wypełniłam swój obowiązek, a także mogę powiedzieć: nie złamali mnie i nigdy mnie nie złamią. Dziś już to wiem.

Jakie ma pani plany? Co dalej? Może napisze pani wspomnienia?

Materiału do wspomnień nie brakuje, robiłam też pewne notatki, notowałam uwagi, by nie zgubić istotnych faktów. Może coś napiszę... Jeśli pozostanę w stanie spoczynku, będę mogła angażować się w różne aktywności, ale w ograniczony sposób. Jeśli zrezygnuję ze stanu spoczynku, to tych możliwości będzie więcej. Najbardziej boleję nad tym, że stracę swój Trybunał Konstytucyjny, który przecież, zdaniem wielu mediów, należał do mnie [śmiech].

„Trybunał Przyłębskiej", tak mówili i jeszcze mówią. Był w tym również ukryty komplement dotyczący siły osobowości.

Możliwe, że tak było. Wracając do przyszłości, to jeszcze nie mam sprecyzowanych planów, najpierw pewnie nadrobię zaległości towarzyskie, także w tych sferach, które tak mi wypominano. Mogę powiedzieć jedno: na pewno nie będę stała z boku, jeśli w Polsce dalej będą niszczone praworządność i demokracja, jeśli władza wykonawcza dalej będzie budowała jakiś nowy ustrój sprzeczny z konstytucją i z pewnością nie demokratyczny. Tak nie będzie, obiecuję.

eprasa.pl 86d75865c9

Pojedynek generałów

W tle starcia Nawrockiego z Trzaskowskim o prezydenturę toczy się wojna sztabów dowodzonych przez generałów Paprocką i Szefernakera. Kto wygra?

STANISŁAW JANECKI

Dobra organizacja kampanii wyborczej jest oczywiście ważna, ale w Polsce przeceniana. Jeśli kandydat sam nie zdobędzie wysokiej pozycji, sztab mu wprawdzie pomoże, ale go nie zastąpi. Zresztą zwykle zasługi sztabów są podnoszone ex post, jeśli kandydat wygra.

Sztaby sprawdzają się najlepiej, gdy mają jednego generała i wielu sierżantów sztabowych. Nie sprawdzają się, gdy jest zbyt wielu generałów. Nie sprawdzają się też, gdy szef sztabu okazuje się atrapą, jak było np. z Joanną Kluzik-Rostkowską, szefową sztabu Jarosława Kaczyńskiego w wyborach prezydenckich w 2010 r.

W kampanii prezydenckiej w 2025 r. dojdzie przede wszystkim do konfrontacji szefowej sztabu Rafała Trzaskowskiego Wioletty Paprockiej-Ślusarskiej z szefem sztabu Karola Nawrockiego Pawłem Szefernakerem. Reprezentują oni dwa zupełnie różne modele sprawowania swoich funkcji. Z jednej strony mamy supersekretarkę do wszystkiego, z drugiej – liczącego się polityka, ale dobrze zorientowanego w nowych technologiach i prowadzeniu kampanii w internecie. Wokół Wioletty Paprockiej stworzono mit kogoś w rodzaju komiksowej Wonder Woman, choć nie ma on nic wspólnego z rzeczywistością. Po prostu przypisano jej wszelkie sukcesy wyborcze, podczas gdy była i jest tylko dobrze zorganizowaną urzędniczką, dbającą o kalendarz i dyscyplinę. Donald Tusk mówił, że Paprocka była jednym z architektów „sukcesu" 15 października (2023 r.), choć przecież partia, której sztabem kierowała, wcale nie wygrała wyborów. Dominuje myślenie magiczne: skoro szefowała sztabom Koalicji Obywatelskiej i Rafała Trzaskowskiego, to sama jej obecność oznacza wygraną.

Choć do ogłoszenia terminu wyborów prezydenckich pozostał ponad miesiąc, Wioletta Paprocka uczestniczyła w kilku spotkaniach Rafała Trzaskowskiego z wyborcami. A przecież jest nie tylko szefową gabinetu włodarza stolicy, lecz także radną sejmiku mazowieckiego oraz szefową rady nadzorczej Tramwa-

Fot. Jacek Dominski/REPORTER, Wojciech Olkusnik/East News

eprasa.pl 86d75865c9

jów Warszawskich. Rafał Trzaskowski tłumaczył, że szefowa jego sztabu „nie jest urzędnikiem państwowym", a poza tym „kampania wyborcza jeszcze się nie zaczęła". Sama Paprocka stwierdziła, że trzy spotkania, w których uczestniczyła, „odbyły się poza godzinami mojej pracy i obowiązkami w ratuszu. Jak w poprzedniej kampanii, tak i w tej nadchodzącej będę brała oczywiście urlop".

Paweł Szefernaker jest tylko posłem, więc nie musi uprawiać żadnej gimnastyki artystycznej, gdy chodzi o udział w kampanii (prekampanii).

OBROTNA JAK PAPROCKA

Wioletta Paprocka od 2005 r. pracowała dla różnych sztabów Platformy Obywatelskiej. Od 2010 r. jest radną sejmiku mazowieckiego, od 2013 r. pracuje w warszawskim ratuszu, m.in. jako dyrektor gabinetu prezydenta Warszawy, a od lutego 2023 r. jest przewodniczącą rady nadzorczej Tramwajów Warszawskich. Sprawowała funkcję rzeczniczki prasowej MSWiA, gdy resortem kierował Grzegorz Schetyna, później została jego doradczynią, gdy zajął fotel marszałka Sejmu.

Paprocka tylko wygląda na miłą czterdziestolatkę o dziewczęcej, wręcz dziecięcej twarzy. Jej prawdziwe oblicze widać było kilka tygodni temu na nagraniu z jednego ze spotkań Rafała Trzaskowskiego. W pewnym momencie złapała za rękę młodą kobietę i próbowała zaciągnąć ją blisko prezydenta Warszawy. Kobieta protestowała. „Nie wstyd Pani tak nachalnie nagabywać nieznane Pani osoby do robienia tła Pani szefowi?" – skomentował poseł PiS Sebastian Kaleta. „Nie oceniaj proszę wszystkich swoją miarą. Pani chciała stanąć z koleżankami obok, ale bała się, że ją pracodawca zobaczy. A mi się wydawało, że te czasy podziału to się już zakończyły 15 X. Widać, że domkniemy je, wygrywając wybory prezydenckie. I strach nie wróci" – odpowiedziała Paprocka. A może odwrotnie: po domknięciu systemu strach będzie powszechny, a odmowa pozowania do fotografii wielce ryzykowna?

Z kolei Paweł Szefernaker od lipca 2014 r. był przewodniczącym Forum Młodych PiS, wiceprzewodniczącym Europejskich Młodych Konserwatystów. W wyborach samorządowych w 2014 r. został radnym sejmiku zachodniopomorskiego. W 2015 r. kierował internetową częścią kampanii prezydenckiej Andrzeja Dudy. W tym samym roku zdobył mandat posła VIII kadencji. 16 listopada 2015 r. został powołany na stanowisko sekretarza stanu w KPRM. W 2015 r. znalazł się na liście 100 innowatorów Europy Środkowej i Wschodniej New Europe 100, ogłaszanej przez Fundusz Wyszehradzki we współpracy z „Financial Times". W styczniu 2018 r. został sekretarzem stanu w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych i Administracji. Pełnił też funkcję pełnomocnika rządu ds. współpracy z samorządem terytorialnym. Sprawował nadzór nad wojewodami. 1 kwietnia 2022 r. premier Mateusz Morawiecki powołał go na stanowisko pełnomocnika rządu ds. uchodźców wojennych z Ukrainy. 27 listopada 2023 r. został powołany przez prezydenta Andrzeja Dudę na stanowisko na ministra spraw wewnętrznych i administracji w trzecim rządzie Mateusza Morawieckiego.

Wioletta Paprocka tylko pozornie sprawia wrażenie zagubionej dziewczynki. W rzeczywistości jest wyjątkowo obrotną osobą. W oświadczeniu majątkowym (z 30 kwietnia 2024) wykazała jako własność odrębną trzy mieszkania o powierzchni 73 m², 79,94 m² i 39,41 m² (połowa własności), których wartość oszacowała na ok. 2,5 mln zł. Posiada też działkę budowlaną o powierzchni 1398 m². i wartości 150 tys. zł. W urzędzie miasta zarobiła ok. 193 tys. zł, w Urzędzie Marszałkowskim – ok. 50 tys. zł, w PO – 114,5 tys. zł, w KKW KO – 9 tys. zł (łącznie 366,5 tys. zł), z wynajmu garaży – 7,2 tys. zł. Ma dwa kredyty hipoteczne na sumę 1,9 mln zł, a do spłacenia pozostało jej 924,5 tys. zł. Wychodzi na to, że Paprocka jest obrotniejsza od swego szefa Rafała Trzaskowskiego, który w ramach małżeńskiej wspólności majątkowej posiada mieszkanie o powierzchni 79 m². i szacunkowej wartości 1 mln zł. Prezydent Warszawy jest też współwłaścicielem dwóch mieszkań o powierzchni 103,5 i 38 m², których wartość szacuje się na odpowiednio 1,1 mln zł i 350 tys. zł (jedno odziedziczył po rodzicach), oraz działki z domkiem letniskowym, której wartość szacuje się na 70 tys. zł.

Natomiast Paweł Szefernaker (oświadczenie majątkowe z 26 kwietnia 2024 r.) ma mieszkanie o powierzchni 86,4 m² (współwłasność małżeńska, wartość – 1,15 mln zł) i miejsce garażowe (warte 40 tys. zł). W 2023 r. jako sekretarz stanu oraz szef MSWiA zarobił 235,4 tys. zł, dieta poselska wyniosła 45,7 tys. zł (łącznie 281,1 tys. zł), ale za 2024 r. będzie już dużo mniej, bo tylko za dochody poselskie. Ma kredyt hipoteczny w wysokości 720 tys. zł (do spłacenia 562 tys. zł).

CIEPŁO I DOBRO KONTRA TECHNOKRACJA

Paprocka jako szefowa kampanii parlamentarnej KO w 2023 r. „od samego początku prowadziła [ją] w sposób naprawdę taki wartościowy, taki, że każdy mógł się tam odnaleźć". I „chciałaby czerpać od ludzi, z tego, co mówią, czego chcą i opowiadać o ich marzeniach i realizować te marzenia. Wydaje mi się, że w tym języku, który ja proponowałam, sztab Koalicji Obywatelskiej, naprawdę było dużo ciepła i dobra". Brzmi to zabawnie, ponieważ w kampanii w 2023 r. w ogóle nie chodziło o „ciepło i dobro", tylko o zniszczenie PiS. A sama Paprocka miała być przy tym nietykalna – jako kobieta, w dodatku o wyglądzie dziecka.

eprasa.pl 86d75865c9

Szefowa sztabu Trzaskowskiego nie jest samodzielna politycznie, więc poza kwestiami organizacyjnymi nie będzie (tak jak poprzednio) o niczym decydować.

Wcześniej sztabami PO kierowali mężczyźni mocno zaangażowani w bieżącą politykę: Cezary Tomczyk, Bartosz Arłukowicz, Krzysztof Brejza, Marcin Kierwiński. W wypadku Paprockiej ważna jest prawie wyłącznie jej twarz i mit Wonder Woman. A sięgające nieba pochwały pod jej adresem wynikają z tego, że chce się jej wstawać wcześnie rano i późno kłaść, co zasadniczo kłóci się z filozofią Platformy, gdzie mało komu się cokolwiek chce, a szczególnie premierowi Donaldowi Tuskowi. Paprocka jest więc wołem roboczym, a męskie nieroby zwyczajnie przy niej odpoczywają. Powstaje tylko wątpliwość, czy jest to rycerskie, a choćby uczciwe podejście. No i pozostaje jeszcze problem mocnej lewicowości szefowej sztabu Trzaskowskiego, a przecież on musi pozyskać sporą część konserwatywnego elektoratu.

Szef sztabu Karola Nawrockiego Paweł Szefernaker też oczywiście nie będzie sam decydował o strategii kampanii, ale jest znaczącym politykiem, a nie tylko twarzą. Szefernaker (cztery lata młodszy od Paprockiej) ma sprawność organizacyjną legendarnego Przemysława Gosiewskiego i choć nie ma jeszcze jego pozycji w polityce (Gosiewski był wicepremierem), nie musi mieć na wszystko pozwolenia partyjnej góry. A warto przypomnieć, że Gosiewski wygrywał to, co wydawało się niemożliwe. Z Szefernakerem może być podobnie. Poza tym jako były szef młodzieżówki PiS może korzystać z wielu w miarę młodych ludzi, którzy razem z nim wchodzili do wielkiej polityki.

Wcześniej Szefernaker odpowiadał za takie wydarzenia w kampanii, jak tweetupy, czyli spotkania kandydata z liderami opinii nowych mediów. Jego pierwszym przełomowym pomysłem kampanii w 2015 r. było zaproszenie na konwencję otwierającą (7 lutego 2015 r.) 60 osób, w tym wielu dziennikarzy, którzy nigdy nie byli zwolennikami PiS. Okazało się, że jako naoczni świadkowie nieprzychylni dziennikarze i komentatorzy opisali konwencję bez porównania obiektywniej, niż gdyby robili to sprzed telewizora. Ważnymi wydarzeniami, za które odpowiadał, były tzw. DudaTweetup, które zapewne powtórzą się w obecnej kampanii jako NawrockiTweetup. Pomysł tweetupów Szefernaker przejął od ówczesnego ambasadora USA w Polsce Stephena Mulla, który jako pierwszy zorganizował coś takiego. Podczas pierwszego DudaTweetup 17 marca 2014 r. wielu liderów opinii mogło poznać Andrzeja Dudę z innej strony niż ta znana wcześniej z mediów. Potem te opinie poszły w świat. Podczas drugiego DudaTweetup (8 maja 2015 r.), czyli tuż przed pierwszą turą głosowania, byli obecni także lokalni liderzy opinii, którzy odegrali bardzo pozytywną rolę w ocieplaniu wizerunku po pierwszej turze.

> Szef sztabu Karola Nawrockiego Paweł Szefernaker ma sprawność organizacyjną legendarnego Przemysława Gosiewskiego. A warto przypomnieć, że Gosiewski wygrywał to, co wydawało się niemożliwe. Sztab Trzaskowskiego ma się czego bać

W 2015 r. Szefernaker przeforsował banery zamiast reklamy outdoorowej, co jest pomysłem typowym dla amerykańskich kampanii. W 2015 r. jego grupa niemal codziennie spotykała się na burzach mózgów, czyli giełdzie pomysłów i tak ma być w kampanii Karola Nawrockiego. Ten zespół odpowiadał też za relacje na żywo z dudabusa (teraz karolbusa?) oraz zapraszanie do niego różnych liderów opinii, którzy potem relacjonowali tę przygodę w mediach, nie tylko internetowych.

PRZEGRANY TO PRZEGRANY

Kandydat na prezydenta wygrywa przede wszystkim dzięki sobie, ale w sztabie musi mieć ludzi, którzy są w stanie podsuwać mu dotychczas jeszcze nie zgrane albo wręcz nie ośmieszone pomysły. I są w stanie wytknąć mu błędy. W wypadku Rafała Trzaskowskiego może to być trudne ze względu na jego narcyzm, który sprawia, że często ociera się o śmieszność w autoprezentacji. Chodzi też o to, by w sztabie pracowali ludzie, którzy nie zostali zepsuci przez wcześniejsze kampanie, nawet te kończące się sukcesem. W tym kontekście Wioletta Paprocka wydaje się znacznie podatniejsza na „zepsucie" powodzeniem niż Paweł Szefernaker.

W Polsce utarło się przekonanie, że jeśli za kampanią nie stoi znany i suto opłacany macher w rodzaju Jacquesa Séguéli, który w 1995 r. pomagał Aleksandrowi Kwaśniewskiemu, to nie wygra się wyborów. Szczególnie startując z takiej pozycji, w jakiej zaczyna obecnie Karol Nawrocki. Ale po jego pierwszych wystąpieniach już widać, że ma lepszą pozycję wyjściową niż Andrzej Duda 2015 r., którego notowania zaczęły wzrastać właściwie dopiero od wiosny tamtego roku. Sztab Rafała Trzaskowskiego będzie podkreślał, że jest on właściwie niezwyciężony, tylko że wygrana w Warszawie to nie to samo, o czym boleśnie przekonała się jego poprzedniczka w ratuszu Hanna Gronkiewicz-Waltz.

Mimo 10 mln głosów Trzaskowski przegrał wybory w 2020 r. Wprawdzie to niepowodzenie nie ciąży na nim tak bardzo jak na Donaldzie Tusku porażka w 2005 r. z Lechem Kaczyńskim, ale nawet Radosław Sikorski zauważył podczas prawyborów, że przegrana to przegrana. Że największe szanse Trzaskowski miał w 2020 r., a teraz jego czas mija. Tym bardziej że jest starszy od Karola Nawrockiego o 11 lat. Wioletta Paprocka ani go nie odmłodzi, ani nie zetrze piętna przegranego. Pod tym względem Nawrocki jest jeszcze niezapisaną kartą i Paweł Szefrenaker nie musi wokół niego robić żadnych cudów, a tym bardziej czarów.

eprasa.pl 86d75865c9

Kulisy dyplomacji

Dlaczego Zełenski przyłączył się do ataku na rząd PiS?

Prezydent Ukrainy popełnił strategiczny błąd, porzucając sojusz z jedynym rządem, który wspierał jego kraj w liczącej się skali i z determinacją, bez oglądania się na inne stolice. Pomógł w zamianie go na rząd oglądający się na Berlin i będzie za to płacił

Fot. KPRP

Z dr. hab. Przemysławem Żurawskim vel Grajewskim, politologiem, profesorem Uniwersytetu Łódzkiego, rozmawia Piotr Gursztyn

W ciągu ostatnich dwóch lat stosunki polsko-ukraińskie pogorszyły się. W powszechnym przekonaniu tak to wyszło i był to proces niejako samoistny. Pan badał tę kwestię i w pańskiej opinii to wynik świadomych działań politycznych. Taką tezę zawarł pan w niezwykle ciekawej publikacji w magazynie „New Direction".

Przemysław Żurawski vel Grajewski: Odpowiedzi w tej sprawie należy szukać w analizie interesów państw uczestniczących w grze wokół Polski i Ukrainy. To pozwala zrekonstruować obraz rzeczywistości istniejący w umysłach ludzi, którzy podejmują decyzje.

Według pana wszystko zaczęło się wiosną 2023 r. W kwietniu tamtego roku szef polskiej dyplomacji Zbigniew Rau (który na początku inwazji gościł u siebie prywatnie rodzinę ministra spraw zagranicznych Dmytra Kułeby) wygłosił w Sejmie proukraińskie exposé, a w maju zaczęła się seria prowokowanych awantur.

Operacja skłócania Polski z Ukrainą weszła wtedy w fazę wykonawczą, ale początki to incydent z rakietą w Przewodowie, czyli listopad 2022 r. A potem wizyta kanclerza Olafa Scholza w Waszyngtonie, w marcu 2023 r. Po Przewodowie być może (bez odtajnienia odnośnych dokumentów skazani jesteśmy na domysły) politycy w Kijowie błędnie uznali, że Polska w każdej sprawie zajmie takie stanowisko jak USA. Scholz zaś, rozmawiając z prezydentem Joe Bidenem, demonstrował zmianę polityki RFN wobec Rosji i Ukrainy oraz solidarność z USA względem Chin. Od tego momentu pozycja Niemiec w USA, osłabiona wcześniejszą kunktatorską polityką Berlina, zaczęła rosnąć.

Dlaczego Biden posłuchał Scholza, który przez całą swą kadencję był uważany za bardzo słabego polityka, obciążonego szkodliwymi decyzjami w sprawie pomocy Ukrainie?

Scholz powiedział zapewne to, co amerykańscy demokraci chcieli usłyszeć i w co uwierzyć – że od początku mieli rację, stawiając na Niemcy. Każdy polityk w USA ubiegający się o poparcie wyborców musi im obiecać redukcję ciężarów wynikających z zaangażowania militarnego Stanów Zjednoczonych na świecie. By to uczynić bez destabilizowania światowego pokoju, Waszyngton musi

eprasa.pl 86d75865c9

przerzucić owe ciężary na barki sojuszników. Szukając sprzymierzeńca w Europie Środkowej, USA miały wybór między wschodnią flanką NATO z Polską w roli głównej a rdzeniem Unii Europejskiej – Niemcami i Francją. W 2017 r. Donald Trump wybrał Polskę i Trójmorze, w 2021 r. Joe Biden postawił na Niemcy, które miały zapewnić spokój od strony Rosji i solidarność UE z USA wobec Chin. Lojalność Berlina trzeba było kupić. Jedną z pierwszych decyzji Bidena było zniesienie sankcji na Nord Stream 2 i przyjęcie niemieckiej linii ugody z Rosją. Jej objawami było także przedłużenie na warunkach Moskwy traktatu New Start o strategicznej broni jądrowej (na co nie godził się Trump) i spotkanie Bidena z Putinem w czerwcu 2021 r. w Genewie. To ostatnie zostało przygotowane z pominięciem państw wschodniej flanki NATO, konsultacje z nimi odbyły się dopiero na żądanie Polski tuż przed spotkaniem z Putinem. Miały one zresztą charakter kurtuazyjny, a nie merytoryczny. Ówczesna polska opozycja tłumaczyła to „nieporadnością pisowskiej dyplomacji", ale jak wytłumaczyć to, że Waszyngton tak samo potraktował państwa bałtyckie i Rumunię? Konsultacji z Ukrainą przed szczytem w ogóle nie było. Rozmowy z Rosją o europejskim bezpieczeństwie z pominięciem państw wschodniej flanki NATO i Ukrainy to stała cecha polityki Bidena do 7 grudnia 2021 r. Waszyngton dążył do porozumienia z Rosją, którego operacyjnym wykonawcą miały być Niemcy. Wyobrażano sobie zapewne, że Moskwa zadowoli się ograniczonymi zyskami terytorialnymi (Donbas i Krym), uznaniem jej „interesów bezpieczeństwa" w strefie postsowieckiej i korzyściami gospodarczymi (zniesienie sankcji nałożonych po 2014 r. i Nord Stream 2). Niemcy miały być głównym podwykonawcą polityki USA zmierzającej do zapewnienia w Europie pokoju rozumianego jako sprowadzenie rosyjskiego awanturnictwa do poziomu niegażującego dla jego powstrzymania zasobów amerykańskich. Do jesieni 2021 r. nie liczono się z wielkoskalową agresją i żądaniem cofnięcia się NATO do granic z 1997 r. Wojna na rok przerwała tę linię polityki amerykańskiej. Rosja odrzuciła ofertę nowego resetu, a Niemcy odmówiły przejęcia ciężaru odstraszania Kremla w Europie. Związana z tym redukcja pozycji Berlina w polityce USA została odwrócona w wyniku wspomnianej wizyty Scholza w Waszyngtonie. Amerykańskich decydentów zapewne skusiło to, że potencjał RFN jest znacznie większy niż potencjał Polski i państw bałtyckich. A Niemcy byłyby dla USA wymarzonym sojusznikiem, gdyby zechciały podjąć się roli, którą chciano im przypisać. Wiosną 2023 r. to amerykańskie marzenie skłoniło ekipę Bidena do uwierzenia w Zeitenwende Scholza i do ponownego postawienia na Berlin. Amerykański prezydent, mając do wyboru Niemcy z ich potencjałem gospodarczym i demograficznym lub Polskę, mniejszą i słabszą, ale zdolną do wysiłku zbrojeniowego i chętną do budowy systemu powstrzymywania Rosji, wybrał naszego zachodniego sąsiada. Ten zaś życzył sobie zmiany rządu w Polsce.

> Berlin obsadzi Polskę Tuska w roli głównego hamulcowego integracji europejskiej Ukrainy. Polsko-ukraiński spór o zboże i historię stanowi doskonały pretekst uwiarygodniający tezę, że to Warszawa nie wpuszcza Kijowa do UE. Niemcy pozostaną „niewinne"

Dlaczego prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski przystąpił do tej gry? Chciał czy musiał?

Nie musiał, ale niepoddanie się presji USA i RFN wymagałoby wielkości. Sądzę, że usłyszał od Amerykanów (od których zależy większość pomocy wojskowej dla Ukrainy i jej członkostwo w NATO) i Niemców (od których zależy członkostwo Ukrainy w UE) żądanie pomocy w obaleniu polskiego konserwatywnego rządu. Musiałby być politykiem tej klasy, co Piłsudski, by powiedzieć „nie". Zełenski wykazał się męstwem, odrzucając ofertę ewakuacji i stając na czele obrony Ukrainy w lutym 2022 r., nie jest jednak mężem stanu. Popełnił strategiczny błąd, porzucając sojusz z jedynym rządem, który wspierał Ukrainę w liczącej się skali i z determinacją, bez oglądania się na inne stolice. Pomógł w zamianie go na rząd oglądający się na Berlin i będzie za to płacił.

Czy na Ukrainie ta antypolska wolta została przyjęta pozytywnie? Pytam o opozycję i w ogóle środowiska krytyczne wobec Zełenskiego, bo wiadomo, że w Polsce analogiczny zwrot wywołałby gorący spór polityczny.

Ukraińcy naiwnie wierzą w szybką ścieżkę do UE i w ich oczach to marginalizuje znaczenie Polski. Wyobrażają sobie, że Polska pod rządami Tuska miałaby współdziałać z Niemcami i USA na rzecz Ukrainy. W swej masie nie rozumieją dramatyzmu zwrotu, który się dokonał w Polsce. Nie rozumieją też sytuacji, w której się znaleźli i którą stworzył ich rząd.

W swojej analizie w „New Direction" wspomina pan, że Ukraina nie ma pieniędzy na utrzymywanie środowisk eksperckich. Jest to zatem kraj, którego elitami łatwo manipulować i wykorzystywać ich ignorancję oraz naiwność.

Znajomość polskiej sceny politycznej wśród ukraińskich polityków jest słaba. Większość debat eksperckich na Ukrainie odbywa się na konferencjach organizowanych za pieniądze fundacji niemieckich lub Sorosa. Daje to stosowny do tego obraz sytuacji międzynarodowej i sytuacji w Polsce.

eprasa.pl 86d75865c9

W relacjach z Ukrainą polską opinię publiczną interesuje także wątek rozliczeń historycznych, czyli Wołyń. Jak ta sprawa ma się do całego opisanego przez pana kontekstu?

Jest ona instrumentem w grze międzynarodowej. Jej wymiar moralny, ważny dla Polaków, nie istnieje w politycznych kalkulacjach ościennych mocarstw. Polską opinię publiczną najbardziej powinno zaś interesować oddalenie groźby rosyjskiego najazdu dziś, a nie historia sprzed 80 lat. Z całym szacunkiem dla ofiar – nie przywrócimy ich do życia, a podstawowym interesem RP jest to, by nie było nowych. Jeśli Ukraina się załamie, Rosja sama się nie zatrzyma. Nie zmienia to faktu, że polska pamięć o Wołyniu jest składnikiem obecnych relacji polsko-ukraińskich. Jest najważniejszym narzędziem skłócania Polaków z Ukraińcami pozostającym w rękach Moskwy i, z zachowaniem należnych proporcji, Berlina. Dla dobra Polski i Ukrainy ten instrument trzeba wytrącić z ręki naszych wrogów, ale może to zrobić tylko Kijów, gdyż Ukraina jest suwerenem na lwiej części terytorium, na którym doszło do zbrodni i na którym spoczywają jej ofiary. Nie czyniąc tego, popełnia błąd. Polska jest bowiem demokracją i każdy polski rząd, by wspierać Ukrainę, musi mieć poparcie społeczne. Odmawiając rozwiązania kwestii Wołynia, Ukraińcy działają wbrew swym żywotnym interesom. Zrozumienie tego wśród ukraińskich elit jest nikłe. Na Ukrainie nie jest to istotny temat. Historia sprzed trzech pokoleń nie emocjonuje ludzi krwawiących w toczącej się dziś wojnie. Jest to na dodatek historia 5 z 25 obecnych obwodów Ukrainy – ziem, które należały do II RP. Polacy biorą polsko-zachodnioukraiński konflikt pamięci za konflikt polsko-ukraiński. Tak nie jest. Ta pamięć nie istnieje na wschód od Zbrucza. Postawa wobec tej historii nie decyduje o tym, kto będzie rządził w Kijowie. Na zachód od granic z 1939 r. istnieją także interesy mafijno-biznesowe: czyje firmy dostaną pieniądze za prowadzenie ekshumacji. Ukraina jest krajem skorumpowanym i to zjawisko nie omija kwestii, o której mówimy. Machanie przy tym sztandarem dumy narodowej jest wygodną maskirowką.

Uważa pan, że Polska rządzona przez PiS była atakowana za obronę „prawa do dostarczania pomocy Ukrainie bez czekania na zgodę Berlina i Paryża". Czy to sugestia, że gdyby w lutym 2022 r. kto inny rządził w Warszawie, Polska czekałaby z przekazaniem broni na zgodę Niemiec i Francji? Że nie byłoby tej masowej pomocy materialnej, którą przekazaliśmy?

Tak. Wystarczy spojrzeć na politykę rządu Ewy Kopacz w 2014 r. i jej deklarację, że jako kobieta schowa się z dziećmi w kuchni. Dziś też mamy wyraźne sygnały przyjmowania przez Polskę linii niemieckiej. Zanim w połowie października 2024 r. Scholz ogłosił, że Niemcy kończą dostawy ciężkiego sprzętu na Ukrainę, wcześniej – pod koniec sierpnia – podobną deklarację złożył minister Władysław Kosiniak-Kamysz.

Zapytam o wątek, który nie pojawił się w pańskim artykule – o postawę Donalda Tuska w pierwszym okresie wojny. Nie licząc ciepłych wpisów na ówczesnym Twitterze, był on nieaktywny w tej sprawie, z nikim się nie spotykał, nie jechał na Ukrainę, nie pomagał. Ale znalazł czas, aby wesprzeć kampanię prorosyjskiego Berlusconiego. Czy te wiele miesięcy bierności Tuska ma związek z tym, co pan przedstawia?

Tusk jest politycznie powiązany z Niemcami i nie zrobi niczego, co byłoby sprzeczne z polityką Berlina. Polska Tuska wchodzi w rolę przygotowaną dla niej w Berlinie. Ma być głównym hamulcowym procesu integracji Ukrainy z UE, której Niemcy nie chcą w Unii, ale pragną, by w oczach Ukraińców winę za odrzucenie ich kraju ponosiła Polska. W październiku Kosiniak-Kamysz epatował opinię publiczną stwierdzeniem, że bez rozwiązania sprawy upamiętnienia ofiar rzezi wołyńskiej Ukraina nie wejdzie do UE. Zaostrzenia retoryki w kwestii wołyńskiej na użytek Zachodu dokonał także Radosław Sikorski w wywiadzie dla „Financial Times". Służy to koalicji 13 grudnia do przyciągania elektoratu Konfederacji w wyborach prezydenckich. Będzie więc kontynuowane. Podobnie wypowiada się Leszek Miller, biorca moskiewskiej pożyczki. Następuje przyzwyczajanie międzynarodowej opinii publicznej do polsko-ukraińskich sporów, tak by zablokowanie procesu integracji europejskiej Ukrainy „z powodu oporu Warszawy" uznane zostało za naturalne.

W Polsce zmienił się rząd, czyli plan się udał, ale jaki będzie dalszy ciąg tej historii, jeśli chodzi o relacje polsko-ukraińskie, los Ukrainy i w ogóle sytuację Europy Środkowo-Wschodniej? Będzie nowy reset z Rosją? Następna wojna?

Niemcy prą do resetu, również Trump chciałby porozumienia z Rosją, ale nie kapitulacji i raczej nie będzie stawiał na Berlin. Moskwa wysyła sygnały, że nie jest zainteresowana kompromisem. Nie chce rozmawiać z USA o samej Ukrainie, ale o całym systemie bezpieczeństwa w Europie. Żądania w tym zakresie określiła w ultimatum z 17 grudnia 2021 r. skierowanym do USA i NATO, żądając wycofania się Sojuszu do granic z 1997 r. Pobicie Moskwy jest trudne, ale trwały pokój z niepobitą Rosją to mrzonka. Zachód podejmie próbę jego osiągnięcia, ale będzie ona nieskuteczna. Polska pod obecnymi rządami stanie u boku Niemiec, a nie USA Trumpa, Ukraina zaś zrobi odwrotnie. Berlin obsadzi Polskę Tuska w roli głównego hamulcowego integracji europejskiej Ukrainy. Polsko-ukraiński spór o zboże i historię to doskonały pretekst uwiarygodniający tezę, że to Polska nie wpuszcza Kijowa do UE. Niemcy pozostaną „niewinne". Ostatecznie Ukraina nie wejdzie do UE, bo nie życzą sobie tego wyborcy „starej" Unii, ale ukraińska opinia publiczna tego nie rozumie i da się oszukać. Proces skłócania Polaków i Ukraińców, by nie powtórzył się 2022 r., gdy nasze współdziałanie zatrzymało Rosję i zmarginalizowało Niemcy, ma więc duże szanse powodzenia.

eprasa.pl 86d75865c9

Bańka lewych hejterów

Środowiska, które miały na sztandarach liberalizm i szacunek do wszystkich, nie są zdolne do przyjmowania jakiejkolwiek krytyki. Pod płaszczykiem wolności słowa i kulturalnej dyskusji budują własną platformę do jadowitego atakowania politycznych przeciwników. Ma nią być serwis społecznościowy Bluesky, czyli lewacka odpowiedź na potężnego X

MAREK PYZA

Zaczęło się w Stanach Zjednoczonych po wygranej Donalda Trumpa. Lewicowe środowiska i sympatycy demokratów, wściekli na wynik demokracji i zaangażowanie najbogatszego człowieka świata w kampanię republikanina, zaczęli likwidować konta na platformie X, a zakładać na Bluesky. Dziś liczba tych ostatnich na całym świecie dobija do 24 mln, co nie jest oszałamiającym wynikiem przy ponad 600 mln na platformie X.

Bluesky to platforma założona przed pięcioma laty przez Jacka Dorseya, jednego z twórców Twittera. Na pierwszy rzut oka łudząco przypomina starszą siostrę, ale to tylko pozory. W sprawie funkcjonalności obu serwisów można się spierać. Bezsprzeczne jest jednak, że przy należącym do Elona Muska gigancie jawi się jak ratlerek przy rottweilerze. Ale najbardziej odróżnia ją co innego – radykalne przechylenie w lewą stronę.

Nic dziwnego, że szybko przeniosły się tam takie tytuły, jak brytyjski „The Guardian", hiszpański „La Vanguardia", szwedzki „Dagens Nyheter" czy francuski „Ouest-France". W ślad za nimi podążyli samozwańczy arbitrzy wolności słowa z Polski – „Gazeta Wyborcza" czy „Krytyka Polityczna" (ta na razie jeszcze bez wpisów).

Wszystko przy multiplikowanych zarzutach wobec platformy X, że to „ściek", „toksyczna platforma", miejsce „zatruwające przestrzeń publiczną", w którym „panoszą się trolle i rozsiewana jest dezinformacja i nienawiść".

Czy Bluesky ma szansę stać się konkurencją dla X? Na razie to myślenie życzeniowe, brawurowa narracja usilnie powtarzana w lewackich mediach, a nie żadna realna perspektywa. Co więcej, według Komisji Europejskiej platforma łamie unijne prawo. Chodzi o Digital Services Act, czyli ustawę o usługach cyfrowych, która zobowiązuje m.in. do podawania danych o liczbie użytkowników pochodzących z Unii Europejskiej oraz informacji o siedzibie firmy. A z tego Bluesky się nie wywiązuje. Dlatego liczba osób korzystających z tego serwisu jest nieoficjalna.

KRYTYKOWAĆ TO MY, A NIE NAS

To znamienne, że pozująca na pachnącą fiołkami przestrzeń pełną uśmiechów i kulturalnej dyskusji Bluesky tak bardzo przyciąga tolerancyjnych inaczej.

Przypomnijmy: „The Guardian" to gazeta, która przed kilkoma laty oburzyła się decyzją kapituły magazynu „Time" przyznającą tytuł człowieka roku Elonowi Muskowi, więc zorganizowała własny plebiscyt, ale demokratyczny. Zamiast pozostawić decyzję wąskiemu jury, zachęciła czytelników do wskazania osobistości zasługującej na wyróżnienie. Gdy zwycięzcą okazała się J.K. Rowling (gumkowana przez lewacki establishment m.in. za zdroworozsądkowe przypominanie, że są tylko dwie płcie), konkurs po prostu... skasowano. Bez słowa wyjaśnienia.

Fot. Koshiro K/Shutterstock.com 33/1124/F

eprasa.pl 86d75865c9

Gazeta Michnika wchodzi więc w miejsce, do którego pasuje, jak ulał. Dziś prowadzi krucjatę pod hasłami „antySLAPP" (ang. Strategic Lawsuits Against Public Participation, czyli strategiczne pozwy przeciwko partycypacji publicznej). Chodzi o wytaczane dziennikarzom i redakcjom procesy mające tłumić debatę publiczną, zastraszać żurnalistów i wywoływać efekt mrożący. Tyle że te diabły w ornatach zapomniały, że same były pionierami tej metody kneblowania krytyki. Dziś trudno już zliczyć procesy, które pełnomocnicy Michnika wytaczali ludziom ośmielającym się punktować nadredaktora i jego podwładnych.

Michnikowszczyzna (Rafał Ziemkiewicz, autor tego terminu, również padł ofiarą zamordystycznych zapędów sądowych guru z Czerskiej) podobnie jak jej brytyjscy koledzy też rości sobie prawa do decydowania, które nagrody są ważne, a które konkursy powinno się bojkotować i wykpiwać.

A zatem choć mienią się stróżami wszelakiej wolności, mają nieograniczone apetyty na meblowanie nam życia – poprzez rugowanie zeń religii, zaprzeczanie elementarnym prawom nauki, koncesjonowanie, kto jest demokratą, a kto nie, pisanie historii na nowo czy najzwyklejszą cenzurę.

Czyż właśnie nie ta ostatnia leży u podstaw przeprowadzki towarzystwa z Czerskiej na Bluesky? Czyżby platforma X stała się dla nich nie do zniesienia, bo... za dużo tam wolności? Stosują klasyczne odwrócenie kota ogonem i przekonują swoich wyznawców narracją o siedlisku zła, od którego należy się trzymać z daleka.

Sięgają nawet po takie argumenty, jak zatrudniony w sportowej redakcji „Wyborczej" Rafał Stec, który cieszy się, że na Bluesky przenoszą się niemieckie kluby piłkarskie: „Bundesliga od dawna wyróżnia się w wielkim futbolu jako środowisko wrażliwe na sprawy publiczne, na jej trybunach tłoczy się mnóstwo kibiców manifestujących swoje progresywne przekonania. Dlatego np. monachijski Bayern może regularnie podświetlać stadion na tęczowo [...]".

W manifeście tłumaczącym swoją relokację o serwisie należącym do Muska redakcja „Wyborczej" pisze m.in.: „To szkodliwe środowisko nie tylko dla mediów opartych na dziennikarstwie, ale też dla każdego człowieka, który chce mieć dostęp do rzetelnych faktów i opinii".

Pisze to redakcja, która tydzień temu opublikowała wyssany z palca „raport" dotyczący rzekomych powiązań Karola Nawrockiego, bezceremonialnie przyznając: „Nie znamy autorów raportu, a publikując go, nie przesądzamy, czy wszystkie zawarte w nim dane są prawdziwe". Staranność i rzetelność dziennikarska godna umieszczenia w Sèvres!

Piszą też: „Widzieliśmy, że X nie tylko nie zwalcza, ale wręcz promuje posty o charakterze hejterskim i dezinformacyjnym". Czyżby zapomnieli o popularnym narzędziu, jakim są „Uwagi społeczności", czyli możliwości prostowania nieprawdziwych treści przez użytkowników? Pomysłodawcą tego rozwiązania jest zresztą sam Musk, a na Bluesky takowe nie istnieje, więc można tam kłamać do woli i nikt sprostowany nie będzie.

Ale może tam nie jest to potrzebne? Może tym razem „Wyborcza" ma rację? Może Bluesky to faktycznie oaza spokoju, uprzejmej polemiki, rzeczowych wpisów, stroniąca od wulgaryzmów i nienawiści?

Sprawdziliśmy. I już wiemy – lepiej trzymać się z daleka od tego miejsca.

BŁĘKITNY ŚCIEK

Co do polemiki, to zwyczajnie jej tam nie ma, bo absolutnie dominuje jedna strona sporu. Ciężko znaleźć osoby o poglądach konserwatywnych, a nawet zwolenników Polski 2050 – ci są tu niemiłosiernie chłostani. To miejsce skrojone pod nasz lew-lib, wycierający sobie buzie wysokimi standardami i poszanowaniem inności, a w rzeczywistości dławiących inaczej myślących i uciekających się w tym celu do najpodlejszych metod.

Obowiązują sekciarskie zasady „Silnych Razem": ślepo wspierać Platformę i tych jej koalicjantów, którzy nie stawiają się Tuskowi (sam premier

REKLAMA

eprasa.pl 86d75865c9

założył tu konto, zachęcając do tego samego swoich sympatyków), a pluć na PiS i wszystko, co się z nim wiąże. Granice? Nie istnieją.

Kilka przykładów. Zdjęciu uśmiechniętych Małgorzaty i Rafała Trzaskowskich towarzyszy wpis: „Nie możemy pozwolić, żeby Nasza Polska wpadła w łapy marionetki Kaczyńskiego, naziola i sutenera". To jeden z łagodniejszych postów.

W dniu ogłoszenia zakończenia kierowania Trybunałem Konstytucyjnym przez dotychczasową prezes znajdujemy wpis „Odeszła Julia Przyłębska..." okraszony jej czarno-białym zdjęciem.

Pewien marynarz pisze: „Sk...ny, totalnie inwigilowały opozycję, w przekonaniu, że to nigdy nie wyjdzie na jaw. Dziś wycierają sobie mordy Konstytucją i bezpieczeństwem państwa. Jak ich Polska nie ukarze, to będzie to samo co w Stanach – wrócą". Wpis spodobał się m.in. Mateuszowi Kijowskiemu (jest tu bardzo aktywny, ten prawomocnie skazany przekręciarz ma już ponad 1,1 tys. obserwujących).

3 grudnia jeden z najwulgarniejszych rynsztokowców znanych wcześniej z platformy X pisze przy zdjęciu posła Ziobry: „Zbyszek po komisji regulaminowej, mam nadzieję, cyniczny sk...nu, że zgnijesz w więzieniu, gwałcony przez więźniów, poniżany przez klawiszy, zapomniany przez Polaków". Post ma ponad 600 polubień, a w komentarzach czytamy m.in.: „Wyrwać chwasta", „Dołączam się do tych życzeń całym swoim jestestwem", „Życzę tej kanalii tego samego", „Jego matka też powinna iść do pierdla", „A ja chłopu życzę, żeby jego marzenia o śmiertelnej chorobie nowotworowej w końcu się spełniły". Niech czytelnicy wybaczą, ale zacytujemy jeszcze jeden komentarz: „Będzie k...a robił za największego cwela parówe j...ną i że mu kichy na wierzch wyprują będzie żarł z podłogi i codzień obciągał pałe". Nie wiemy, kto ukrywa się pod kontem, z którego to napisano, ale pisze w tej poetyce spod celi dość często, a te treści za godne śledzenia uznali m.in. Bart Staszewski, europosłowie Robert Biedroń i Krzysztof Śmiszek, były poseł KO Andrzej Rozenek, Krzysztof Sałek (działacz PO w Stalowej Woli) czy Renata Butryn (członek PO, nauczycielka, poseł dwóch kadencji, dziś w podkarpackim sejmiku).

Dodajmy, że Bluesky ośmiela. Europoseł Bogdan Zdrojewski tylko tu wyłożył strategię swojej partii na dopadnięcie prezesa Prawa i Sprawiedliwości: „Malkontenci, symetryści marudzą, że odbieranie immunitetów za »drobiazgi«, a nie zbrodnie, ośmiesza państwo. Warto przypomnieć historię Al Capone... tak na weekendowe przemyślenia". Nigdzie indziej tego nie napisał. Widocznie wie, że tylko tu nikt nie wyśmieje tego żałosnego planu, oznaczającego *de facto* kapitulację w krucjacie przeciwko liderowi największej partii opozycyjnej. I Zdrojewski ma rację. Nikt go nie punktuje.

> Ta historia pokazuje, jak kończą ludzie Michnika i ci hodowani przez nich latami – w zamkniętej bańce własnych uprzedzeń, frustracji, nienawiści. Gdy zagląda im w oczy weryfikacja i starcie na ubitej ziemi, uciekają

Ale motylkowa platforma jeszcze bardziej ośmiela pracowników mediów. W opisie profilu Wojciecha Czuchnowskiego z „Wyborczej" na X czytamy: „Dziennikarz od 1989 r. Od 2002 w GW. Tu opinie prywatne. RT nie oznacza poparcia". Na Motylku czuje się chyba bardziej swojsko, dopisał więc: „Tu poglądy prywatno-obywatelskie, a więc: f*ck Trump, Musk, Putin, Łukaszenka, Orban, Hezbollah, Hamas, PiS, Konfederacja, alt-right...". Niezłe standardy dziennikarskie. Ten sam Czuchnowski zupełnie nie dezinformuje i nie hejtuje, wstawiając fotki mięśniaków ze wspomnianego wyżej „raportu" z dopiskiem, że to „kandydaci na najwyższe stanowiska w Kancelarii Prezydenta RP Karola Nawrockiego".

Jego redakcyjny kolega Bartosz Wieliński wstawia link do napisanego dla antyklerykałów tekstu „GW" o sześciu księżach zasiadających w komitecie poparcia Nawrockiego. Jak wygląda kulturalna i rzeczowa dyskusja pod tym postem? Np. tak: „Za pieniądze, te sukienkowe gnoje, dadzą poparcie samemu diabłu"; „Nienawidzę tej czarnej zarazy. Kościół od zawsze stanowi nieszczęście dla Polski i cofa nas w rozwoju cywilizacyjnym. Z narodu robi bezmyślne, bojaźliwe, niesamodzielne owce. Szlak by trafił wszystkie te religie...".

I tak na każdym kroku.

Przypomnijmy, że francuski „Le Monde" przeniósł się na Bluesky, bo „X stał się strefą bezprawia z powodu braku moderacji". Jak zatem nazwać to, co się dzieje na Motylku?

ELITA CZY MARGINES?

Ta historia pokazuje, jak kończą ludzie Michnika i ci hodowani przez nich latami – w zamkniętej bańce własnych uprzedzeń, frustracji, nienawiści. Gdy zagląda im w oczy weryfikacja i starcie na ubitej ziemi, uciekają.

Ale to też obraz szerszego kręgu – środowiska odmieniającego słowa „obywatelskość" i „wolność" przez wszystkie przypadki. W rzeczywistości wypełnia ich pogarda, a pociąga totalizm. Gdy wydaje im się, że nikt nie widzi, że są w bezpiecznym, zamkniętym kręgu, dają upust najniższym instynktom. Kreują się na uśmiechniętą elitę, a zachowują jak społeczny margines.

Okazują się potwornie słabi i niezdolni do funkcjonowania w wolnym świecie. Nie umieją przełknąć krytyki, nie potrafią się pogodzić z werdyktami demokracji, budują oblężone twierdze, obwieszone sztandarami, które nijak do nich nie pasują.

Co ciekawe, moment przebudzenia nie przychodzi nawet wtedy, gdy ponoszą klęskę. Tak było przed miesiącem za oceanem. Tak może być i za pół roku w Polsce, gdy wynik rzekomo z góry przesądzonych wyborów okaże się zaskoczeniem, a ich błękitne niebo zasnuje się czarnymi chmurami.

eprasa.pl 86d75865c9

Transport oddam w cudze ręce

LOT oraz PKP Cargo wcale nie muszą być sprzedane. Wystarczy, że rząd ograniczy działalność obu firm, a ich miejsce na rynku zajmą obcy przewoźnicy. To bardzo ryzykowna polityka, ponieważ transport ma kluczowe znaczenie dla bezpieczeństwa państwa

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Ostatnie dni przyniosły wiele niepokojących wieści z Polskich Linii Lotniczych LOT. 26 listopada nadzór nad naszym narodowym przewoźnikiem przejęło Ministerstwo Infrastruktury, co według Donalda Tuska wynikało z potrzeby zintegrowania w jednym resorcie wszystkich podmiotów zaangażowanych w budowę Centralnego Portu Komunikacyjnego.

Tego samego dnia niespodziewanie został zdymisjonowany dotychczasowy prezes LOT Michał Fijoł. Było to o tyle niezrozumiałe, że firma pod jego kierownictwem odnosiła, niejako wbrew ogólnemu trendowi, spore sukcesy. Tuż przed odwołaniem prezesa poinformowano, że LOT uruchomił dziewięć nowych połączeń, a liczba przewiezionych pasażerów do końca roku przekroczy 10,5 mln, co będzie oznaczać historyczny rekord. Można więc dojść do wniosku, że prezesa wyrzucono, bo za dobrze mu szło.

W tym samym czasie, gdy LOT utracił prezesa, trwała „restrukturyzacja" PKP Cargo. Piszę o niej w cudzysłowie, bo bodaj jedynym widocznym efektem tejże restrukturyzacji, jest jak dotąd wyrzucanie pracowników na bruk. Strategiczny przewoźnik kolejowy ma dzięki temu osiągnąć rentowność. W rzeczywistości jednak – jak wiele na to wskazuje i o czym jeszcze będzie mowa – skończy się to zarżnięciem firmy i jej marginalizacją na rynku.

To wszystko dzieje się w chwili, gdy za naszą wschodnią granicą trwa wojna, a utrzymanie przez państwo polskie zdolności logistycznych i transportowych staje się kwestią kluczową. Można oczywiście szukać przyczyny takich ryzykownych działań w niekompetencji kadr obecnego rządu, ale nawet jeśli mamy tu do czynienia z amatorszczyzną, jest to świadoma polityka. Nie przekazuje się bowiem rodowych sreber, a są nimi m.in. strategiczne spółki skarbu państwa, pod opiekę fuszerów i nieudaczników. Chyba że nie zależy nam na rozwoju tych spółek, a wręcz przeciwnie – chcemy je zmarginalizować i doprowadzić na skraj upadłości. Tym musi się

Fot. fotoreporter_112/Shutterstock.com

eprasa.pl 86d75865c9

bowiem skończyć obecne zarządzanie polskimi przewoźnikami przez ludzi z szeroko rozumianej ekipy Tuska.

PARTYJNE PRZEPYCHANKI

W przypadku LOT mamy dodatkowo do czynienia ze skokiem na stołki i związanymi z tym zakulisowymi przepychankami. Jak bowiem doniosły media, odwołanie prezesa Fijoła miało być skutkiem intryg prowadzonych jakoby przez wiceministra aktywów państwowych Jacka Bartmińskiego z Polski 2050. Gdy Donald Tusk podjął decyzję o odebraniu nadzoru nad LOT resortowi aktywów państwowych i przekazaniu go do Ministerstwa Infrastruktury, Bartmiński miał skorzystać z ostatniej okazji i doprowadzić do odwołania Michała Fijoła. „Ukryto przede mną, że część nadzorowanych przeze mnie aktywów będzie przeniesiona do innego resortu" – stwierdził.

Pojawiły się też spekulacje, że na stanowiska w LOT mają apetyt działacze PSL i że tak naprawdę właśnie z tego powodu nadzór nad przewoźnikiem przekazano Ministerstwu Infrastruktury kierowanemu przez ludowca Dariusza Klimczaka. To „zemsta za procedowanie, pomimo sprzeciwu Platformy i ludowców, naszej ustawy o odpartyjnieniu państwowych spółek" – tłumaczył roszady w LOT anonimowy polityk Polski 2050 w rozmowie z portalem Money.pl. Najwyraźniej więc koalicjanci pożarli się o to, na czyim talerzu znajdzie się tłusty kąsek, jakim jest LOT. A że Polska 2050 jest w tej chwili formacją schyłkową, jej działacze przegrali.

Bartmiński, który odwołując szefa LOT, wykonał uderzenie uprzedzające, stracił swoje stanowisko w resorcie aktywów państwowych. Z kolei odwołany przez niego Michał Fijoł wrócił do LOT, ale na stanowisko prokurenta. Nowy prezes spółki ma zostać wyłoniony w drodze konkursu.

ZŁY SYGNAŁ

Można więc powiedzieć, że sytuacja w LOT została opanowana, ale pozory mylą. W rzeczywistości bowiem wskutek działań rządu w firmie powstał ogromny chaos decyzyjny, który ostatecznie może wpłynąć na kondycję przewoźnika. Zarządzanie spółką jest dziś zakłócone, co może mieć również negatywny wpływ na pozycję negocjacyjną LOT w rozmowach z kontrahentami na temat nowych połączeń, zakupów samolotów itp.

Zamieszanie w spółce jest więc bardzo złym sygnałem dla rynku. Michał Fijoł był bowiem rzadkim przykładem ciągłości personalnej w spółkach Skarbu Państwa po przejęciu władzy przez Tuska. Pracował w LOT od 2016 r., a prezesem został w czerwcu 2023 r. Pod koniec ub.r. nasz narodowy przewoźnik miał 10,1 mld zł przychodu i 1,1 mld zł zysku netto, co z nadwyżką pokryło stratę 824 mln zł z poprzednich lat spowodowaną przez pandemię i wybuch wojny na Ukrainie. Gdy Fijoł zostawał prezesem LOT, ówczesny rząd Mateusza Morawieckiego wiązał z nim bardzo duże nadzieje – planowano m.in. podwojenie w ciągu ośmiu lat floty samolotów i ostrą walkę konkurencyjną z niemiecką Lufthansą. Tłem tych ambitnych planów było oczywiście uruchomienie CPK.

> Rywale cieszą się z kłopotów PKP Cargo i LOT. Tym bardziej że nie trzeba wkładać wysiłku w osłabienie polskiej konkurencji. Robi to przecież obecny rząd

Fijoł wziął się do roboty i mimo zmiany rządu oraz załamania gospodarki parł naprzód, czego dowodem było uruchamianie kolejnych połączeń przez LOT i rekordowa liczba pasażerów. Nowy prezes był również chwalony przez działające w spółce związki zawodowe, co ma duże znaczenie, jeśli pamięta się o protestach z jesieni 2018 r., które osłabiły pozycję ówczesnego szefa firmy Rafała Milczarskiego. Gdyby więc obecnej władzy rzeczywiście zależało na przyszłości LOT, Fijoł nadal byłby prezesem.

CZAS FUSZERÓW

Jednak ekipa, która sprawuje dziś rządy w Polsce, nie ma nic wspólnego z profesjonalizmem. Bo nie ma chyba nic bardziej nieprofesjonalnego i kompromitującego niż podkopywanie pozycji odnoszącego sukcesy szefa spółki przez zawistnych aparatczyków i fuszerów. To zresztą dotyczy nie tylko LOT, taki jest przecież obraz całej obecnej gospodarki i polityki w Polsce.

Prawdopodobnie to świadomy plan. Bo po co nam silny LOT, gdy tak naprawdę nikt poważnie nie myśli o CPK? Projekt lotniska został brutalnie okrojony (o czym wielokrotnie pisałem na tych łamach), a jego budowa odłożona w czasie. W tej sytuacji deklaracje Tuska na temat portu mają wyłącznie charakter propagandowy i mogą je brać za dobrą monetę jedynie fanatyczni wyznawcy obecnej władzy albo ludzie kompletnie nieświadomi tego, co się dzieje wokół nich. Po prostu premier postanowił rozbroić minę, jaką był społeczny ruch w obronie CPK. Prawdziwe intencje jego partii wyszły na jaw podczas sejmowej debaty o obywatelskim projekcie ustawy zobowiązującej rząd do budowy Centralnego Portu Komunikacyjnego. To „populizm i propaganda" – pokrzykiwał wówczas jeden z posłów Platformy, a Koalicja Obywatelska zgłosiła wniosek (ostatecznie wycofany) o odrzucenie projektu w pierwszym czytaniu.

Wiele wskazuje na to, że może powtórzyć się sytuacja z czasów pierwszych rządów Tuska, gdy LOT został doprowadzony na skraj upadłości. Jednak z jednym ważnym zastrzeżeniem. O ile w 2013 r. Tusk chciał zrywać „z doktryną, że LOT to jest firma, którą należy ratować za wszelką cenę, tylko dlatego, że nazywa się LOT i że ma piękną tradycję", o tyle dziś, nauczony choćby doświadczeniem z CPK, będzie raczej podtrzymywał spółkę przy życiu. Tyle że będzie to jedynie kroplówka, symulowanie, że mamy własną linię lotniczą. Jest przecież jasne, że bez CPK pozycja rynkowa naszego narodowego przewoźnika będzie w przyszłości marginalna.

eprasa.pl 86d75865c9

Zwłaszcza że konkurencja nie śpi. I chodzi nie tylko o Lufthansę oraz lotnisko w Berlinie, lecz także o Węgry. Niedoszły inwestor CPK, francuska grupa Vinci, podjęła rozmowy z Węgrami w sprawie budowy w Budapeszcie wielkiego hubu transportowego, który będzie stanowił bezpośrednią konkurencję dla Centralnego Portu Komunikacyjnego. Do jego obsługi mają zostać skierowane nowe linie lotnicze Hungarian Airlines, które Węgrzy chcą utworzyć za chińskie pieniądze. Mówi się o zakupie na początek 100 samolotów Boeing 737 MAX.

Jeszcze niedawno byliśmy o krok przed rywalami, ale teraz oddajemy im pole. Jeśli zdołają przejąć rynek, LOT nie będzie miał na nim nic do powiedzenia. Ale być może właśnie o to chodzi.

ZARZYNANIE KOLEI

Tydzień temu pojawiła się informacja o planowanym zamknięciu skansenu kolejowego w Chabówce koło Rabki. To bardzo ważne miejsce na muzealnej mapie Polski. Zgromadzono tam bowiem dziesiątki lokomotyw i wagonów, które kursowały niegdyś po polskich szlakach kolejowych. Kilka parowozów ciągle jest sprawnych i wykorzystuje się je od czasu do czasu do prowadzenia historycznych pociągów. Mówiąc krótko, jest to kawał polskiej historii i materialnego dziedzictwa naszego kraju.

Co to ma wspólnego z tematem niniejszego artykułu? Otóż bardzo wiele. Skansen jest bowiem własnością PKP Cargo, strategicznego polskiego przewoźnika kolejowego, który stał się właśnie celem brutalnej demolki, zwanej szumnie restrukturyzacją.

PKP Cargo pozbywa się pracowników oraz majątku. Jeśli chodzi o to drugie, zaczęło się od skansenu, a wkrótce, jak twierdzą związkowcy, pod młotek pójdzie tabor: elektrowozy, wagony, lokomotywownie. Według danych z początku listopada zatrudnienie w firmie zmniejszyło się o 3665 osób i będzie spadać dalej, przewiduje się bowiem redukcję zatrudnienia w spółkach zależnych.

W ub.r. polska kolej przewiozła 231 mln t towarów, z czego jedną trzecią stanowił transport surowców energetycznych, w tym węgla kamiennego, przy czym udział PKP Cargo w rynku przewozów sięgał 27 proc. i wykazuje tendencję spadkową.

Wśród przyczyn słabnącej pozycji tej spółki wymienia się ekspansję transportu drogowego i związaną z tym kasację taboru kolejowego, przede wszystkim wagonów. Decydujące były jednak dwie rzeczy. Po pierwsze, długotrwała modernizacja sieci kolejowej, która wywołała poważne perturbacje w działalności przewoźnika. A po drugie, wybuch wojny na Ukrainie i nałożenie embarga na rosyjski węgiel, co zmieniło kierunki dostaw. Ówczesny rząd PiS musiał wtedy pilnie rozdysponować surowiec po całym kraju, co byłoby niemożliwe bez pełnego zaangażowania taboru PKP Cargo. Spowodowało to jednak zerwanie przez przewoźnika wielu dotychczasowych kontraktów i doprowadziło do strat.

W normalnej sytuacji te straty powinny być zrekompensowane przez państwo, w końcu PKP Cargo to przewoźnik państwowy, który ponosi ryzyko finansowe w sytuacji zagrożenia kraju. Gdyby dalej rządziło PiS, to na pewno zostałyby podjęte odpowiednie decyzje. Jednak ekipa Tuska zadziałała inaczej. Zamiast wspomóc firmę, dzięki której udało się zabezpieczyć dostawy węgla, postanowiła ją dobić.

Władzę nad PKP Cargo powierzono ludziom, którzy nie mają większego pojęcia o kolejnictwie, za to świetnie znają się na cięciach. Jak mówi w rozmowie z portalem Tysol.pl ekspert kolejowy Karol Trammer, nowy prezes PKP Cargo Marcin Wojewódka jest specjalistą od zwalniania pracowników (prowadził nawet szkolenia na ten temat). „Jak trafnie powiedział Leszek Miętek, szef Związku Zawodowego Maszynistów, zwalnianie pracowników jest pasją Wojewódki" – wyjaśnia Trammer. „Mamy też Pawła Miłka, który jest syndykiem, czyli zajmuje się zagospodarowywaniem majątku po upadłych przedsiębiorstwach. No i mamy Monikę Starecką, która jest restrukturyzatorką pracującą w przeszłości w przeróżnych firmach – od sklepów z zabawkami Smyk przez sieć pizzerii Telepizza po elektrownie Vattenfall. W tym trzyosobowym zarządzie nie ma nikogo, kto by się zajmował zdobywaniem kontraktów przewozowych" – podsumowuje ekspert.

Co ciekawe, brutalne cięcia w PKP Cargo następują w chwili, gdy niemiecki przewoźnik DB Cargo otrzymał wsparcie od Komisji Europejskiej na kwotę – uwaga! – 1,9 mld euro. Wprawdzie pomoc finansowa jest tam również uwarunkowana koniecznością restrukturyzacji (na sprzedaż ma pójść logistyczny gigant DB Schenker), ale dzięki unijnym pieniądzom niemiecki przewoźnik wyjdzie zapewne na prostą. Jak widać w Polsce rząd nie postarał się o żadną pomoc finansową, zamiast tego zdecydowano się ogołocić wielką firmę z majątku i ludzi oraz, co za tym idzie, sprowadzić ją do poziomu rynkowego karła.

W tym sensie plany zamknięcia skansenu w Chabówce nabierają symbolicznego znaczenia. Po co nam historia polskiej kolei, skoro wkrótce może jej nie być?

NA CUDZEJ ŁASCE

Podobnie jak w przypadku LOT, również tutaj konkurenci zacierają ręce i cieszą się z kłopotów PKP Cargo. Tym bardziej że żaden z nich nie musi wkładać wysiłku w osłabienie polskiego przewoźnika. Robi to przecież rząd.

W Polsce na rynku przewozów kolejowych działa wiele firm. Niektóre z nich, np. należąca do ORLENU Lotos Kolej, wyrosły z dawnych kolei przemysłowych. Inne powstały od podstaw – część należy do prywatnych osób, a część do międzynarodowych konsorcjów kolejowych. Oprócz tego na polskim rynku zarabiają przewoźnicy z sąsiednich państw, m.in. z Niemiec, Czech i Ukrainy. Żaden z nich nie ma jednak tak dużego potencjału jak PKP Cargo – tylu zakładów remontowych, lokomotywowni w każdej części kraju i taboru. Teraz jednak to wszystko może zniknąć. Polskie przewozy kolejowe osierocone przez PKP Cargo zostaną zapewne przejęte przez obce firmy, a zyski podzielone.

Problem pojawi się wtedy, gdy znów będzie trzeba przewieźć węgiel do marznących miast albo wojsko na niespokojną granicę. Czy naprawdę ktoś wierzy w to, że komercyjne firmy porzucą swoje kontrakty i ruszą państwu na pomoc? Na własne życzenie pozbawiamy się właśnie resztek strategicznej niezależności.

eprasa.pl 86d75865c9

Kobiety świetnie radzą sobie w życiu publicznym

Kobiety muszą dopuścić do siebie tę myśl, że po prostu nadają się do funkcji stereotypowo zarezerwowanych dla mężczyzn. Kobiety często wolą być drugie, schować się za czyimiś plecami, być wiceprezesami niż prezesami. Często wynika to też z naszego perfekcjonizmu, uważamy, że musimy się dokształcić. Mężczyźni są dużo bardziej przekonani o własnych możliwościach, nierzadko przy niższych kompetencjach

Z Magdaleną Szefernaker, dziennikarką, autorką książek „Mama na obcasach" i „Samorząd na obcasach", rozmawia Dorota Łosiewicz

Pani książka „Samorząd na obcasach" ukazała się przed wyborami samorządowymi. Jak po tamtych wyborach zmienił się udział kobiet w lokalnej polityce?

Magdalena Szefernaker: Po wyborach samorządowych w kwietniu br. wzrosła liczba kobiet na stanowiskach burmistrzów, wójtów i prezydentów miast z 12 do ok. 16 proc. Jeszcze wcześniej było to tylko 10 proc. Ta większa liczba kobiet w samorządzie cieszy, jednak nie możemy mówić o rewolucji, a raczej powolnej ewolucji. Jest jeszcze dużo do zrobienia w tym temacie.

Przecież rządzą teraz siły liberalno-lewicowe, które wśród priorytetów stawiają prawa kobiet, a tymczasem w samorządzie zmiany zachodzą dość wolno.

Wciąż potrzeba nam zmiany mentalności w społeczeństwie, pracy u podstaw, przekonania, że kobieta na stanowisku burmistrza, wójta czy prezydenta miasta jest równie dobra jak mężczyzna. Kobiety są dobrze zorganizowane, kompetentne i empatyczne, co pomaga w tej pracy. I nie chodzi tylko o samorząd, lecz także o biznes, gdzie wciąż dominują mężczyźni. Ale mamy czas kobiet i one, gdy chcą, potrafią sobie wywalczyć miejsce dla siebie. Kobiety muszą także dopuścić do siebie tę myśl, że po prostu nadają się do funkcji stereotypowo zarezerwowanych dla mężczyzn. Potrzeba do tego trochę odwagi i wiary w swoje możliwości. A kobiety czasem wolą być drugie, schować się za czyimiś plecami, być wiceprezesami niż prezesami. Niektórym brakuje determinacji, by wziąć na siebie pełną odpowiedzialność. Często wynika to też z naszego perfekcjonizmu, uważamy, że musimy się dokształcić. Mężczyźni są dużo bardziej przekonani o własnych możliwościach, nierzadko przy niższych kompetencjach. Kobiety są gotowe, społeczeństwo musi jeszcze trochę dojrzeć.

eprasa.pl 86d75865c9

Fot. Andrzej Skwarczyński

Co jest ważniejsze: parytety czy kompetencje?

Oczywiście kompetencje, ale parytety nieco pomagają i sprawiają, że mężczyźni muszą się przesunąć. O tym często mówią bohaterki książki „Samorząd na obcasach". Parytety pomagają zmienić mentalność samym kobietom, do których dociera, że świetnie sobie radzą w życiu publicznym. Często słyszę, że samorząd jest kobietą, bo samorządy, na których czele stoją kobiety, znakomicie funkcjonują.

> Kompetencje oczywiście są ważniejsze, ale parytety nieco pomagają i sprawiają, że mężczyźni muszą się przesunąć. O tym często mówią bohaterki mojej książki „Samorząd na obcasach"

Podczas pani ostatniego spotkania z czytelnikami doszło do ciekawej wymiany zdań. Jedna z uczestniczek poczuła się dotknięta sugestiami prowadzącej ten wieczór, że należałoby bardziej promować wartości rodzinne niż rozwój zawodowy kobiet ze względu na problemy demograficzne. Tymczasem pani pokazuje bardzo różne ścieżki bohaterek, nie wartościując ich.

To jest bardzo indywidualny temat. Każdy ma prawo do wyboru własnej życiowej ścieżki i tu nie wolno nikomu nic narzucać. W obu moich książkach przewija się taka myśl, że na wszystko jest właściwy czas. Macierzyństwo jest bardzo piękne, ale jednocześnie bardzo wymagające. Dziecko, zwłaszcza malutkie, potrzebuje mamy i nikt jej nie zastąpi. Wtedy na chwilę trzeba odpuścić kwestie zawodowe i zaangażować się w opiekę. Ale dzieci dorastają, a to daje kobietom szansę na rozwój zawodowy. Większość moich bohaterek nie ma wątpliwości, że rodzina i praca się nie wykluczają. Bywa tak, że najpierw jedna strona – mężczyzna lub kobieta – angażuje się zawodowo, a potem daje szansę na rozwój drugiej stronie i przejmuje część obowiązków domowych. Tak było chociażby w przypadku Renaty Surmy, burmistrz Bystrzycy Kłodzkiej, która sprawuje ten urząd już piątą kadencję. Nim jednak wystartowała, przeprowadziła rozmowę z mężem i zdecydowali o nowym podziale obowiązków. I mąż wziął na swoje barki zajmowanie się domem. Macierzyństwo nie stoi w sprzeczności z rozwojem zawodowym. Urodzenie dziecka często zmienia perspektywę, priorytety, pozwala podejść do życia z dystansem, daje szersze spojrzenie. Wiele kobiet dopiero po urodzeniu dziecka osiąga największe sukcesy zawodowe. Matki są też lepiej zorganizowane. Karolina Naja, kajakarka, multimedalistka olimpijska, wicemistrzyni olimpijska oraz trzykrotna brązowa medalistka igrzysk olimpijskich, mistrzyni świata i sześciokrotna mistrzyni Europy, dwukrotna złota oraz brązowa medalistka igrzysk europejskich osiągnęła największe sportowe sukcesy po urodzeniu dziecka. Powiedziała, że dopiero wtedy w jej psychice nastąpiła taka zmiana, która jej na to pozwoliła. Nabrała luzu i wewnętrznego spokoju – tak podeszła do sportowych wyzwań i wtedy zdobyła największe trofea. Anna Skórzyńska po urodzenia dziecka stworzyła Szumisie. Mogę też powiedzieć o swoim przykładzie. Dopiero wtedy, gdy po raz drugi zostałam mamą, zaczęłam pisać książki, a marzyłam o tym przez całe życie. Zachęcam więc kobiety, by nie bały się ani macierzyństwa, ani kariery. Tym bardziej że na rynku pracy jest coraz więcej udogodnień dla mam, np. praca zdalna czy elastyczny czas pracy. Proszę też pamiętać o dużej luce edukacyjnej w Polsce. Kobiety są coraz lepiej wykształcone i coraz trudniej znaleźć im partnerów na ich poziomie. Częściej migrują z mniejszych ośrodków do większych, a mężczyźni pozostają w tych mniejszych. To utrudnia tworzenie relacji. Nikogo do niczego nie można zmusić. Jeśli kobieta nie może znaleźć partnera, to nawet jeśli bardzo by chciała założyć rodzinę, nie może tego zrobić. Pokazywał to m.in. program „Rolnik szuka żony". Trzeba tu podkreślać wagę edukacji mężczyzn. Mówimy o prawach kobiet, a trzeba też pamiętać o prawach mężczyzn i dbać o równomierny rozwój społeczeństwa.

Życie postawiło przed pani bohaterkami dramatyczne wyzwania. Wspomniana Renata Surma, burmistrz

eprasa.pl 86d75865c9

Bystrzycy Kłodzkiej, musiała się zmierzyć z kataklizmem i jego skutkami. Jak sobie poradziła?

Renata Surma sprawująca urząd już piątą kadencję ma ogromne doświadczenie, spokój i opanowanie. I tak podeszła do tego tematu. Umiała trzymać rękę na pulsie, a także głośno i odważnie mówić o tym, że pomoc nie zawsze trafiała na czas do Bystrzycy Kłodzkiej. Świetnie radziła sobie ze sztabami kryzysowymi, zarządzaniem kryzysowym, a przecież często myślenie jest takie, że w tych kryzysowych sytuacjach lepiej poradzą sobie mężczyźni. Jedno jest pewne – teraz wszyscy musimy wspierać te rejony, które dotknęła powódź, choćby przez turystykę, bo tego im potrzeba.

I panią czeka teraz nie lada wyzwanie. Mąż został szefem sztabu wyborczego kandydata na prezydenta popieranego przez PiS. Jest pani na to gotowa?

Aktywność zawodowa mojego męża od lat jest związana z działalnością publiczną i polityczną. To nie pierwszy raz, kiedy mąż będzie pracował 24 godziny na dobę. Wcześniej, gdy miał pracę w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych i Administracji, było tak chociażby podczas pandemii czy po wybuchu wojny w Ukrainie. Teraz znowu będzie bardzo intensywnie. Ja oczywiście staram się go wspierać. Ale jesteśmy przyzwyczajeni do sytuacji, że czasami męża i taty po prostu nie ma w domu. Jednak i ja dostaję wsparcie, ponieważ podczas wspomnianego spotkania to mąż został z dziećmi w domu mimo toczącej się już właściwie kampanii. Często też najbliższa rodzina – rodzice, rodzeństwo, przyjaciele i bliscy oferują pomoc. Czasem to podwiezienie czy odwiezienie dzieci do szkoły i ze szkoły, na dodatkowe zajęcia, niekiedy pomoc w opiece. To piękny odruch międzyludzkiej solidarności, ludzie organizują się w trudnych sytuacjach czy wyzwaniach. Kampania to oczywiście wyzwanie logistyczne dla całej rodziny, ale z pomocą to się udaje.

Czy teraz, gdy okazało się, że to mąż będzie szefem sztabu dr. Karola Nawrockiego, znajomi oferują pomoc?

Tak. Otrzymuję takie sygnały i jest to niezwykle budujące. Ale to dopiero początek i mamy duże zapasy energii. Moje bohaterki nauczyły mnie też tego, że nie można się wstydzić prosić innych o pomoc. Nie trzeba ze wszystkim radzić sobie samemu. Nie jesteśmy samowystarczalni. Zrozumienie tego ułatwia życie.

Słyszałam, jak w kuluarach pani wieczoru autorskiego odbywającego się w kawiarni Agere Contra, która tak na marginesie prowadzi spotkania dla singli katolików i ma na swoim koncie już ponad 2 tys. wyswatanych par, mówiła pani znajomej, że najbliższe spotkanie w szerszym gronie przyjaciół najwcześniej za pół roku...

No tak, życie towarzyskie będzie teraz bardziej ograniczone. Wiemy jednak, z czym wiąże się kampania prezydencka. Nie jest to przecież pierwsza kampania, w której uczestniczy mój mąż. Wcześniej był zaangażowany w dwie kampanie prezydenta Andrzeja Dudy. Wiem, jak to wygląda i jestem na to gotowa.

Wspólnie wybierzmy Człowieka Wolności tygodnika „Sieci" 2024

Jak co roku redakcja przygotowuje się do najważniejszego plebiscytu tygodnika „Sieci". Wspólnie z czytelnikami wskazujemy w nim Człowieka Wolności. W tym roku wybierzemy go po raz 12.

Tradycyjnie rozpoczynając plebiscyt, pytamy o zdanie czytelników tygodnika „Sieci" i prosimy o wskazanie osób, które zasługują na to wyjątkowe wyróżnienie. Na publikowanych w tygodniku kuponach możecie zgłosić wasze kandydatury. W tym roku po raz pierwszy kandydatów będzie można też zgłaszać, wysyłając specjalny SMS – szczegóły wkrótce podamy na antenie telewizji wPolsce24. Liczymy na cenne podpowiedzi czytelników, dzięki którym redakcja sporządzi listę pięciu kandydatów. To spośród tych finalistów Kapituła Plebiscytu Człowiek Wolności, którą tworzą redaktorzy i publicyści tygodnika „Sieci" oraz tytułów wydawanych przez Grupę Medialną Fratria, wybierze laureata tegorocznej nagrody.

Gdy w 2013 r. po raz pierwszy przyznawaliśmy statuetkę z literą „W" jak wolność, postawiliśmy zadanie sobie i czytelnikom – co roku wskazać i uhonorować osobę, dla której wolność jest najważniejszą wartością, a jej ochrona i szerzenie codzienną powinnością. Człowiek wolności to patriota, dla którego dobro Polski jest priorytetem, a działalność publiczna ściśle wiąże się z polską racją stanu. Jesteśmy przekonani, że od 12 lat wspólnie z wami mamy zaszczyt nagradzać właśnie takie osobowości.

Wśród laureatów dotychczasowych edycji plebiscytu są prezydent RP Andrzej Duda, prezes Narodowego Banku Polskiego prof. Adam Glapiński, prezes PiS Jarosław Kaczyński, premier Mateusz Morawiecki, a także Mariusz Błaszczak, Daniel Obajtek, prof. Piotr Gliński, prezes TK Julia Przyłębska, Jarosław Marek Rymkiewicz i prof. Krzysztof Szwagrzyk.

Kto odbierze statuetkę „W jak wolność" za 2024 r.? Kto dołączy do grona laureatów nagrody tygodnika „Sieci"? To zależy także od was – czytelników wskazujących kandydatury do tegorocznego wyróżnienia. Pierwszy kupon drukujemy w tym wydaniu tygodnika, kolejne dwa – 16 i 30 grudnia. Do 3 stycznia 2025 r. czekamy na wasze propozycje i uzasadnienia, które przedstawimy członkom Kapituły Nagrody.

Wybierzmy razem Człowieka Wolności tygodnika „Sieci"!

Autopromocja

eprasa.pl 86d75865c9

PLEBISCYT DLA CZYTELNIKÓW

Człowiek Wolności 2024 tygodnika SIECI

XII EDYCJA PLEBISCYTU

Już po raz dwunasty wybieramy **Człowieka Wolności**, czyli osobę, dla której wolność jest wartością najważniejszą, a jej obrona i szerzenie codzienną powinnością

2023
Prezes NBP
prof. Adam Glapiński

2022
Minister Obrony Narodowej
Mariusz Błaszczak

2021
Prezes PiS
Jarosław Kaczyński

2020
Prezes PKN ORLEN
Daniel Obajtek

2019
Premier
Mateusz Morawiecki

2018
Wicepremier
prof. Piotr Gliński

2017
Prezes Trybunału Konstytucyjnego
Julia Przyłębska

2016
Prezes PiS
Jarosław Kaczyński

2015
Prezydent RP
Andrzej Duda

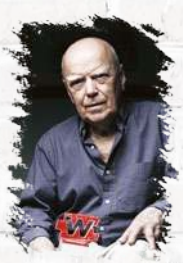

2014
Poeta i pisarz
Jarosław Marek Rymkiewicz

2013
Historyk z IPN
prof. Krzysztof Szwagrzyk

Zapraszamy Czytelników, by razem z nami wskazali kandydata do tytułu Człowiek Wolności 2024. Prosimy wypełnić kupon i przesłać go do 3 stycznia 2025 r. na adres: Fratria Sp. z o.o., ul. Finlandzka 10, 03-903 Warszawa, z dopiskiem „Plebiscyt". Regulamin plebiscytu dostępny na www.sieciprawdy.pl

Uwaga! Kandydatów można również zgłaszać, wysyłając SMS – szczegóły w telewizji wPolsce24. Oglądaj nas na kanałach: 52 telewizji naziemnej, 32 ORANGE, 65 PLAY (dawniej UPC), 192 NETIA, 196 POLSAT BOX, 459 INEA, 825 VECTRA

KUPON ZGŁOSZENIOWY – Plebiscyt Człowiek Wolności 2024 tygodnika SIECI

imię i nazwisko kandydata .....

uzasadnienie .....

.....

.....

☐ *Akceptuję Regulamin plebiscytu „Człowiek Wolności 2024 tygodnika Sieci" dostępny na stronie www.sieciprawdy.pl i oświadczam, że zapoznałam/em się z jego treścią. * pole obowiązkowe

PARTNER PLEBISCYTU SALTUS UBEZPIECZENIA

ORGANIZATOR PLEBISCYTU SIECI

eprasa.pl 86d75865c9

Jaki Kościół zbuduje nowy metropolita Warszawy?

GORAN ANDRIJANIĆ

Abp Galbas nigdy nie opowiedział się politycznie. I to było akurat najpiękniejsze, bo nie wprowadzał murów i podziałów, mówił, że jest dla wszystkich – usłyszeliśmy w Katowicach, gdy zapytaliśmy o nowego metropolitę warszawskiego

W tym tygodniu katolików archidiecezji warszawskiej, jednej z najważniejszych i najwiekszych w polskim Kościele, czeka ważne wydarzenie. W sobotę 14 grudnia w bazylice archikatedralnej św. Jana Chrzciciela odbędzie się ingres abp. Adriana Galbasa, czyli uroczyste rozpoczęcie jego posługi i władzy w archidiecezji.

Przypomnijmy – na początku listopada papież Franciszek mianował dotychczasowego metropolitę katowickiego Adriana Galbasa arcybiskupem metropolitą warszawskim, który zastąpi na tym stanowisku kard. Kazimierza Nycza.

W polskim Kościele katolickim następują duże zmiany kadrowe. Na emerytury odchodzą hierarchowie, którzy przez długie lata byli jego twarzami. Od półtora roku do dwóch zmiany mają zajść w jednej czwartej stolic biskupich, w tym Krakowie i Poznaniu, w Warszawie właśnie to następuje. Jakie będzie to miało konsekwencje dla polskiego Kościoła?

Jedność biskupów wyraża się przede wszystkim w jednomyślnym nauczaniu Magisterium Kościoła i jego prawd. Jednak w sensie intelektualnym i czysto ludzkim każdy biskup jest historią dla siebie. Każdy z nich ma pewną duchowość, pewne preferencje filozoficzne, a nawet polityczne.

Jak powiedział św. Augustyn, opisując, jak ma żyć Kościół jako Mistyczne Ciało Chrystusa: „W rzeczach koniecznych jedność, w wątpliwych wolność, we wszystkich miłość". Ta „wolność w rzeczach wątpliwych" jest bogactwem Kościoła, a także wielkim wyzwaniem, jeśli chodzi o jedność wspólnoty katolickiej.

W tym sensie zasadne jest postawienie pytania, czy powołanie nowych biskupów nie spowoduje widocznych zmian w sposobie funkcjonowania Kościoła i jego pozycji w społeczeństwie. Zwłaszcza gdy wiadomo, że to społeczeństwo przeżywa wielkie wstrząsy, a jednym z nich jest wojna kulturowa (walka przeciwko edukacji religijnej w szkołach, seksualizacja dzieci itd.), którą rząd Donalda Tuska wypowiedział konserwatywnym Polakom, nadal stanowiącym większość w tym kraju.

BÓG JEST W MIEŚCIE

W tego typu analizach powołanie nowego metropolity warszawskiego stanowi ważny przyczynek do rozważań. Jest to jedna z najważniejszych archidiecezji w Polsce, niosąca ze sobą nie tylko tytuł kardynalski, lecz także pewne znaczenie polityczne i społeczne. Metropolita warszawski

eprasa.pl 86d75865c9

to osoba, której głos jest zawsze uważnie wysłuchiwany w Kościele i który swoimi wypowiedziami kreuje w nim określone tendencje. Nie jest dziwne, że mianowanie Adriana Galbasa zostało szczególnie potraktowane przez wiele mediów zamieszczających analizy, które miały za cel opisać możliwe konsekwencje duchowe, a także społeczne związane z pojawieniem się nowego hierarchy na czele metropolii.

„Bardzo dobrze czuję się w mieście, a im większe miasto, tym czuję się w nim lepiej" – powiedział abp Galbas w wywiadzie dla Katolickiej Agencji Informacyjnej, który został udzielony kilka dni po wiadomości o decyzji papieża Franciszka. Oto, jak odpowiedział na pytanie, jaki ma plan, jeśli chodzi o głoszenie Ewangelii mieszkańcom dużej metropolii w nowoczesnych czasach:

„Papież Franciszek mówi, że Bóg jest w mieście. Niby oczywiste, ale ważne. To punkt wyjścia. Miasto, choć często bywa nazywane molochem, nie jest miejscem upadłym, bezbożnym i złym. W nim jest Bóg. Widoczny w tylu miejskich kościołach stojących w centrach aglomeracji, a przede wszystkim widoczny w ludziach i w ich historiach. Trzeba próbować rozumieć wieloimienność wielkich miast, przybywają tu ludzie z różnych stron, z różnych miejsc, z różnym doświadczeniem, z różnymi tradycjami. No i są tu ci, co byli od pokoleń. Ważne, by umieć dotrzeć do jednych i drugich, połączyć ich, zbudować wspólnotę".

Abp Galbas znany jest przede wszystkim ze swojego programu duszpasterskiego przybliżającego Kościół do ludzi i otwierającego jak najwięcej przestrzeni dla świeckich w funkcjonowaniu życia katolickiego.

Całkowicie błędne byłoby jednak postrzeganie go jako duchownego, który nie radzi sobie z trudnymi i wymagającymi zadaniami, wykraczającymi poza zakres duszpasterstwa i wymagającymi nieco innych umiejętności. Pokazał to, biorąc na siebie odpowiedzialność za sytuację w diecezji sosnowieckiej, niszczonej licznymi skandalami seksualnymi, z powodu których ta diecezja była określona jako „przedsionek piekła". W październiku 2023 r. Galbas został mianowany przez papieża administratorem apostolskim *sede vacante* tej diecezji.

– Przyjął to zadanie, choć mógł odmówić – mówi nam nasz rozmówca z archidiecezji katowickiej, dobrze znający działalność Galbasa.

– Mówimy o diecezji, gdzie w plebaniach znaleziono zwłoki mężczyzn. Galbas od tego nie uciekł, wziął na siebie odpowiedzialność. Przez kilka miesięcy zarządzał dwiema diecezjami i przygotowywał grunt pod nowego biskupa sosnowieckiego Artura Ważnego. Wszyscy mówią, że spisał się znakomicie i posprzątał w diecezji, jak tylko mógł. Skoro Kościół go wysyła, to znaczy, że on daje sobie radę w takich trudnych sytuacjach – mówi nam nasz rozmówca.

PRZYCHODZĘ NIE JAKO POLITYCZNY GRACZ

Nowy metropolita warszawski zdaje sobie sprawę, że jego nowy urząd ma w pewnym sensie także wymiar polityczny.

„Moją pierwszą misją jest utwierdzanie w wierze wierzących i skłanianie do wiary niewierzących. Przychodzę tutaj nie jako polityczny gracz czy broń Boże »partyjniak«. Nie! Jestem duszpasterzem. Tak chciałbym być postrzegany i na tym się skupić. Nie chciałbym, by wierni świeccy i księża częściej oglądali mnie w telewizji niż na ambonie. Oczywiście jestem świadomy, że styk z polityką jest w Warszawie istotniejszy niż Katowicach i ma konkretne konsekwencje, także dla posługi biskupa stolicy. Dotychczasowe spotkania z politykami pokazują mi, że politycy to przede wszystkim ludzie, z którymi można normalnie rozmawiać" – powiedział w wywiadzie dla KAI.

Nie jest tajemnicą, że odchodzący metropolita kard. Nycz był dość blisko środowiska Platformy Obywatelskiej. Wydaje się, że jego następca jest politycznie znacznie mniej zdefiniowany. Nasi rozmówcy z Katowic mówią, że Galbas zawsze starał się trzymać z daleka od konfliktów politycznych. – On oczywiście ma swoje opinie, ale nigdy nie wypowiadał się głośno na temat polityki. Jeśli zaś chodzi o rzeczy najważniejsze w Kościele, jak np. ochrona życia nienarodzonego, to zabierał bardzo stanowczy głos. Nigdy nie opowiedział się polityczne. I to było akurat najpiękniejsze, bo nie wprowadzał murów i podziałów, mówił, że jest dla wszystkich – słyszymy.

Jak ta „neutralność" Galbasa sprawdzi się w Warszawie – zobaczymy. Problem w tym, że wojny kulturowe, na które Kościół nie może pozostać obojętny, są powiązane z polityką. Po prostu istnieją siły polityczne, które atakują wartości katolickie, i są takie, które ich bronią. Coraz trudniej jest pozostać wiernym tym wartościom, a jednocześnie zachować neutralność polityczną i, jak lubią mawiać niektórzy, „unikać polaryzacji". Przecież Kościół nie jest wśród nas, aby unikać polaryzacji, ale aby wyraźnie głosić słowo Jezusa Chrystusa.

PROBLEMY I ZADANIA

Jakie problemy czekają nowego metropolitę w jego nowej diecezji?

– Problemy archidiecezji warszawskiej są takie same jak w innych diecezjach. To przede wszystkim brak księży i przyspieszony proces sekularyzacji – mówi nam jeden z warszawskich księży. – Ten proces sekularyzacji jest widoczny pod każdym względem. Warszawa to miasto, do którego napływa wiele osób pochodzących z obszarów, gdzie jeszcze ważne są tradycyjne wartości, ze wsi, z miasteczek. Można pomyśleć, że w jakiś sposób wzmocnią one życie religijne w metropolii. Jest jednak odwrotnie. Aspiracyjnie przystosowują się oni do zsekularyzowanej Warszawy i szybko zostają odcięci od własnych korzeni.

Zdaniem księdza poważnym kłopotem w diecezji jest brak powołań, co wywołuje różne problemy w duszpasterstwie.

Niektórzy z naszych rozmówców z Kościoła mówią nam, że właśnie w świetle zagrożenia sekularyzacją trochę dziwnie zabrzmiała homilia abp. Galbasa wypowiedziana w dniu Narodowego Święta Niepodległości w katowickiej archikatedrze: „Budujmy współczesną Polskę, świeckie państwo nie na negacji wartości i zasad chrześcijańskich, ale na szacunku dla nich i ich respektowaniu".

– Jakie jest to świeckie państwo? W tym momencie mamy problem z tendencją wyrzucania chrześcijaństwa z wszystkich wymiarów społeczeństwa, a nie z brakiem „świeckości" w nim – mówią nasi rozmówcy.

Jak widać, odpowiedź na pytanie zawarte w tytule tekstu nie jest jeszcze jasna. Przyniosą ją nadchodzące miesiące.

Fot. DyziO/Shutterstock.com

eprasa.pl 86d75865c9

Desperacka oferta

Niestety w końcu stało się to, co chyba musiało się stać. Przywódca Ukrainy został zmuszony do publicznego i oficjalnego zgłoszenia oferty oddania Moskwie rozległych obszarów jego państwa, sięgających co najmniej jednej piątej, a być może nawet jednej czwartej terytorium

JAN ROKITA

Rzecz jasna oferta Zełenskiego jest dla przyzwoitości opakowana w solenne zapewnienia o „tymczasowości" takiej zmiany terytorialnej i „dyplomatycznych sposobach" odzyskania integralności przez Ukrainę w przyszłości. Ale w dzisiejszych realiach wojny to „opakowanie", choć intencjonalnie łatwe do pojęcia, robi raczej wrażenie pustego rytuału. Tego rodzaju zaklęcia mogłyby trochę ratować sytuację, jeśliby miały choć cień prawdopodobieństwa. Niestety dziś nie widać nawet takiego cienia. Tylko perspektywa jakiejś kolejnej historycznej wielkiej smuty w Rosji mogłaby sprawić, że Ukraina odzyska swoje kresy południowo-wschodnie, utracone w wyniku wojny. Każdy to wie, także – jak myślę – na Ukrainie, dlatego rola, w której musi występować teraz jej prezydent, jest doprawdy nie do pozazdroszczenia.

NIEUCHRONNY SCENARIUSZ

Tak się w końcu musiało stać, skoro co najmniej od dwóch lat wiadomo, że układ „oddamy ziemię, chcemy bezpieczeństwa" był i pozostaje jedynym sposobem na uratowanie niepodległości Ukrainy. Powinno to być oczywiste dla każdego, kto analizował perspektywy rozwoju zdarzeń na Wschodzie najpóźniej na przełomie lat 2022 i 2023. To wówczas stało się jasne, iż ukraińska armia zrobiła już wszystko, co była w stanie, by odbić zajęte przez Moskali terytoria, a rozważana w tamtym czasie w mediach rzekoma ukraińska „wielka kontrofensywa" jest mirażem wyssanym z palca. Ocalenie Kijowa, a potem odbicie Chersonia oraz szmatu Zaporoża i Słobodszczyzny to i tak były sukcesami niespodziewanymi i ponad miarę, możliwymi tylko dzięki patriotycznej mobilizacji narodu i dobremu planowaniu militarnemu zapewnionemu przez Amerykanów. Tamte zdarzenia pozostaną w ukraińskiej pamięci o tej wojnie, tak jak w polskiej pamięci pozostaje ewenement bitwy nad Bzurą w toku kampanii wrześniowej.

W grudniu 2022 r., zastanawiając się nad możliwymi modelami końca wojny, pisałem o trzech dość oczywistych wariantach owego finału. Na własny użytek oznaczyłem je wtedy (może nazbyt technicznie) trzema akronimami: R+N, R-N i N-R, spodziewając się, iż kluczem do przyszłego rozejmu muszą być dwa czynniki: R – rozbiór terytorium oraz N – neutralizacja państwa ukraińskiego. R+N – to wariant, w którym oba te fatalne dla Ukrainy czynniki wystąpią łącznie w finale wojny. R-N to scenariusz rozbioru terytorialnego bez neutralizacji. Wreszcie N-R to odwrotność wariantu drugiego, czyli neutralizacja bez rozbioru.

Dwa następne lata pokazały, że wariant trzeci utracił realność w wyniku determinacji Moskwy do przeprowadzenia rozbioru terytorium Ukrainy. Jakkolwiek bowiem dalej nie potoczyłyby się sprawy na Wschodzie, jedno jest pewne: nawet w razie obalenia Zełenskiego i ustanowienia poprzez dywersję w Kijowie jakiegoś wygodnego dla Moskwy reżimu, Kreml i tak nie odstąpi od definitywnej inkorporacji sporej części ukraińskiego terytorium do Rosji, co zresztą Putin przeprowadził już uroczyście, w majestacie moskiewskiej konstytucji. Rozbiór Ukrainy jest nieuchronny i definitywny. I właśnie to przyznaje teraz prezydent Zełenski.

Niestety to dramatycznie osłabia przywódcę Ukrainy. Jest bowiem aktem uznania porażki dotychczasowej polityki wobec własnego narodu i świata. Jak wiadomo, projekcje przyszłości zawsze są ryzykowne, ale śmiem sądzić, że od przełomowego wywiadu Zełenskiego dla angielskiej telewizji „Sky News", w którym prezydent Ukrainy przyznał zarówno sojusznikom, jak i Moskwie zgodę na rozbiór kraju, jego przyszły polityczny los został przesądzony. Dziś nie ma nawet pewności, czy Zełenski utrzyma się jako przywódca kraju do końca wojny, jeśli miało by się okazać, że Moskwa wcale nie jest taka chętna do zatrzymania swojego zwycięskiego marszu w kierunku lewego brzegu Dniepru.

W każdym razie koniec wojny oznacza też polityczny koniec Zełenskiego i jego ekipy. A to nie jest dobra wiadomość ani dla Ukrainy, ani dla Polski. Istnieje bowiem spore prawdopodobieństwo, że powojenne przywództwo w Kijowie będzie albo bardziej uległe wobec Moskwy, albo na odwrót – bar-

eprasa.pl 86d75865c9

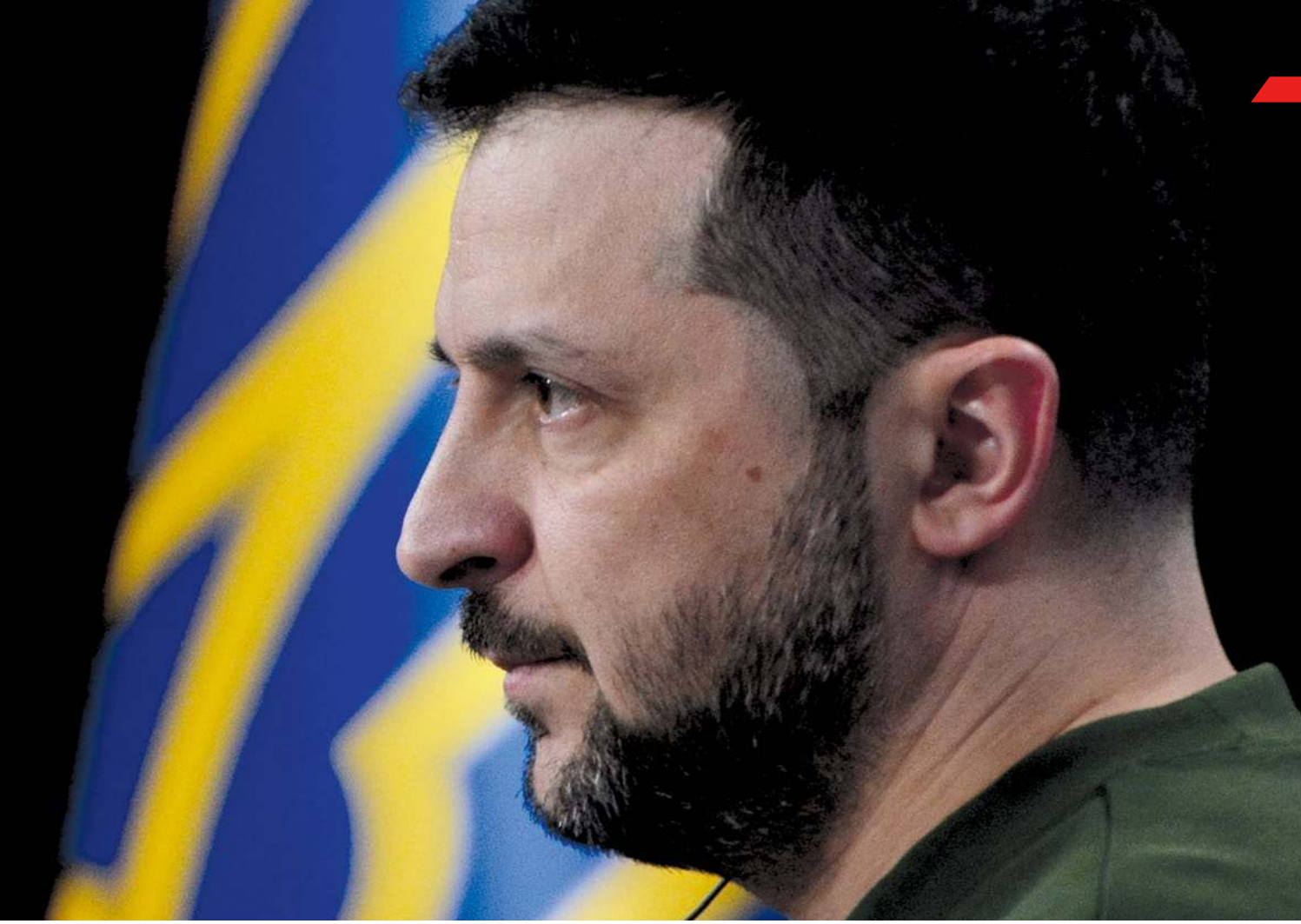

Fot. Review News/Shutterstock.com

dziej zacięte w odruchu ukraińskiego nacjonalizmu. To zresztą charakterystyczne dla dziejów tego narodu, że nacjonalistyczna zawziętość Ukraińców często wiązała się z traumą porażki. Tak było i po I, i po II wojnie światowej, a obie te wojny, jak wiemy, stanowiły narodową katastrofę dla Ukraińców.

W ROZSYPCE

Oczywiście wiemy doskonale, jakie okoliczności skłoniły ukraińskiego przywódcę do tak jednoznacznego postawienia kropki nad i, gdy idzie o zgodę na rozbiór kraju. Od dobrych paru miesięcy mamy przecież zalew złych informacji o kondycji ukraińskiego państwa i jego armii. Ruina systemu energetycznego pogłębia się po każdym kolejnym bombardowaniu. Front w Donbasie nie został dotąd przerwany tylko dlatego, że Ukraińcy cały czas się cofają. Skala dezercji z armii, o jakiej donoszą przecieki z Kijowa, wygląda apokaliptycznie. Ostatnie dane mówią o kilkudziesięciu tysiącach procesów karnych wytoczonych dezerterom, co na zdrowy rozum musiałoby oznaczać, iż tych, którzy uciekli z armii, może być nawet dwa razy więcej.

Olivia Kortas, mieszkająca na stałe na Ukrainie korespondentka niemieckiego „Die Zeit", relacjonowała ostatnio swoje rozmowy z żołnierzami, którym trzeci rok nie dano urlopu z linii frontu. O młodych wojskowych przysyłanych teraz na front mówią oni tak: „Nowi stoją trzy, cztery dni, a potem umierają".

Jeśli to wszystko prawda, armia najprawdopodobniej znajdzie się wkrótce w stanie rozkładu. A w Kijowie wokół Zełenskiego trwają otwarte walki frakcyjne, co świadczy o tym, że nie tylko nastąpił rozkład *esprit de corps* armii, lecz także upadek morale władzy. Ukraińskie media, które o dziwo mimo wojny zachowały daleko idącą wolność słowa, z satysfakcją i bez cienia sympatii dla Zełenskiego roztrząsają ostatnio np. frakcyjne porachunki, toczone wokół kluczowego dla wyposażenia armii w drony urzędu Służby Łączności Specjalnej, dysponującego budżetem w wysokości przeszło 1 mld dol.

Policja oficjalnie podaje dane o niezliczonych przypadkach dywersji na terenie kraju: podpaleń pojazdów wojskowych czy niszczenia infrastruktury kolejowej na szlakach przerzutu wojsk. Sam prezydent publicznie opowiada o 10. nowo zmobilizowanych brygadach armii, z których Zachód uzbroił dotąd tylko 2,5. A angielskiemu dziennikarzowi pytającemu go o mobilizację 18-latków rzuca rozpaczliwie brzmiące retoryczne pytanie: „Czy chcesz, żeby ich wysłać na śmierć bez broni?".

GRA BIDENA I SCHOLZA

Ukrainie grozi zatem wariant R+N, czyli rozbioru terytorium kraju i jego powojennej neutralizacji. Czyli ostatecznej odmowy zachodnich sojuszników z Ameryką na czele wzięcia po wojnie współodpowiedzialności za przyszłe bezpieczeństwo okrojonej terytorialnie Ukrainy. To właśnie tej katastrofie desperacko próbuje teraz zapobiec Zełenski, obwieszczając, iż w istocie godzi się z wojenną klęską kraju i własną klęską

eprasa.pl 86d75865c9

polityczną, ale tylko za jedną, najwyższą cenę: włączenia reszty Ukrainy do zachodniego sojuszu militarnego i objęcia jej tzw. regułą muszkieterów, zapisaną w art. 5 traktatu waszyngtońskiego.

Oczywiście Zełenski jest świadom, że dwaj kluczowi gracze w zachodnim sojuszu, prezydent Biden i kanclerz Scholz, są konsekwentnymi wrogami takiej decyzji. To właśnie przywódca USA jeszcze przy okazji wileńskiego szczytu NATO w 2023 r. sformułował wielkie kłamstwo, które miało uzasadniać jego sprzeciw. Mianowicie że zaproszenie Kijowa do NATO po ustaniu wojny oznaczałoby przystąpienie Sojuszu do wojny z Moskwą. Dla każdego przytomnego człowieka kłamstwo leżące u podstaw tego „argumentu" jest oczywistością. Ale ponieważ wypowiedział je prezydent USA, potem było powtarzane w nieskończoność, niestety także przez polskiego szefa dyplomacji.

Jednak dwaj najwięksi przeciwnicy przyszłego bezpieczeństwa Ukrainy, Biden i Scholz, właśnie tracą w końcu władzę i schodzą ze sceny. Trudno nie odnieść wrażenia, że gdyby nie ich odejście, desperackiej oferty Zełenskiego by jednak nie było. Zarówno w Ameryce, jak i zapewne w Niemczech władza przechodzi w ręce prawicy, a Donald Trump i Friedrich Merz dziś budzą w Kijowie największe nadzieje na ocalenie Ukrainy. Każdy, kto słucha oświadczeń ukraińskich polityków albo przegląda ukraińskie media, dostrzeże to z łatwością. A tak nawiasem mówiąc, to oczywiste spostrzeżenie unaocznia skalę zakłamania globalnej propagandy, sączonej w liberalnych i lewicowych mediach także w Polsce, które w złej wierze wbiły do głów milionów ludzi przekonanie dokładnie odwrotne do rzeczywistości.

Z jakiego punktu widzenia nie patrzeć, byłoby lepiej, gdyby oferta R-N, czyli utrata terytoriów, ale za to objęcie kraju art. 5, została sformułowana nie przez prezydenta Ukrainy, ale przez przywódców Zachodu. Po obecnych deklaracjach Zełenskiego można przypuszczać, iż długo czekał na taki rozwój zdarzeń. Ale niestety się nie doczekał. Gdyby z taką ofertą wystąpili Biden i Scholz, uratowałby szansę na ocalenie swego autorytetu w kraju, wchodząc w rolę przywódcy, który odpowiedzialnie nie może odrzucić oferty spełniającej odwieczne marzenie Ukraińców o bezpieczeństwie ojczyzny. Niestety upór lewicowych rządów w Waszyngtonie i Berlinie uniemożliwił zyskanie szansy na rozejm dużo wcześniej, gdy Ukraina stała jeszcze silnie na swych nogach, a Putin nie mógł być pewien dalszego rozwoju zdarzeń na froncie.

> Koniec wojny oznacza polityczny koniec Wołodymyra Zełenskiego i jego ekipy. A to nie jest dobra wiadomość ani dla Ukrainy, ani dla Polski

Za tę odmowę ocalenia Ukrainy w korzystniejszych dla niej okolicznościach Biden i Scholz odpowiedzą niestety już tylko przed historią. A do dzisiejszej sytuacji przyczyniła się jeszcze irracjonalna i z gruntu zakłamana doktryna głoszona przez wszystkich sojuszników, wedle której to sam Kijów musi decydować o zakończeniu wojny, sojusznicy będą zaś wspierać Ukrainę „tak długo, jak to konieczne". Co na język uczciwej polityki można przetłumaczyć chyba tylko w jeden sposób: „dopóty, dopóki Moskwa nie zajmie całej Ukrainy", skoro Ukrainie dano kroplówkę, na dłuższą metę prowadzącą do jej wyniszczenia, a nie broń potrzebną do odwetu na Moskwie, bez czego obronienie kraju *a priori* nie było przecież możliwe.

ROLA POLSKI

Wielkość politycznego przywództwa zawsze mierzy się tylko jedną miarą: zachowaniem przywódcy w chwilach bliskich beznadziejności. Taką historyczną chwilę przeżywa teraz Ukraina. I w takiej właśnie chwili Zełenski po raz wtóry dowodzi wielkości swego przywództwa, uznając wobec własnego narodu i świata fiasko swej polityki obronienia całej Ukrainy. Zachodnim sojusznikom mówi w ten sposób: oto macie w rękach ostatnie narzędzie ocalenia okrojonej terytorialnie Ukrainy, jakim jest włączenie jej do zachodniego sojuszu i objęcie w przyszłości „regułą muszkieterów". W przeciwnym razie poniesiecie odpowiedzialność za zdradę i upadek Ukrainy, gotując sobie samym perspektywę globalnej wojny z Moskwą. Ta zdrada byłaby tym bardziej perfidna, że dokonałaby się w atmosferze zalewu politycznej hipokryzji: pielgrzymek polityków do Kijowa, niezliczonych zapewnień o solidarności i olbrzymiej pomocy, ale zawsze tak zręcznie przemyślanej, aby nie umożliwić Zełenskiemu przeprowadzenie realnego odwetu na moskiewskim agresorze.

Ta desperacka oferta Zełeńskiego jest *de facto* rodzajem moralnego szantażu wobec świata zachodniego. Rzecz jasna największa odpowiedzialność za jej przyjęcie bądź odrzucenie spocznie na nowym prezydencie USA, a także przyszłym kanclerzu Niemiec. W żadnym razie nie powinniśmy jednak w Polsce sądzić, iż nas ta rzecz nie dotyczy, bo losy Ukrainy nie są już w naszych rękach. Tak bowiem nie jest. Zarówno dla Trumpa, obejmującego władzę w USA, jak i dla Merza, który po 23 lutego zostanie zapewne kanclerzem Niemiec, twardy polski punkt widzenia manifestowany bez obaw i zahamowań może się stać jedną z przesłanek ich decyzji. Zapewne nie najważniejszą, ale mogącą przechylić wahającą się decyzyjną szalę.

Po ofercie Zełenskiego pojawiają się pierwsze symptomy mentalnego przewrotu co do Ukrainy. Przykładem jest ubiegłotygodniowa rezolucja Zgromadzenia Parlamentarnego NATO podjęta w Montrealu, żądająca od przywódców Zachodu „bezzwłocznego zaproszenia Ukrainy do sojuszu" oraz – co nie jest bez znaczenia – przekazania armii ukraińskiej broni średniego zasięgu pozwalającej na przeprowadzenie odwetu aż 3 tys. km w głąb terytorium moskiewskiego. Niestety polska polityka jest ostatnio miękka i kunktatorska. A szczytem jej asertywności jest oświadczenie szefa polskiej dyplomacji, który przyznał, że „Ukraina może czuć się rozczarowana". Po desperackiej ofercie Zełenskiego nastał najwyższy, a być może zarazem ostatni czas, aby polskiemu poglądowi na zaproszenie Ukrainy do Sojuszu nadać moc i rozmach.

Autopromocja

eprasa.pl 86d75865c9

Nowy portal informacyjny telewizji

wPolsce 24

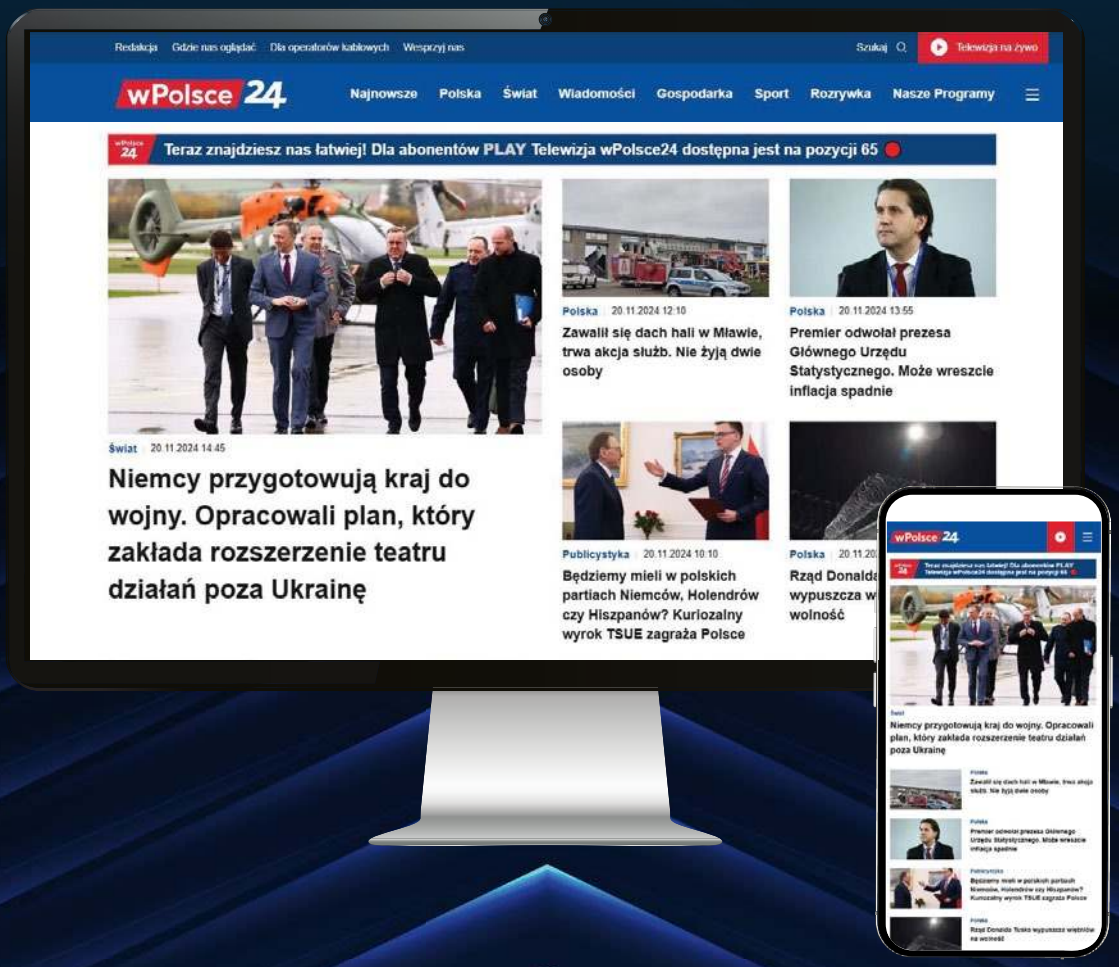

Najnowsze wiadomości z kraju i ze świata >> gospodarka >> sport >> rozrywka >> publicystyka >> **treści video**

www.wpolsce24.tv

eprasa.pl 86d75865c9

„W tym roku w Europie doszło do 500 podejrzanych incydentów. Nawet 100 z nich można przypisać rosyjskim atakom hybrydowym, szpiegostwu i operacjom wpływu" – powiedział czeski minister spraw zagranicznych Jan Lipavský w przeddzień niedawnego szczytu państw NATO w Brukseli

Rosyjska wojna z Europą

MAREK BUDZISZ

Skala obecnego zagrożenia rosyjskimi atakami jest większa niż za czasów zimnej wojny, zauważył niedawno szef brytyjskiego wywiadu MI6 sir Richard Moore, wypowiadając się na ten temat publicznie i mówiąc o „kampanii rosyjskiego sabotażu". Podobne oceny formułował też niedawno w Bundestagu Bruno Kahl kierujący pracami niemieckiej Federalnej Służby Wywiadowczej.

Jeden z ostatnich „podejrzanych incydentów" miał miejsce w okolicach Pniew w Wielkopolsce, gdzie przerwana została nitka ropociągu Przyjaźń. W efekcie ograniczono dostawy do czeskiej rafinerii ORLENU, rząd w Pradze zapowiada uruchomienie w razie potrzeby rezerw strategicznych, a wszystko to zbiega się z promowaniem przez Putina energetycznego „swapu". Rosyjski prezydent, będąc niedawno w Kazachstanie, a wcześniej w azerskim Baku, powiedział, że Moskwa osiągnęła z obydwoma krajami porozumienie w kwestii dostaw surowców energetycznych. Do Europy miałby popłynąć gaz z Azerbejdżanu i ropa naftowa z Kazachstanu, a swoje surowce Rosjanie wysyłaliby do odbiorców w Azji za pośrednictwem systemu ropo- i gazociągów. Tyle teorii. Zdaniem ekspertów praktyka byłaby zupełnie inna, bo do odbiorców w Niemczech, Austrii, a także w Polsce miałby faktycznie docierać surowiec rosyjski, jedynie na papierze uchodzący za pochodzący z innych krajów. Chodzi oczywiście o ominięcie obowiązujących sankcji i zapewnienie Moskwie również w przyszłym roku środków niezbędnych do kontynuowania wojny.

Można by było zapytać, jaki związek z tymi planami może mieć „rozszczelnienie" ropociągu pod Pniewami? W ten sposób Rosjanie mogą chcieć „przekonać" państwa będące przeciw tego rodzaju posunięciom, że ich infrastrukturę krytyczną mogą zacząć prześladować „awarie", lepiej zatem nie być zbyt stanowczym.

eprasa.pl 86d75865c9

NIEBEZPIECZNIE NA BAŁTYKU

Jak zauważył niedawno niemiecki minister obrony Pistorius, obszarem, gdzie obserwuje się skokowy wzrost wrogiej rosyjskiej aktywności, jest Bałtyk. W ostatnim tygodniu ostrzelano niemiecki śmigłowiec wykonujący misję zwiadowczą, a kabel telekomunikacyjny łączący Finlandię ze Szwecją został uszkodzony na lądzie w dwóch miejscach. Policja prowadzi dochodzenie, władze wysyłają uspokajające komunikaty, ale nasilenie awarii i „przypadkowych" uszkodzeń infrastruktury telekomunikacyjnej jest zastanawiające.

Dwa tygodnie wcześniej, w połowie listopada, chiński masowiec Yi Peng 3 przeciął dwa podmorskie kable światłowodowe łączące Litwę ze Szwecją i Finlandię z Niemcami. I w tym przypadku załoga tłumaczy się „wypadkiem", który miałby polegać na przypadkowym wyrzuceniu kotwicy, ale eksperci nie wierzą w te wyjaśnienia nie tylko dlatego, że w ub.r. również chiński statek handlowy przerwał dwa kable światłowodowe leżące na dnie Bałtyku.

Jak doniósł duński kanał telewizyjny TV2, chiński statek, płynąc do rosyjskiego portu Ust Ługa po ładunek nawozów mineralnych, wykonywał w cieśninach duńskich „nietypowe" manewry, których nie obserwuje się w przypadku innych jednostek handlowych. Miały one polegać na tym, że na północny-wschód od Læsø, największej duńskiej wyspy położonej w tej cieśninie, nagle zwolnił, redukując prędkość z 13 do 1 węzła, co oznacza, że praktycznie stanął w miejscu, a po jakimś czasie znów przyspieszył. Eksperci przeanalizowali całą trasę jednostki z egipskiego Port Saidu do Ust Ługi, portu nieopodal Petersburga, i doszli do wniosku, że w czasie rejsu statek nigdzie nie wykonywał podobnych manewrów. Na dnie Bałtyku, w miejscu, w którym chiński masowiec zaczął się dziwnie zachowywać, znajdują się trzy kable (dwa energetyczne i jeden telekomunikacyjny) łączące Szwecję z Danią. W opinii ekspertów te zastanawiające manewry to nie przypadek. Jak zauważył Jens Wenzel Kristoffersen, ekspert w zakresie bezpieczeństwa żeglugi, „jest podejrzane, że statek handlowy, który z zasady znajduje się w tranzycie z jednego portu do drugiego, zachowuje się w ten sposób. Statek handlowy tego normalnie nie robi". Dodał też, że kapitan jednostki powinien wyjaśnić swoje zachowanie po zatrzymaniu. Problem polega na tym, że na razie nie został on przesłuchany, gdyż Yi Peng 3 wraz z załogą znajduje się na wodach międzynarodowych.

W drodze powrotnej statek uszkodził dwa kable telekomunikacyjne na wysokości szwedzkiej Gotlandii, ale i w tym przypadku trudno dać wiarę oficjalnym wyjaśnieniom chińskiego armatora i Pekinu, w których mówi się o wypadku. Jak wynika z danych ujawnionych przez dziennik „The Wall Street Journal", kapitan i załoga statku „nie mogli nie zauważyć", że jednostka płynie z wyrzuconą kotwicą, bo po tym, jak to się stało, znacznie spadła jej prędkość, statek przepłynął kolejne 111 mil morskich i dopiero po uszkodzeniu kolejnego kabla podniósł kotwicę, następnie zaczął zygzakować i kontynuował rejs ze znacznie większą prędkością. Tego rodzaju zachowanie raczej nie świadczy o przypadkowości zdarzenia, ale więcej na temat tego, co się stało, będzie można powiedzieć po inspekcji jednostki i przesłuchaniu załogi.

Obecnie kotwiczy ona w duńskiej cieśninie Kattegat pilnowana przez okręty marynarki wojennej Szwecji, Danii i Niemiec. W niewielkiej odległości zaobserwowano obecność rosyjskiej korwety rakietowej Mercury. Spekuluje się, że została ona wysłana w ten rejon Bałtyku, aby obserwować rozwój wydarzeń.

Sprawa jest wielowątkowa, ciekawa i zwiastuje nową fazę wojny asymetrycznej. Wejście na pokład chińskiego masowca i przesłuchanie załogi wymagałoby albo zgody Pekinu – i choć chińska dyplomacja deklaruje chęć współpracy, nie spieszy się z jej udzieleniem – albo przedstawiciele państw NATO musieliby użyć siły i pod przymusem sprowadzić Yi Peng 3 do jednego z portów Szwecji. Kristina Siig, profesor międzynarodowego prawa morskiego na Uniwersytecie Południowej Danii, jest zdania, że Chiny „mają władzę policyjną" nad jednostką tak długo, jak znajduje się ona na wodach międzynarodowych. To dodatkowo komplikuje sprawę i utrudnia działanie państw NATO.

W zachodnich mediach pojawiły się też spekulacje, że w incydent związany z masowcem Yi Peng 3 może być zaangażowany rosyjski wywiad i jest to typowa operacja pod przykrywką, której istotą są problemy z przypisaniem tego, co się wydarzyło, konkretnemu sprawcy. Jeśli dojdzie do zaostrzenia relacji państw Morza Bałtyckiego z Chinami – np. w efekcie siłowego sprowadzenia Yi Peng 3 do jednego z okolicznych portów – korzyści Rosji będą oczywiste. Po pierwsze, Pekin od jakiegoś czasu opowiada się za obroną „swobody żeglugi" i może uznać większą aktywność okrętów wojennych państw NATO, które mogą zacząć intensywniej patrolować ten akwen (o co apelował niedawno premier Tusk), za zagrożenie dla swobody handlu międzynarodowego. W efekcie na Bałtyku mogą się pojawić chińskie okręty wojenne, które już wielokrotnie uczestniczyły z Rosjanami we wspólnych manewrach morskich o charakterze prowokacyjnym. Jeśli wydarzenia potoczą się zgodnie z tym scenariuszem, to Moskwa za jednym posunięciem osiągnie trzy cele. Nastąpi pogłębienie współpracy wojskowej z Chinami, zakwestionowana zostanie narracja o Bałtyku jako „NATO-wskim morzu", a w oczach światowego Południa Zachód zostanie agresorem łamiącym międzynarodowe prawo morskie.

Jeśli jednak państwa NATO, których infrastruktura została uszkodzona, nie zareagują, to korzyści Rosji również będą wymierne. Jak napisała w komentarzu umieszczonym na stronie think tanku CEPA Elisabeth Braw, ekspert zajmująca się wojną asymetryczną i atakami na europejską infrastrukturę krytyczną,

Fot. MIKKEL BERG PEDERSEN/AFP/East News

eprasa.pl 86d75865c9

„stawka będąca w grze jest większa – kraje zachodnie stoją przed niezwykle trudnym wyborem między nadstawieniem drugiego policzka (jak w przeszłości) a przyjęciem bardziej zdecydowanego podejścia i prawdopodobieństwem, że państwa autorytarne oskarżą je o naruszenie międzynarodowego porządku opartego na zasadach". Jeśli nie zostaną podjęte stanowcze działania celem wyjaśnienia sprawy – a to może oznaczać konieczność odwołania się do siły i przeprowadzenia np. abordażu na chińskim statku – to bezczynność zostanie odczytana jako słabość, co może oznaczać powtarzanie się takich „incydentów" w przyszłości na większą skalę.

TAJEMNICZA AWARIA SIECI KOMÓRKOWEJ

W związku z sytuacją wokół chińskiego masowca trzeba zwrócić uwagę na to, co stało się kilka dni po zatrzymaniu jednostki przez Duńczyków. Otóż jednego dnia miały miejsce dwie awarie infrastruktury krytycznej na masową skalę. Najpierw na terenie całego kraju przestała działać sieć komórkowa TDC, a potem wysiadły systemy sterowania ruchem pociągów. Wszystko w odstępie kilku godzin. Sieć telefonii komórkowej TDC jest jedną z trzech działających w Danii, a jej awaria, zwłaszcza o takiej skali, wydarzyła się po raz pierwszy w historii firmy.

W efekcie władze miejskie Kopenhagi zostały zmuszone do postawienia służb w stan najwyższej gotowości i wysłanie na ulice miasta zwiększonych patroli celem odnalezienia wszystkich, którzy mogą potrzebować pomocy, a nie mieli możliwości skontaktowania się z właściwymi służbami, bo nie działał też telefon alarmowy 112.

Tego samego dnia awarii uległy systemy sterowania ruchem kolejowym w Jutlandii Północnej i Południowej. W rezultacie wiele pociągów zostało unieruchomionych, pasażerowie mieli problemy z ich opuszczeniem, władze zawiesiły ruch kolejowy na wielu trasach. Następnego dnia o połowę ograniczono liczbę pociągów, ponieważ trzeba było uruchomić ręczny system sygnalizacji i sterowania ruchem.

Wszystko, co wydarzyło się w Danii, może być oczywiście dziełem przypadku, ale paradoksalnie na tym też polega logika wojny asymetrycznej. Przeciwnik uderza w taki sposób, abyśmy nie wiedzieli, czy mamy do czynienia z celowym działaniem obcych służb, czy ze zwykłymi awariami. W efekcie wszystkie niecodzienne wydarzenia zaczynamy traktować podejrzliwie, narasta psychoza społeczna, a służby powołane do radzenia sobie z sytuacjami kryzysowymi z czasem stają się przeciążone liczbą interwencji i rośnie prawdopodobieństwo przeoczenia rzeczywiście groźnych wydarzeń.

> Kilka dni po zatrzymaniu przez duńskie władze chińskiego masowca, który przeciął dwa podmorskie kable światłowodowe, doszło w tym kraju do wielkich awarii infrastruktury krytycznej. Najpierw przestała działać sieć komórkowa TDC, a potem „wysiadły" systemy sterowania ruchem pociągów. Czy to przypadek?

BOMBOWE PACZKI

Pod koniec listopada rozbił się samolot DHL lecący do Wilna. Zginęła jedna osoba, a mogło dojść do znacznie większej tragedii, bo szczątki samolotu spadły na zabudowane przedmieścia litewskiej stolicy. W tym przypadku raczej trudno mówić o usterce, poważnie brany jest pod uwagę scenariusz sabotażu. Kanclerz Niemiec Olaf Scholz, pytany tego dnia w telewizji ZDF, czy za katastrofą stoi Rosja, powiedział: „Może tak być". Niemiecki polityk nie jest antyrosyjskim jastrzębiem, skąd zatem w jego ustach taka opinia?

Wcześniej niemieckim służbom specjalnym udało się rozbroić ładunek wybuchowy, który został odnaleziony w Lipsku, w sortowni paczek również należącej do firmy DHL. Gdyby nie przypadek, bomba eksplodowałaby w powietrzu i mielibyśmy do czynienia z katastrofą lotniczą. Niemieckie media pisały również o podobnej paczce zawierającej ładunek wybuchowy, która została odkryta w magazynie tej samej firmy w Polsce.

Kilka miesięcy temu Berlin informował o udaremnieniu zamachu, którego ofiarą miał paść Armin Papperger, szef koncernu zbrojeniowego Rheinmetall.

Zdaniem specjalistów zarówno próba zamachu na niemieckiego przedsiębiorcę, jak i podłożenie ładunków w paczkach transportowanych przez DHL świadczy o tym, że Rosja intensyfikuje wojnę hybrydową i jest gotowa przekraczać kolejne granice. Służby specjalne wielu krajów alarmują o rekrutowaniu przez Rosjan wykonawców ze świata zorganizowanej przestępczości, co stanowi dodatkowy czynnik ryzyka, bo w tym przypadku trudno oczekiwać finezyjnego działania.

SIANIE ZAMĘTU

Ken McCallum, szef brytyjskiego MI5, opisując operacje Rosjan na Wyspach Brytyjskich, mówił o „próbach siania zamętu" na ulicach miast. Z pewnością celem takich działań jest zamęt w umysłach obywateli atakowanych państw. Kiedy sytuacja destabilizuje się w oczywisty sposób, narasta liczba niewyjaśnionych, groźnych incydentów, pojawia się irracjonalne marzenie o powrocie do starych, dobrych czasów, kiedy można było czuć się bezpiecznie.

Tego rodzaju nastroje mają wpływ na preferencje wyborcze i mogą w efekcie wynieść do władzy polityków, którzy byliby skłonni porozumieć się z Rosją. Taka zmiana nastrojów jest pierwszym krokiem na drodze do narzucenia Europie nowych, odpowiadających Kremlowi porządków i dlatego musimy być przygotowani na wzrost liczby niewyjaśnionych i groźnych „incydentów".

eprasa.pl 86d75865c9

Europeizacja NATO?

JAN PARYS

Silna pozycja USA nie oznacza, że kraj ten może być spokojny o swoją przyszłość. Jego mieszkańcy wiedzą najlepiej, jak wiele dziedzin wymaga naprawy. To są jednak wewnętrzne problemy Ameryki. Obecnie nie mniejszym problem jest także pozycja Stanów Zjednoczonych na świecie. Nie powinna być ona obojętna dla mieszkańców Europy

Amerykanie odpowiadają za bezpieczeństwo Europy od czasu II wojny światowej, bo to wtedy ich wojska zaczęły stacjonować na naszym kontynencie. Nie byłoby pokoju podczas zimnej wojny ani jej wygrania, gdyby nie amerykańskie inwestycje w gospodarkę i bezpieczeństwo Europy. Również dziś bez potęgi militarnej USA Stary Kontynent nie jest w stanie obronić się przed rosyjskim zagrożeniem.

USA jako główne państwo w NATO ma prawo oczekiwać od europejskich sojuszników lojalności i wkładu we wspólną obronę. Państwa Starego Kontynentu nie mogą traktować USA jak zagrożenia, z którym trzeba rywalizować lub od którego trzeba się izolować. Kraje Unii Europejskiej muszą skończyć z prowadzeniem egoistycznej współpracy politycznej i gospodarczej z państwami, których celem jest złamanie potęgi Zachodu. Poza tym unijne państwa nie mogą być dłużej pasażerami na gapę w dziedzinie bezpieczeństwa. USA mają prawo wymagać, aby wszyscy członkowie NATO wnosili proporcjonalny wkład w system obronny Sojuszu. Dziś każdy, kto pojmuje interesy Europy na świecie jako odrębne od amerykańskich, nie rozumie zagrożeń wynikających z trudnej sytuacji międzynarodowej.

W ostatnich latach kraje UE często oskarżały polityków z kręgu Donalda Trumpa o zamiar osłabiania NATO. Tymczasem to właśnie on wzmacniał amerykańskie siły w Polsce i w Europie. To Trump wywierał presję na zwiększone zbrojenia państw Unii. To Trump blokował funkcjonowanie Nord Stream 2, by zahamować energetyczne uzależnienie Europy do Rosji.

Wiosną 2024 r. 21 państw Unii Europejskiej postanowiło budować European Sky Shield, czyli europejską kopułę obrony powietrznej, odrębną od istniejącego systemu, który oparty na amerykańskiej technologii jest wdrażany przez niektórych członków NATO, w tym np. przez Polskę. W lipcu Francja, Niemcy, Włochy i Rzeczpospolita podpisały porozumienie o wspólnej budowie pocisków manewrujących o zasięgu ponad 1 tys. km. W listopadzie br. ministrowie obrony państw UE zawarli porozumienie w sprawie współpracy w dziedzinach, takich jak obrona powietrzna i przeciwrakietowa, wojna elektroniczna, amunicja krążąca i budowa okrętów.

Dotychczasowa praktyka dzielenia funduszy na obronność przez Komisję Europejską pokazuje, że w rzeczywistości idzie o dofinansowanie ze środków UE francuskich i niemieckich korporacji. Może warto zadać pytanie, dlaczego, gdy trwa rosyjska agresja na Ukrainę, unijni politycy zamiast wzmacniać wspólny wysiłek obronny państw zachodnich, inicjują projekty budowy zdolności obronnych bez USA? To *de facto* oznacza, że zamierzają oni ograniczać współpracę militarną z tym państwem. Być może w ten sposób, poprzez europejskie programy militarne, kraje UE zyskają nowe zdolności obronne, ale jednocześnie kooperacja militarna z USA nie będzie rozwijana, lecz raczej ograniczana. Bo każdy projekt czysto europejski osłabia więzi sojusznicze z najsilniejszym państwem NATO. Czy warto płacić taką cenę za europejskie ambicje do wojskowej autonomii? Czy taka autonomia lepiej zapewni nam bezpieczeństwo niż kooperacja w ramach Sojuszu Północnoatlantyckiego?

Wśród państw UE powstają zatem kolejne inicjatywy militarne nie tylko bez USA, lecz także poza NATO. Takie kroki raczej dzielą Sojusz i tylko pozornie go wzmacniają. Tymczasem Europy trzeba bronić razem z USA. Nie jestem pewien, czy w sytuacji, w której Europa preferuje odrębne technologie obronne, wojska amerykańskie będą dalej brały odpowiedzialność np. za obronę antyrakietową Starego Kontynentu. Te dążenia europejskich polityków do militarnej samodzielności nie są niczym innym jak odrywaniem Europy od USA w dziedzinie militarnej. Każdy kolejny krok na drodze do tzw. europeizacji NATO jest krokiem w kierunku osłabienia kooperacji z USA w dziedzinie bezpieczeństwa. W Europie powinniśmy pamiętać, że takie działania wzmacniają w USA wpływy zwolenników geopolitycznego izolacjonizmu. A izolacja USA i Europy nie wzmacnia siły państw europejskich, lecz służy naszym przeciwnikom w Moskwie.

Przyszłość Starego Kontynentu w dziedzinie bezpieczeństwa jest związana z pozycją i siłą USA w tym sensie, że Europa razem ze Stanami Zjednoczonymi tworzy na świecie jeden obóz państw zachodnich. Nawet jeżeli nie każdy mieszkaniec Unii tak myśli, to należy pamiętać, że w innych rejonach świata, np. w Moskwie i Pekinie, tak jesteśmy postrzegani. W obecnym skonfliktowanym świecie żadna z części tego obozu nie poradzi sobie lepiej osobno. Bo mniejszy potencjał wobec zagrożeń to mniejsze szanse na sukces.

Używając języka potocznego, można zatem powiedzieć, iż Europa i USA jadą na jednym wózku. Nasz los zależy od naszej zdolności do kooperacji między politykami z obu kontynentów. Do tego są zdolni jednak tylko tacy politycy, którzy akceptują fakt, że istnieje coś takiego jak Zachód. A jeżeli tak jest, to znaczy, że trzeba wspólnie z USA definiować zagrożenia i wspólnie przygotowywać się do obrony wolności. Zatem wszelkie inicjatywy państw UE o znaczeniu militarnym powinny być prowadzone na forum Sojuszu Północnoatlantyckiego.

eprasa.pl 86d75865c9

Wymiana ludów

Europejczyków zastępują przybysze z Azji i Afryki. To kolejna sprawdzająca się teoria spiskowa

DARIUSZ MATUSZAK

Zasada brzytwy Ockhama sprowadza się do tego, by tłumacząc jakieś zjawisko, uznawać za prawdziwe najprostsze i najbardziej oczywiste wyjaśnienie. To, które nie wymaga nowych pojęć i założeń. I tak jest, gdy próbujemy zrozumieć, dlaczego jeden z najbogatszych regionów świata, państwa o niewyobrażalnych dla innych nacji zasobach, dysponujące najlepszymi technologiami, bronią, służbami, będące członkami najpotężniejszego sojuszu świata nie radzą sobie z nielegalną imigracją, bandami przemytników i handlarzami ludźmi. Dlaczego Europa jest bezradna wobec tych, którzy w nędznych łódkach, pieszo, ukryci w ciężarówkach dokonują inwazji na nią, zmieniają całe miasta w swe koczowiska, zaprowadzają swe porządki i niosą ze sobą zagrożenia na niespotykaną wcześniej skalę. Najprostsza i najbardziej trafna odpowiedź na te pytania jest zgodna z ekonomią myślenia XIV-wiecznego mnicha i filozofa Williama Ockhama – bo tego chcą władcy i właściciele świata. Bo chcą podmiany populacji Zachodu.

Wędrówka ludów ma zmienić Europę na zawsze, zatopić naszą, europejską cywilizację w nowym żywiole. I stanie się tak, jak w swej książce „Uległość" wieszczy francuski pisarz Michel Houellebecq. Zalana głównie muzułmańską imigracją Europa z cywilizacją i kulturą, które ją konstytuują, przestanie istnieć. Taki los swej ojczyzny przewiduje np. 65 proc. Francuzów. W ciągu 20 lat państwo, jakie znają, upadnie, przestanie być Francją. Podobnie do 2050 r. Wielka Brytania będzie krajem, w którym rdzenna ludność będzie mniejszością.

Jasno oświeceni wyśmiewają te teorie, nazywając spiskowymi, ale właśnie potwierdził je premier Wielkiej Brytanii. Keir Starmer przemawiał po tym, jak Urząd Narodowych Statystyk (ONS) podał, iż w ciągu roku, pomiędzy czerwcem 2022 r. a czerwcem 2023 r., w Wielkiej Brytanii przybyło netto ponad 900 tys. imigrantów. To cztery razy więcej niż w 2019 r. przed brexitem.

„Jak zwykle Partia Konserwatywna obiecywała, że obniży tę liczbę. I jak zwykle zawiodła" – mówił Starmer. „Ta porażka to nie przypadek. Ona była celowa. Polityka celowo była tak prowadzona, by ułatwić imigrację. Brexit został wykorzystany, by przekształcić Wielką Brytanię w eksperymentalny kraj otwartych granic".

LUDZIE JAK CZĘŚCI ZAMIENNE

Nie wiemy, czy Starmer mówił to w przypływie szczerości i uczciwości, czy tylko dla politycznego zysku, by jako lider Partii Pracy skrytykować swych przeciwników – torysów. Poza obnażeniem prawdy z jego mowy nic jednak nie wynika, bo nadal zamierza ściągać imigrantów do pracy na Wyspy, tyle że niby bardziej przydatnych, bo pracowitszych i lepiej wykształconych niż ci, którzy są teraz. Popełnianie samobójstwa będzie więc trwało, tyle że z zastosowaniem środków łagodzących ból i przedłużających agonię.

Czemu jednak ci niby konserwatyści chcą przybyszów? Architekt brexitu Nigel Farage twierdzi, że rządzący Wielką Brytanią celowo prowadzą taką politykę imigracyjną, bo sektor publiczny i korporacje chcą taniej siły roboczej, klasa próżniacza taniej służby, a właściciele nieruchomości krociowych zarobków. Na Wyspach być może nie chodzi o wymianę populacji, ale o wymianę rąk do pracy, ale na jedno wychodzi. Za 25 lat rdzenni

Fot. pxl.store/Shutterstock.com

eprasa.pl 86d75865c9

mieszkańcy Zjednoczonego Królestwa będą więc mniejszością u siebie.

Na razie jednak ciężko na to pracują i płacą. Z raportu Centrum Kontroli Imigracji i danych ONS wynika, że w latach 2020–2023 utrzymanie bezrobotnych imigrantów kosztowało brytyjskich podatników 24 mld funtów. Do tego należy doliczyć 11,8 mld pomocy publicznej dla studentów pochodzących z zagranicy. Razem 36 mld funtów. Te wyniki będą tylko gorsze, bo od początku 2023 r. na Wyspy przybyło legalnie ok. 1,5 mln osób.

Brytyjczycy tracą władzę w swym kraju i w jej sprawowaniu też są zastępowani przez przybyszów. Do lipca ub.r. premierem Wielkiej Brytanii był Rishi Sunak pochodzący z rodziny hinduskich imigrantów z Afryki. W tym samy czasie premierem Szkocji był Humza Yousaf, którego rodzice przybyli z Pakistanu, a premierem Walii imigrant z Zambii Vaughan Gething. Od 2016 r. burmistrzem Londynu jest Pakistańczyk Sadiq Khan. Do tego dodajmy pochodzących z Afryki i Azji byłych czy obecnych burmistrzów największych brytyjskich miast, jak Leeds, Birmingham, Liverpool, a zrozumiemy, dlaczego 32 proc. Brytyjczyków wierzy w tę niby spiskową teorię wielkiego zastąpienia. Jeszcze przed wystąpieniem Starmera, które ją potwierdziło, badania dla BBC i King's College of London przeprowadziła firma Savanta.

Można zadać sobie pytanie: czy wśród jednej trzeciej populacji, która w to wierzy, są także imigranci i ich potomkowie, czy tylko rdzenni Brytyjczycy? Czy żyjący w Anglii Zambijczyk, Irakijczyk czy Kenijka uważają, że realizują plan zastąpienia, czy tubylcy są paranoikami i rasistami, jak o uznających tę teorię mówią jaśnie oświeceni i postępowi?

O zastąpieniu mówi też dokument ONZ z 2020 r. i ma on nawet odpowiednią nazwę „Report on Replacement Immigration". Jego twórcy uważają, że owa imigracja zastępcza ma być rozwiązaniem problemu kurczącej się i starzejącej populacji wielu krajów. Dwie dekady temu można to było uznać za prognozę, teraz zaś należy stwierdzić, że w istocie były to wytyczne globalistów. Kraje Zachodu przez ponad 20 lat nie zrobiły nic, by zwiększyć dzietność swych narodów. Cała kultura, ba!, nawet jakiś koszmarny przemysł śmierci pracują na to, by na miejsce tych, którzy się nie rodzą, bo np. zostali zabici przed narodzinami, pojawili się przybysze z obcych krajów. Człowiek jako zasób, siła robocza do wymiany, jak części w maszynie.

EUROPEJCZYCY W GETCIE

Z badań Institut Français d'Opinion Publique (IFOP) wynika, że jedna trzecia Francuzek deklaruje, iż nie chce mieć dzieci. Nawet jednego, a ktoś musi przecież pracować na francuską burżuazję. Ale być może Zachód doczeka się dużej dzietności, ba!, nawet jej eksplozji. Tego spodziewa się Francja, gdzie właśnie dorasta kolejne pokolenie imigranckie ze wskaźnikiem dzietności 2,6. W sąsiedniej Belgii aż 90 proc. dzieci rodzi się w rodzinach imigrantów. Stanowią oni 70 proc. mieszkańców Brukseli. W Holandii 50 proc. mieszkańców Amsterdamu to imigranci, w Hadze – 56 proc., a w Rotterdamie 60 proc.

> Jasno oświeceni wyśmiewają te teorie, nazywając spiskowymi, ale właśnie potwierdził je premier Wielkiej Brytanii Keir Starmer

Czy są to jeszcze miasta europejskie, czy tylko miejsca, które Europejczycy zakładali i zbiory budynków, które postawili? W środku zamieszkanego przez 500 tys. muzułmanów podparyskiego Saint-Denis niczym latarnia morska stoi bazylika św. Dionizego, w której pochowani są królowie Francji – od Chlodwiga po ostatniego Bourbona. Wśród nich także ten, który zasiadał na tronie Polski – Henryk Walezjusz i królowa Maria Leszczyńska, żona Ludwika XV. Samo miasto, w którym mieszka 300–500 tys. nielegalnych imigrantów (nikt dokładnie nie wie ilu), jest niemal no-go zone, czyli strefą eksterytorialną obcej cywilizacji, w której nie działa państwo francuskie. W tym mieście jak i w wielu innych to Europejczycy żyją w getcie.

Wbrew zaklęciom piewców multi-kulti imigranci nie integrują się ze wspólnotami, do których przybywają, nie utożsamiają z państwami, w których zaczynają żyć. Są im one niepotrzebne, a kultura, którą oferują, jest dla nich wręcz odpychająca. Imigranci przenoszą także konflikty z krajów, z których pochodzą, do tych, w których się osiedlają. Najlepiej ilustruje to kwestia Izraela i Palestyny. Europa przestaje być miejscem, w którym mogą żyć wspólnoty żydowskie. Muzułmanie nie wypędzą Żydów z ich ojczyzny, Izraela, ale z Berlina, Paryża, Londynu już tak. 50 proc. Żydów z Francji chce ją opuścić, a 60 proc. uważa, że nie ma w niej dla nich przyszłości. W Wielkiej Brytanii w ciągu dwóch lat liczba antysemickich ataków wzrosła o 600 proc. „Strefy koszerne" – dzielnice Żydów – zmieniają się w „strefy halal", gdzie obowiązuje prawo szariatu. Znikają wspólnoty, które żyły na naszym kontynencie od setek lat. Wyobraźmy sobie Europę bez Einsteina, Mahlera, Rubinsteina, Singera i tysięcy innych twórców jej cywilizacji. A potem pomyślmy, że przyjdzie czas i na chrześcijan. Pogromy poprowadzi islamolewica.

Polska jest na razie na uboczu tych trendów demograficznych i kulturowych, które niszczą Europę z jej cywilizacją. Nie miejmy jednak złudzeń – nie jesteśmy bezpieczni, bo obecna władza zrobi wszystko, co każe Unia Europejska i jak padnie rozkaz, to osiedli nam przymusowo tysiące imigrantów z kontyngentów Berlina czy Brukseli. Na razie nie jesteśmy jeszcze dość bogaci, by przyciągać ubogacających kulturowo. Ale jeszcze rok temu przewidywano, że przy utrzymaniu tempa rozwoju z uwzględnieniem siły nabywczej w 2030 r. osiągniemy taki poziom PKB, jaki mają Francja i Wielka Brytania. Wtedy stalibyśmy się dla imigrantów z Afryki i Azji równie atrakcyjni. Czy mamy się więc pocieszać, że skrajnie nieudolny rząd Donalda Tuska może temu zapobiec, bo hamuje nasz rozwój i sprawia, że pogrążamy się w marazmie jak reszta UE?

eprasa.pl 86d75865c9

Kandydat z TikToka

Călin Georgescu, prawicowy polityk, który chwalił Władimira Putina jako „człowieka kochającego swój kraj", wygrał pierwszą turę wyborów prezydenckich w Rumunii. Jego kampania, prowadzona w mediach społecznościowych i skupiona na obietnicach obniżenia kosztów życia oraz przywrócenia godności Rumunom, trafiła na podatny grunt

ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Drăgănești, niewielka gmina malowniczo położona u zbiegu rzek Teleajen i Prahova, przypomina inne, podobne w Rumunii. Wąskie uliczki, kilka historycznych zabytków, stacja kolejowa. Jej mieszkańcy od lat głosują na socjaldemokratów z postkomunistycznej PSD. Wszędzie powiewają unijne flagi, a także flagi NATO. Przed ratuszem, a nawet w lobby miejscowej szkoły. Burmistrz i polityk PSD Ionut Roma miał nadzieję, że mieszkańcy pamiętają, kto dał pieniądze na budowę szkoły oraz dróg: Unia Europejska. „Te wartości są w naszej krwi. Nikt nie może ich zmienić" – przekonywał w rozmowie z francuskim dziennikiem „Le Monde". W niedzielę 24 listopada 37 proc. mieszkańców Drăgănești zagłosowało jednak w pierwszej turze wyborów prezydenckich na Călina Georgescu, niezależnego kandydata o poglądach otwarcie prorosyjskich i antyunijnych.

PRZECIWKO KLASIE POLITYCZNEJ

Burmistrz Drăgănești przeżył szok, a wraz z nim cała rumuńska scena polityczna i medialna. Nic bowiem nie zapowiadało sukcesu Georgescu, od lat poruszającego się na obrzeżach polityki. Nie miał on środków na kampanię i jak sam twierdzi, nie wydał na nią ani grosza, a medialny mainstream go zignorował. Nie zabiegał zresztą o jego względy. Jeszcze trzy tygodnie temu miał 7 proc. poparcia w sondażach. A tu nagle wygrał pierwszą turę wyborów prezydenckich z wynikiem 23 proc. Na drugim miejscu uplasowała się Elena Lasconi, liderka opozycyjnego centroprawicowego Związku Ocalenia Rumunii (USR), która zdobyła 19 proc. głosów. Trzecia pozycja przypadła obecnemu premierowi i liderowi współrządzącej PSD Marcelowi Ciolacu, który wcześniej uchodził za faworyta. Jak się więc stało, że człowiek bez pieniędzy, nieprowadzący tradycyjnej kampanii, dostał się do drugiej tury wyborów i 8 grudnia może stać się prezydentem? I co właściwie tak fascynuje, a zarazem przeraża Rumunów w Georgescu?

Opinie są tu oczywiście mocno podzielone. Liberalny mainstream widzi w nim groźnego prawicowego populistę, którego kampanię, prowadzoną właściwie wyłącznie na TikToku, wsparli „zagraniczni agenci", czytaj: Rosja i jej armia botów. Z cyberatakami na system wyborczy w tle. Drudzy są podekscytowani, w szczególności politycy prawicowego Sojuszu na Rzecz Jedności Rumunii (AUR), do którego Georgescu należał przez krótki czas, widząc w nim człowieka, który ma potencjał, by rozbić od dekad dominujący na rumuńskiej scenie politycznej duopol złożony z PSD oraz centroprawicowej Partii Narodowo-Liberalnej (PNL). „Mówimy o głosowaniu protestacyj-

Fot. LCV/Shutterstock.com

eprasa.pl 86d75865c9

nym, i to nie tylko przeciwko tradycyjnym partiom, ale przeciwko całej klasie politycznej" – zadeklarował polityk AUR Marius Dorin Lulea.

KANDYDAT UPOKORZONYCH

Rzeczywiście, trudno znaleźć bardziej antysystemowego kandydata. W czasie kampanii 62-letni były czempion judo i inżynier agronom jeździł m.in. na koniu, kąpał się w lodzie i modlił w cerkwi (pochodzi z długiej linii popów). Krytykował korupcję, NATO, UE oraz wsparcie Rumunii dla Ukrainy, domagał się nacjonalizacji zagranicznych firm. Jednocześnie wychwalał Żelazną Gwardię Corneliu Zelei Codreanu oraz marsz. Iona Antonescu (lidera faszystowskiej Rumunii z okresu II wojny światowej), nazywając ich „męczennikami". Podważał otwarcie wartość gwarancji bezpieczeństwa NATO, a wojnę na Ukrainie sprowadził do spisku firm zbrojeniowych z USA. Jego kampania, skupiona na obietnicach obniżenia kosztów życia i przywrócenia godności Rumunom, trafiła na podatny grunt. Wielu z nich uważa bowiem, że UE traktuje ich niesprawiedliwie, eksploatując gospodarczo i drenując wykwalifikowaną siłę roboczą (od 1989 r. kraj opuściło ponad 4 mln Rumunów), nie dając zbyt wiele w zamian. Georgescu mówił więc na swoim TikToku o niezależności energetycznej i żywnościowej kraju oraz o narodowej dumie. Rumunia wciąż nie została wpuszczona do strefy Schengen, co jest odczuwane jako otwarty afront i traktowanie Rumunów jako obywateli UE drugiej kategorii.

Do tego dochodzi powszechna korupcja polityczna. W latach 2017–2019 odbyły się protesty przeciwko demontażowi systemu antykorupcyjnego przez rządzącą wówczas PSD, a odchodzący prezydent Klaus Iohannis, wywodzący się z PNL, choć przewodził protestom, nie miał później problemu z tym, by jego partia utworzyła koalicję z postkomunistami. Dla wielu Rumunów Iohannis, znany z zamiłowania do luksusu, i reszta elit politycznych zupełnie oderwała się od rzeczywistości. W jednym z postów na Facebooku Georgescu napisał, że jest kandydatem „upokorzonych, tych, którzy czują, że się nie liczą, a w rzeczywistości liczą się najbardziej". „Głosowanie na mnie jest jak modlitwa za naród" – dodał. Rumuni, którzy śledzili jego kampanię, mówili w telewizji, że mieli „łzy w oczach", oglądając jego filmiki na TikToku.

ROZWÓJ I NIERÓWNOŚCI

Georgescu udało się pozyskać dotychczas biernych młodych wyborców i diasporę – wśród jej członków poparcie dla niego sięgnęło aż 43 proc. Jeśli by dodać do jego wyniku z pierwszej tury wynik osiągnięty przez kandydata AUR George'a Simiona (14 proc.), to rumuńscy suwereniści cieszą się 37-proc. poparciem. „Koszmar" z punktu widzenia liberalnych elit.

„Wynik tego cichego, ale ekstremistycznego kandydata jest częścią rosyjskiej wojny hybrydowej przeciwko naszej demokracji" – mówił w rozmowie z austriackim „Der Standard" rumuński eurodeputowany Siegfried Mureşan. Kampania dezinformacji w mediach społecznościowych i tanie hasła inspirowane z Moskwy miały pomóc wypromować Georgescu. Tyle że jak twierdzą (w większości lewicowi) protestujący, którzy wyszli na ulice po pierwszej turze wyborów, trudno zrzucać wszystko na Rosję. „Sytuacja gospodarcza jest zła. Ludzie przenoszą się ze wsi do większych miast, ale tam też nie ma pracy. Płaca minimalna starczy ledwo na pokrycie czynszu" – mówiła gazecie studentka Diana, która wyszła demonstrować na ulice Bukaresztu. Według niej szybki rozwój ostatnich dekad nie pozwolił zasypać nierówności, szczególnie widocznych na prowincji. Największy projekt Klausa Ioannisa România Educată („Wykształcona Rumunia") okazał się fiaskiem: 57 proc. placówek oświatowych na obszarach wiejskich w dalszym ciągu jest zdewastowana i niehigieniczna, a kadra nauczycielska pozostaje zdemobilizowana i słabo opłacana.

W rumuńskim systemie konstytucyjnym prezydent ma ograniczone prerogatywy w polityce wewnętrznej, jest natomiast głównym kreatorem polityki zagranicznej i bezpieczeństwa. Politycy AUR starają się więc łagodzić wrażenie wywołane przez Georgescu. Według Mariusa Dorina Lulei to „tylko mocna retoryka kampanijna". „Rumunia nie wyjdzie z NATO ani z UE" – uspokajał. Do tej pory kraj odgrywał ważną rolę we wsparciu Zachodu dla Ukrainy, otwierając port w Konstancy jako ważny szlak dla transportu ukraińskiego zboża i dostaw dla wojska. Wojna podniosła również strategiczne znaczenie bazy lotniczej na Morzu Czarnym, która wkrótce ma stać się największą bazą tego typu w NATO. Nic więc dziwnego, że Waszyngton wyraził zaniepokojenie zwycięstwem Georgescu.

POWAŻNY KRYZYS CZY SZANSA?

Pytanie, co się stanie w drugiej turze. Georgescu może przejąć głosy m.in. zwolenników Simiona, a nawet części sympatyków PNL. Jednocześnie dojdzie zapewne do dużej mobilizacji umiarkowanego elektoratu wokół centroprawicowej kandydatki Eleny Lasconi. Z pierwszych sondaży przeprowadzonych tydzień temu wynika, że Georgescu ma szansę na ok. 60 proc. głosów, a Lasconi na 40 proc. Ale sondażownie myliły się przed pierwszą turą, więc mogą się mylić i teraz. Jak jednak twierdzi niemiecki politolog Oliver Jens Schmitt, faktem jest to, że „w Rumunii panuje poczucie dezorientacji – utraty rzeczywistości i obawy o przyszłość". „To poważny kryzys, który nastąpił niemal dokładnie 35 lat po upadku dyktatora Nicolae Ceauşescu" – dodał.

W wyborach parlamentarnych, które odbyły się 1 grudnia, ten kryzys także znalazł swoje odbicie. Choć zwyciężyła PSD (22 proc. głosów), to AUR wylądował na drugim miejscu z 18 proc. poparcia. Do parlamentu weszły jeszcze dwie partie prawicowo-populistyczne: S.O.S Romania, której liderka Diana Iovanovici-Şoşoacă została wykluczona z wyścigu prezydenckiego m.in. ze względu na antysemicką retorykę, oraz POT (Partia Młodych Ludzi), która od początku wsparła kandydaturę prezydencką Georgescu. Rumunią będzie zapewne rządziła szeroka „proeuropejska" koalicja partii umiarkowanych, włączając w to Związek Węgrów, ale nie da się ukryć, że tegoroczny maraton wyborczy stanowił ogromny sukces eurosceptycznej prawicy, co zapewne skłoni tradycyjne partie do uwzględnienia przynajmniej niektórych jej postulatów. Albo i nie, ale wtedy, jak się wydaje, na ich własną zgubę.

eprasa.pl 86d75865c9

Konspiracyjne fakty i mitologie

Solidarnościowej konspiracji towarzyszyły romantyczne poświęcenie i macki agentów SB. Strach i śmiech, bezpośrednia akcja, nielegalne druki i wielka poezja

MACIEJ WALASZCZYK

Jest sobota 12 grudnia 1981 r., trwa ostatnia, jak się okazuje, sesja Komisji Krajowej Solidarności. Dyskusja jest ostra, ale Wałęsa, słysząc buńczuczne wypowiedzi radykalnego skrzydła związku, po przerwie obiadowej wyłącza się z dyskusji. Wieczorem kładzie się spać. W nocy zostanie wprowadzony stan wojenny, władze zdelegalizują związek i internują jego najważniejszych działaczy. Już w pierwszych dniach uwięziono 4 tys. z nich. Umieszczono ich głównie w aresztach i zakładach karnych, a także w strzeżonych ośrodkach wypoczynkowych, wielu – co było szczególnie dotkliwe – powołano do wojska. Część z tych, którzy nie wpadli w ręce SB, będzie się ukrywać i prowadzić działalność w warunkach konspiracji.

Książka „Alfabet Solidarności. Konspira" to specyficzna w przyjętej narracji i zbudowana z krótkich haseł wyliczanka sytuacji, anegdot, zjawisk, historycznych faktów i mitów oraz portretów ludzi, którzy przetrwali stan wojenny, nie rezygnując z oporu. Od 13 grudnia aż do momentu, w którym Czesław Kiszczak domykał operację szykowania solidarnościowej opozycji do obrad okrągłego stołu. Wolna od nadętej hagiografii, choć opowiedziana bardzo subiektywnie, z pozycji ludzi emocjonalnie zaangażowanych w solidarnościową rewolucję.

PODZIEMIE W UŚCISKU TAJNYCH SŁUŻB

Świetną ilustracją tego, co się działo w okresie heroicznej „konspiry", jest krótkie przypomnienie powieści „Agitka" Anny Bojarskiej. Jak pisze Andrzej Horubała, swego czasu czytelniczego przeboju literatury podziemnej traktującego o miłości, polityce i konspiracji pod czujnym okiem tajnych służb. Demaskującej „degrengoladę ideowców z kieszeniami pełnymi dolarów", zakłamanie „kawiorowej lewicy" i wybijającej na pierwszy plan wątek tak wówczas powszechnych podejrzeń agenturalnych kładących się cieniem na nielegalnej działalności. Cóż, książka nie miała szans ukazać się oficjalnie, budziła również opory wydawców drugiego obiegu. Symboliczne jest, że ostatecznie po pięciu latach została wydana przy współudziale tajnych współpracowników SB, a posłowie do niej napisał sam Lesław Maleszka.

WOLNA KULTURA, WOLNE SŁOWO

Powyższa historia jest nie tylko aluzyjną filipiką na temat „konspiry", lecz także jednym z wielu znajdujących się w „Alfabecie" przykładów interesującego opisu różnych zjawisk kulturowych towarzyszących życiu podziemnej Solidarności. Przedstawionych z wyczuciem kontekstu i wypełniających pewną lukę powstałą po latach skupiania się historyków wyłącznie na agenturalno-politycznym aspekcie opozycyjności.

Tymczasem dla tysięcy ludzi przeżywających ten czas po prostu „życiem osobnym" i niewchodzących w układy z władzą ten okres miał również inną stronę. Horubała przypomina więc znaczenie m.in. twórczości Zbigniewa Herberta czy „poetów stanu wojennego", w tym wyróżnionego przez niego Jana Polkowskiego, a także Teatru Ósmego Dnia. Pokazywali oni, że poezja była konieczna, by konfrontować się z rzeczywistością, zapisywać doświadczenia i nadawać im znaczenie. Takich jak nagrania koncertu piosenek śpiewanych przez internowanych w Strzebielinku lub poetyckich interpretacji pieśniarki Antonimy Krzysztoń, które krążyły przegrywane z magnetofonu na magnetofon. Podobnie jak te z nagraniami solidarnościowych bardów Jacka Kaczmarskiego, Przemysława Gintrowskiego i Jana Krzysztofa Kelusa. A także takich publikacji, jak „Myśli staroświeckiego Polaka" Piotra Wierzbickiego, „wysadzającego w powietrze" złudzenia i samozadowolenie części opozycji, książki będącej wezwaniem do prowadzenia prawdziwej polityki, jak przez dekady czynił to Stefan Kisielewski.

Nie byłoby tych publikacji, gdy nie sieć kolporterów i drukarzy odbijających książki, prasę i druki ulotne na powielaczach. Sukcesem tej masowej przecież produkcji było przede wszystkim łamanie oficjalnego monopolu informacyjnego. Szczególne miejsce zajmuje tutaj „Tygodnik Wojenny", którego pierwszy numer ukazał się już na początku stycznia 1982 r. W najlepszym czasie jego nakład sięgał 40 tys. egzemplarzy, współpracował z ok. 200 drukarniami i posiadał sieć regionalnych filii.

FACHOWCY Z AK

Do konspiracji potrzeba było ludzi solidnych, a więc opanowanych i metodycznych. Jednak jak przyznaje Piotr Semka, przyciągała ona również kon-

eprasa.pl 86d75865c9

fabulantów i „kieszonkowych Napoleonów" marzących o odtwarzaniu wzorców konspiracji AK. Byli też – jak pisze – zwykli malwersanci czy kolekcjonerzy podziemnych znaczków i druków. Jednak właśnie doświadczenie ludzi okresu okupacji powodowało, że szybko stali się oni bardzo cenionym punktem oparcia dla wszystkich ukrywających się i szukających miejsca na tajne drukarnie. Działali sprawnie, intuicyjnie i wiedzieli, jak omijać esbeckie pułapki. Co ciekawe, dotychczas nikt nie napisał dobrej monografii historycznej o fenomenie ukrywania setek działaczy między 1981 a 1986 r. Rodziny, które godziły się na takie wspieranie poszukiwanych konspiratorów, bardzo wiele ryzykowały.

EMIGRACJA

Od marca 1982 r. władze starały się skłonić działaczy przetrzymywanych w więzieniach i obozach internowania do wyjazdu z kraju na stałe. W ciągu pierwszych czterech miesięcy skoordynowanej akcji wpłynęło ok. 700 podań, z których odrzucono tylko 30. W gronie emigrujących znalazło się 25 członków Komisji Krajowej związku oraz 97 członków władz regionalnych. To sporo, ale podobno w MSW liczono na więcej. Decyzja o emigracji czasem dotyczyła również tych robotników, którzy przed Sierpniem 1980 r. nie stykali się z opozycją, a dając się wybrać na wysokie funkcje związkowe, nie przypuszczali, że może się to wiązać z uwięzieniem i utratą pracy. Do końca 1988 r. PRL opuściło ponad 2 tys. internowanych i ok. 600 opozycjonistów. Po 1989 r. większość z nich nie wróciła do Polski.

KOŚCIÓŁ, KSIĘŻA I KŁAMSTWA

Księża i Kościół zostały nierozerwalnie połączone z historią Solidarności, w sposób masowy głównie przez Duszpasterstwa Ludzi Pracy. Kościoły i parafie często były schronieniem dla prześladowanych, tam udzielano pomocy uwiezionym. Wielu duszpasterzy stało się „kapelanami Solidarności", wśród nich m.in. Witold Andrzejewski, późniejszy biskup Edward Frankowski, Stanisław Orzechowski, Roman Indrzejczyk, Hilary Jastak, Stanisław Małkowski i oczywiście bł. ks. Jerzy Popiełuszko. To on w 1982 r. zorganizował Pielgrzymkę Ludzi Pracy na Jasną Górę, animując w ten sposób wielkie narodowe rekolekcje.

Z tą aktywnością wiązał się też fakt, że władze PRL otoczyły Kościół kordonem systemowej kontroli i represji. Szczególnie nasiliły się one w stanie wojennym, przez co aż do końca istnienia systemu liczba tajnych współpracowników systematycznie rosła. W 1982 r. było ich 46 tys., a w 1988 r. blisko 100 tys. Dziś już wiemy, jak wielka była skala spenetrowania kościelnego środowiska przez SB.

Jednocześnie księża wspierający Solidarność byli metodycznie zwalczani poprzez kolportowane na ich temat plotki i oszczerstwa, także za pomocą publicznej telewizji i rzecznika rządu Jerzego Urbana. W przypadku Jerzego Popiełuszki, Stanisława Suchowolca, Stefana Niedzielaka i Sylwestra Zycha próba osłabienia ich wiarygodności zakończyła się śmiercią. Ostatni z wymienionych został odnaleziony martwy w lipcu 1989 r., tydzień przed wyborem Wojciecha Jaruzelskiego na stanowisko prezydenta. Kilka miesięcy wcześniej ta kwestia była ustalona z opozycją podczas negocjacji w Magdalence, o czym nie informowano szeregowych sympatyków ruchu.

Wśród bohaterów tego czasu szczególną rolę odegrał ks. Henryk Jankowski. W książce został jednak ukryty w jednym krótkim haśle na temat słynnej gdańskiej parafii św. Brygidy, nieformalnej ambasady podziemnej Solidarności. To, co wiemy o nim dziś, na pewno dowodzi, że księżmi stają się ludzie dalecy od świętości, ale pełni charyzmy. Postawiony mu spiżowy monument był wyrazem pomnikomanii, ale duchowny z pewnością zasłużył na poświęcenie mu znacznie więcej miejsca w książce.

FAKE NEWSY STANU WOJENNEGO

Mamy też trochę smaczków, m.in. przypominających apokryficzne i makabryczne w wymowie plotki, a dziś powiedzielibyśmy, fake newsy, np. o dzieciach zabranych z zakładowych przedszkoli, które ZOMO miało trzymać na mrozie. Przywołano też doniesienie o śmierci Tadeusza Mazowieckiego, za którego w Paryżu odprawiono nawet mszę żałobną. Także o rzekomych egzekucjach oficerów czy żołnierzy, którzy mieli odmówić „strzelania do Polaków", oraz wywiezieniu części zatrzymanych do Związku Sowieckiego. Własne plotki kolportował też obóz władzy, np. twórca „Czterech pancernych" Janusz Przymanowski opowiadał z sejmowej trybuny o przygotowywanych dla działaczy PZPR listach proskrypcyjnych.

ZŁAMANE ŻYCIORYSY

By złamać komuś życie, nie trzeba było się jednak posuwać do aż tak drastycznych środków. Pojawia się tu postać Sławomira Danielewicza, popularnego dziennikarza muzycznego „Dziennika Bałtyckiego". W jego artykule zamieszczonym 13 lutego 1982 r. na temat piosenkarki Amandy Lear, pierwsze litery akapitów ułożyły się w hasło „WRONA skona". Nakład natychmiast zniknął z kiosków, a Danielewiczowi wytoczono proces, w trakcie którego dziewięć miesięcy przesiedział w więzieniu, oskarżony o próbę osłabienia gotowości obronnej PRL. Gdy je opuszczał, nie mógł już oczywiście pracować w państwowych mediach. W zupełnie innych czasach śladem odważnego redaktora podążyli dziennikarze z „Dziennika". W jednym z jego październikowych wydań z 2007 r. w tekście poświęconym ówczesnej amerykańskiej sekretarz stanu pierwsze linijki w środkowej szpalcie tajemniczo ułożyły się w zdanie: „Wała Tomaszowi Lisowi". A dziś rządzi nami „koalicja 13 grudnia". Walka trwa.

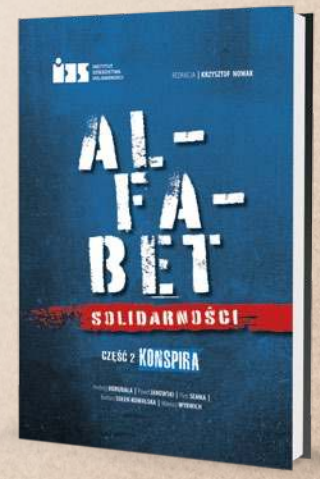

„Alfabet Solidarności. Cześć 2, Konspira" Instytut Dziedzictwa Solidarności, 2024

eprasa.pl 86d75865c9

Co upamiętnia polski hymn?

366 lat temu hetman Stefan Czarniecki na czele polskiej jazdy przeprawił się na duńską wyspę Als, odbijając ją z rąk Szwedów. To wydarzenie zostało upamiętnione w „Mazurku Dąbrowskiego". Warto przyjrzeć się tej sytuacji i odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego akurat Czarniecki

STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

W połowie XVII w. sytuacja Polski przedstawiała się katastrofalnie. W 1648 r. wybuchło powstanie Chmielnickiego, w wyniku którego wojska Rzeczypospolitej zostały wyparte z Ukrainy, a w 1654 r. zaatakowała Rosja, która szybko zdobyła ogromne połacie kraju, zajmując m.in. Wilno. Ten moment wykorzystali Szwedzi, decydując się na rozpoczęcie w 1655 r. wojny znanej jako potop szwedzki. Rozbili armię koronną, a następnie zajęli Warszawę i Kraków.

Rzeczpospolita znalazła się na skraju upadku, prawie cały kraj został zalany obcymi wojskami. Sytuacja zaczęła się jednak odwracać. Rosja, obawiając się wzrostu potęgi Szwecji, wypowiedziała jej wojnę, a Polacy po bohaterskiej obronie klasztoru na Jasnej Górze zaczęli wypierać z kraju wojska Karola X Gustawa.

WOJNA SZARPANA

Odważnymi działaniami przeciwko Szwedom wsławił się Stefan Czarniecki. Późniejszy hetman polny koronny, wojewoda ruski i kijowski zasłynął jako mistrz wojny podjazdowej (nazywanej także wojną szarpaną), polegającej na unikaniu bitwy z głównymi siłami i wyniszczaniu przeciwnika drobnymi starciami. Wojska Czarnieckiego odniosły wiele zwycięstw, pokonały przeciwnika pod Kozienicami i Warką, zajęły Warszawę i przeprowadziły skuteczny rajd na Pomorze.

W późniejszych latach do wojny po stronie Szwecji przystąpił Siedmiogród, natomiast Rzeczpospolitą wsparły wojska tatarskie, cesarskie, a także brandenburskie po zawarciu układów welawsko-bydgoskich. Na sojusz z Polską zdecydowała się także Dania, która z niepokojem obserwowała działania Karola X Gustawa. Duńczycy obawiali się, że padną ofiarą kolejnej szwedzkiej agresji. W związku z tym król Danii Fryderyk III Oldenburg postanowił uprzedzić wroga i 15 czerwca 1657 r. wypowiedział Szwecji wojnę. Oprócz tego przypieczętował sojusz polsko-duński, który miał doprowadzić do wspólnego pokonania północnego sąsiada.

KAMPANIA DUŃSKA

Po włączeniu się do wojny Duńczycy doznali jednak serii klęsk, w wyniku których prawie cały Półwysep Jutlandzki wpadł w ręce Karola X Gustawa. Jesienią 1658 r., gdy Szwedzi przystąpili do oblężenia ówczesnej stolicy Danii Roskilde, z odsieczą pospieszyła połączona armia brandenbursko-polsko-habsburska. Wśród nich były liczące 5 tys. ludzi wojska wojewody ruskiego Stefana Czarnieckiego. Siły sojusznicze planowały przeprawić się przez cieśninę morską na położoną ok. 500 m od lądu wyspę Als i uderzyć na znajdujących się tam Szwedów. Atak rozpoczął się 14 grudnia 1658 r. Pierwsza ruszyła brandenburska piechota, której udało się uchwycić przyczółek na brzegu, jednak nie zdołała sforsować szańców wroga. Wówczas do boju przystąpili Polacy. Wśród walczących był Jan Chryzostom Pasek, który w swoich pamiętnikach zanotował: „Sam tedy, przeżegnawszy się, Wojewoda wprzód w wodę; pułki za nim, [...] każdy za kołnierz zatknąwszy pistolety, a ładownicę uwiązawszy u szyi. [...] Konie już były do pływania próbowane; który źle pływał, to go między dwóch dobrych mieszano, nie dając mu tonąć".

Historycy do dziś spierają się, czy wojsko Czarnieckiego pokonało cieśninę wpław, czy konno. Możliwe, że na oba sposoby. Po desancie na Szwedów ruszyła polska szarża. Nieprzyjaciel nie mogąc jej powstrzymać, zdecydował się na schronienie w zamkach Sønderborg i Nordborg. Obie twierdze wkrótce zostały zajęte, a wyspa Als oswobodzona.

Za bohaterską postawę podczas kampanii duńskiej Czarniecki i jego ludzie zostali odznaczeni przez króla Fryderyka III, a gratulowali im papież Aleksander VII i cesarz Leopold. W sierpniu 1659 r. Polacy wrócili do kraju. Na Półwyspie Jutlandzkim pozostał dla bezpieczeństwa jedynie niewielki oddział dowodzony przez płk. Kazimierza Piaseczyńskiego. Z kolei Stefan Czarniecki zaangażował się w kolejne wojny w obronie ojczyzny, tym razem na wschodzie przeciwko Moskwie i Kozakom. Walczył aż do śmierci w 1665 r.

eprasa.pl 86d75865c9

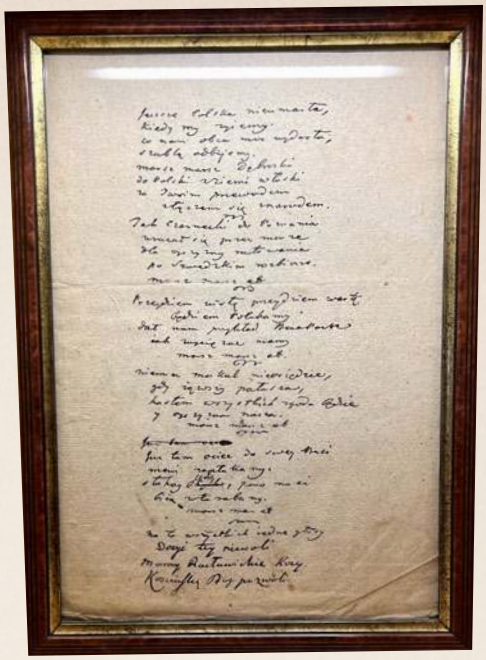

WSZYSTKIE ZWROTKI

Niecałe 137 lat po wydarzeniach na duńskiej wyspie Als, Polska zniknęła z mapy Europy, podzielona w 1795 r. między trzech swoich sąsiadów. Wielu Polaków walczących podczas insurekcji kościuszkowskiej i niemogących pogodzić się z losem Rzeczypospolitej udała się na emigrację. We Francji u boku Napoleona, który organizował kolejne zwycięskie kampanie wojskowe w Europie, szybko zaczęły powstawać polskie formacje wojskowe. W styczniu 1797 r. na mocy umowy z rządem lombardzkim i w porozumieniu z Francuzami gen. Jan Henryk Dąbrowski utworzył we Włoszech Legiony Polskie. Kilka miesięcy później we włoskim miasteczku Reggio Emilia powstała „Pieśń Legionów Polskich we Włoszech", znana później jako „Mazurek Dąbrowskiego". Józef Wybicki napisał ją między 16 a 19 lipca, zaraz po przybyciu na miejsce, gdy zobaczył polskie wojsko. Napoleon miał „Marsyliankę", która zagrzewała do boju francuskich żołnierzy. Podobną bojową pieśń chciał mieć dla swoich legionistów gen. Dąbrowski. Właśnie na jego cześć Wybicki stworzył swoje dzieło. Słowa zostały ułożone pod dźwięki ludowego mazurka nieznanego autora.

„Pieśń Legionów Polskich we Włoszech" została przyjęta z entuzjazmem przez Legiony Dąbrowskiego. Już dwa lata później była znana we wszystkich zaborach.

Pierwsza zwrotka hymnu nawiązuje więc do najbardziej tragicznego wydarzenia z punktu widzenia ówczesnych, czyli trzeciego rozbioru Polski. Wyrażono w niej wiarę w rychłe odzyskanie niepodległości. W refrenie autor, który współtworzył Legiony, mówił o powrocie do Polski pod dowództwem gen. Dąbrowskiego. Legioniści wiedzieli bowiem, że mogą wrócić do ojczyzny tylko w związku z wojnami prowadzonymi przez Napoleona Bonapartego, który już wtedy odnosił sukcesy wojskowe w północnych Włoszech, a kilka lat później przejął władzę we Francji. W drugiej zwrotce Wybicki wyraził przekonanie, że z pomocą Bonapartego żołnierze, podążając z zachodu przez Wartę i z południa przez Wisłę, byliby w stanie przywrócić niepodległą Polskę. Trzecia zwrotka nawiązuje właśnie do Stefana Czarnieckiego i owianej sławą przeprawy na wyspę Als w pogoni za szwedzkim wojskiem atakującym Duńczyków. Z kolei czwarta stanowiła dla pozostających na emigracji legionistów obraz Polaków pozostających w ojczyźnie i wysłuchujących tarabanu na znak zbliżających się polskich wojsk.

W oryginalnym rękopisie Wybickiego znajdują się zwrotki, których brak we współczesnym hymnie. W jednej z nich autor przekonuje, iż warunkiem obronienia się przed dwoma największymi zaborcami, czyli Niemcem i Moskalem, będzie ogólnonarodowa zgoda. W kolejnej zwrotce Wybicki wyraził ufność w Opatrzność Bożą oraz nawiązał do Tadeusza Kościuszki, zwycięskiego dowódcy z bitwy pod Racławicami w 1794 r.

POSZUKIWANIE WODZA

Słowa „Pieśni Legionów Polskich we Włoszech" nawiązywały do niedawnych wydarzeń z historii Polski i współczesnych zwierzchników wojskowych, w których pokładano nadzieję na powrót do ojczyzny i odzyskanie niepodległości. Jednocześnie ze wszystkich postaci, które odcisnęły swoje piętno na historii ojczyzny, Wybicki zdecydował się przywołać postać Stefana Czarnieckiego. Dlaczego bohater potopu szwedzkiego znalazł się w hymnie? Gdy Wybicki tworzył swą pieśń, legenda Czarnieckiego rosła. Wynikało to z faktu, że klęski, których Rzeczpospolita doznała pod koniec XVIII w., mocno utożsamiano z tym, co działo się z krajem w połowie XVII w. Na tle tych dramatycznych wydarzeń Czarniecki jawił się jako zwycięski wódz, który nawet na moment nie poddał się zwątpieniu. W chwili największej próby był jednym z dowódców, którzy poprowadzili polskie wojsko do ostatecznego zwycięstwa nad wrogiem. Na przełomie XVIII i XIX w. Polacy, marząc o odzyskaniu dopiero co utraconej niepodległości, na gwałt potrzebowali takiej osoby.

„Mazurek Dąbrowskiego" powstał m.in. jako protest przeciwko wymazaniu Polski z mapy Europy. Towarzyszył Polakom w czasie zrywów niepodległościowych, bitew i wojen. 26 lutego 1927 r. został oficjalnie uznany za hymn państwowy. Doprowadzili do tego legioniści Piłsudskiego, którzy uważali się za spadkobierców idei i czynów żołnierzy gen. Jana Henryka Dąbrowskiego, gen. Tadeusza Kościuszki i hetmana Stefana Czarnieckiego. Wszyscy trzej są uważani za polskich bohaterów narodowych, są obecni nie tylko w literaturze czy malarstwie, lecz także patronują wielu szkołom i obiektom użyteczności publicznej w Polsce. W dużej mierze zawdzięczają to Józefowi Wybickiemu.

Fot. M. Czutko

eprasa.pl 86d75865c9

SALON POLITYCZNY
Magdaleny Ogórek

Wyraziste postacie i opinie

Inne spojrzenie na politykę

zaprasza **Magdalena Ogórek**

niedziela
11:05

wPolsce 24

GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

52	192	32	825	196	65	459
telewizja naziemna	netia	orange	vectra	polsat box	PLAY dawniej UPC	inea

eprasa.pl 86d75865c9

Już ruszyli, już są na szlaku, by po trzech tygodniach, 25 grudnia, dotrzeć do polskich kin. Małżeństwo: Wanda i Janek. Po drodze zbierają festiwalowe nagrody i zapewnienia widzów, że to jest jak najbardziej „ich film”

Dwoje ludzi z sankami

Fot. Mowi Serwis

Autopromocja

eprasa.pl 86d75865c9

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Debiutująca w pełnometrażowej fabule reżyserka Maria Zbąska nazwała swój projekt przewrotnie: „To nie mój film". Minimalistyczna w formie historia małżeństwa, które w niezwykły i zarazem ekstremalny sposób postanowiło ratować swój związek, porusza widzów i krytyków. Ma już na koncie zdobyty na tegorocznym festiwalu w Gdyni Złoty Pazur (główną nagrodę konkursu Inne Spojrzenie). Doszły też kolejne laury przywiezione z festiwali w Luksemburgu (Young Talents Award), Salonikach (Grand Prix konkursu Smart7), Pradze (nagroda dla najlepszego filmu), a ostatnio z największej polonijnej imprezy filmowej w Kanadzie – Ekran Toronto Polish Film Festival (za najlepszą reżyserię).

DO SEDNA RELACJI

„To nie mój film" może nie trafia na najgłośniejsze, spektakularne przeglądy, bo też w pierwszym kontakcie nie oszałamia i nie błyszczy, ale co zauważają widzowie z różnych stron, w zalewie innych produkcji zostaje z odbiorcą na dłużej. Wygrywa celnością przekazu i surowością pomysłu: oto dwoje ludzi rusza w drogę. Idzie plażą. Pustą nadbałtycką plażą. A przecież ta przestrzeń częściej kojarzy się z tłumem, rozgardiaszem. Tu jest ich tylko dwoje. I wspólne wyzwania w mroźny, zimowy czas.

„To nie mój film" w pozornie błahych sytuacjach czy banalnych scenach potrafi dotrzeć do sedna relacji. Jest zarazem nieskomplikowany w formie i wielowymiarowy w niuansach. Jest „życiowy" i uniwersalny. Bywa dowcipny. Dlatego zdobywa kolejnych „zwykłych" widzów, którzy mówią o nim znajomym. I tak bez wielkiej reklamy film zwraca na siebie uwagę.

Efekt kuli śnieżnej trwa. Wraz z nim rośnie nadzieja, że w czasach, gdy pierwszy kryzys w związku grozi jego zerwaniem, gdy łatwiej sięga się po „nowszy model", niż naprawia dawny, „To nie mój film" może wskazać kluczową, choć niełatwą opcję w partnerskiej relacji. Stać się propozycją nie tylko dla tych, którzy ceniąc to, co było, gotowi są zawalczyć o swój związek, przepracowując zawirowania, lecz także dla tych, którzy właśnie zastanawiają się, co dalej, i dla tych, którzy prędzej czy później staną przed podobnym dylematem.

BYCIE WE DWOJE

Po 10 latach związku Wanda i Janek przechodzą kryzys małżeński. Niby świetnie się dopasowali, ale coraz częściej czegoś im brakuje, coś im zawadza, rozmijają się w oczekiwaniach i planach... I nagle Janek proponuje radykalne rozwiązanie: trzy tygodnie wędrówki. Brzegiem zimowego Bałtyku. Ciągnąc na sankach cały potrzebny dobytek, bez schodzenia z plaży, odcinając zasięg i unikając cywilizacji. Jeśli się to uda, zostaną ze sobą. Jeśli nie, dojdzie do rozstania. Trasa prowadzi od Międzyzdrojów po Piaski. To ok. 400 km.

Czy pójście w mroźną i długą, pełną fizycznego zmęczenia i niewygody drogę okaże się skuteczną terapią małżeńską?

– Moi bohaterowie na pewno czerpią z trudu, wysiłku, ograniczenia możliwości, nawet z uczucia głodu, który nie zdarza się w naszym świecie za często – podkreśla Maria Zbąska. – Ale też czerpią z przyrody, piękna, przekraczania własnych granic. I z bycia w tym wszystkim z drugim człowiekiem, bo – to, co ciągle powtarzam – samotna podróż, to podróż dla mięczaków.

Zdaniem reżyserki i zarazem autorki scenariusza niejeden problem współczesnych związków wynika z braku

eprasa.pl 86d75865c9

wyzwań i wspólnych tematów. Dlatego we współczesnych realiach, w apoteozie przyjemności, przesytu, ale i koszmarze niezaspokojenia czasem warto wymyślić takie wspólne wyzwania. W kontrolowanej formie. – Robienie czegoś razem, radzenie sobie z jakąś sytuacją bardziej spaja, niż gdybyśmy działali osobno – dodaje Zbąska.

SAMOTNOŚĆ WĘDROWCÓW

Mówi o sobie, że w pierwszej kolejności czuje się fotografem. Jest też operatorem. Trzecim zawodem stała się dla niej reżyseria. 11 lat temu jej krótkometrażowy film „Psubrat" zdobył wyróżnienie specjalne w konkursie Młodego Kina na festiwalu w Gdyni.

Fot. Mowi Serwis

Pomysł na „To nie jest mój film" pojawił się m.in. w wyniku obserwacji znajomych i przyjaciół. Zimową porą, bardziej w lutym niż grudniu, zapadali się zgodnie na kanapach i przeklinając pogodę, deklarowali, że nie wierzą w miłość. W tym czasie łatwiej było im się porozumieć z kimś obcym niż z najbliższym człowiekiem. Bezpośrednią inspirację przyniósł medialny tekst. Tyle że para, która ciągnąc sanki, wybrała się w długą wędrówkę, miała zupełnie inne motywacje niż Wanda i Janek.

„To nie jest mój film" był realizowany w okresie pandemii. Obostrzenia przerwały zdjęcia na rok. Ta perspektywa może się okazać znacząca – gdy spojrzymy na samotność wędrowców na pustej plaży, może inaczej odczytalibyśmy amplitudę ich emocji, ale to akurat temu filmowi niczego nie ujmuje. Raczej dodaje.

NAJLEPSZA PARA

Poza sytuacjami, z jakimi mierzyli się bohaterowie, na intensywność przekazu ogromny wpływ mają odtwórcy głównych ról – „najlepiej dobrani aktorzy na świecie". Choć i w tym przypadku, jak przy tytule, pojawia się znaczący niuans.

Maria Zbąska podkreśla wielkie zasługi reżyserki castingu Nadii Lebik. Także za jej sprawą Zofia Chabiera, wokalistka, skrzypaczka, artystka i nauczycielka, mogła się stać aktorskim odkryciem filmu. Dodajmy: w znakomitym duecie ze świetnie jej partnerującym zawodowym aktorem Marcinem Sztabińskim. Rewelacyjnym w pierwszej w karierze głównej filmowej roli.

Dodatkowe wyzwanie, jakim mogła być dla niego praca z naturszczykiem, reżyserka komentuje z uśmiechem: – Skoro tak dobrze zagrał, może nie rzuciłam mu kłody pod nogi, tylko kawałek nieba w postaci Zosi.

Sam zainteresowany, skromnie odnosząc się do swoich zasług w partnerskiej relacji przed kamerą, skupia się na innych zadaniach i ich rezultacie: – Im gorsza była pogoda, tym dla nas było lepiej, bo na ekranie dawało to mocniejszy efekt. Nie słońce, a śnieżyca, huragan... I dwoje ludzi zmagających się z naturą.

CZUŁA I DOWCIPNA

Na koniec może warto przytoczyć fragmenty uzasadnienia dwóch nagród dla „To nie jest mój film". Najpierw Złotego Pazura: „Andrzej Żuławski [który patronuje nagrodzie – przyp. red.] powiedział kiedyś, że jeśli w filmach są rzeczy trudne i jeśli te filmy pokazują nam świat nieurodziwy i nie od słonecznej strony, to wszystko po to, żeby przejść przez tunel i dostać się do światła. W taką właśnie drogę zabiera nas autorka nagrodzonego filmu, a robi to po swojemu, z precyzją i świeżością, czujnie i szczerze". Członkowie jury Ekran Toronto Polish Film Festival napisali: „To terapia dla par bez terapeuty: czuła, śmiała, szczera i kapryśna". My dodajmy, że miejscami też dowcipna.

eprasa.pl 86d75865c9

3 MIŁOŚCI

I to jest właśnie fantastyczne

ROBERT TEKIELI

I miłość matki, i miłość ojca są niepowtarzalne. Relacja dziecka z matką jest unikatowa, ponieważ to ona nosi je pod sercem, karmi, empatycznie wyprzedza jego potrzeby emocjonalne, zanim ono coś powie. Ojciec tego nie ma. I to jest właśnie fantastyczne. Ojcowie często zapominają o tym, że są pierwszymi regulatorami społecznego życia dzieci. Miłość ojca jako miłość obecności jest w pewnym sensie miłością warunkową. Dziecko musi spełnić pewne oczekiwania ojca, więc na podstawie tej relacji dziecko będzie kształtowało swoje kontakty ze światem zewnętrznym. 54 proc. dzieci wychowywanych przez jednego rodzica częściej otrzymuje diagnozy zaburzeń. Dzieci żyjące tylko z matką są narażone na prawie czterokrotnie wyższe prawdopodobieństwo wystąpienia problemów emocjonalnych i zaburzeń zachowania, będą musiały korzystać z pomocy terapeutów.

Zniszcz małżeństwo, zabierz ojca – oto przepis na dekonstrukcję społeczeństwa. Wystarczy skruszenie jednego z kamieni węgielnych cywilizacji, by ludzie cierpieli, nie mieli poczucia własnej wartości, nie byli w stanie zbudować własnej szczęśliwej rodziny.

Rodzina to tylko jedna z form życia, którą wzięli na cel rewolucjoniści XIX, XX i XXI w. Jak wygląda całościowy plan? Jak się kształtował?

Człowiek będzie szczęśliwy tylko wtedy, gdy w końcu zabije chrześcijaństwo. Nie poprzez prześladowanie, które chrześcijaństwo odżywi i wzmocni, lecz „poprzez nieodwracalną wewnętrzną transformację chrześcijaństwa w ateistyczny humanizm z pomocą samych chrześcijan, kierując się koncepcją dobroczynności, która nie będzie miała nic wspólnego z Ewangelią". Tak w 1841 r. pisał Ludwig Feuerbach w swej „Istocie chrześcijaństwa".

Cztery lata później Karol Marks w „Rękopisach ekonomiczno-filozoficznych" stwierdził, że warunkiem usunięcia unieszczęśliwiającej człowieka alienacji jest zniesienie „religii, rodziny, państwa, prawa, moralności, nauki, sztuki itd."

W XX w. Jacques Derrida powtórzył: aby wyzwolić ludzkość, trzeba „zabić" Boga. Przecież „Bóg stoi w sprzeczności ze samym sobą". Totalną sekularyzację głosi też inny z kapłanów globalnej rewolucji, Theodor Adorno. Według niego myśl o „transcendentnym Stwórcy" nie tylko „nie służy dalszemu rozwojowi", lecz także jest jego główną przeszkodą. Do kategorii, które trzeba zniszczyć – religii, rodziny, państwa, prawa, moralności, nauki, sztuki – postmoderniści dodali osobę ludzką, płeć, piękno i prawdę. I kiedy czytam: po II wojnie światowej kultura zachodnia zaczęła się liberalizować, współczuję niedocenionym rewolucjonistom. Kultura nie zaczęła się liberalizować sama z siebie, została poddana planowej obróbce, przemianie.

Zniszcz małżeństwo, zabierz ojca – oto przepis na dekonstrukcję społeczeństwa. Wystarczy skruszenie jednego z kamieni węgielnych cywilizacji, by ludzie cierpieli, nie mieli poczucia własnej wartości, nie byli w stanie zbudować własnej szczęśliwej rodziny

Wiele osób uważa tratujący właśnie Polskę walec rewolucji kulturowej za element normalnego stanu rzeczy. O t, postępowcy walczą z konserwatystami: jedni chcą wychowania do życia w rodzinie, drudzy edukacji seksualnej. Niech tak myślący lepiej posłuchają, czym żyją ich dzieci.

W jednej ze swoich książek Marguerite Peeters wyraziła następującą myśl: rewolucjoniści doskonale wiedzą, że kto panuje nad językiem, ten ma władzę. W ramach swej coraz mniej aksamitnej rewolucji dokonują więc pojęciowych przesunięć: od rozwoju rozumianego jako wzrost do „wzrostu zrównoważonego" (sustainable development), od rządu (goverment) do „współrządzenia" (governance), od małżonków do „partnerów", od szczęścia do „jakości życia", od rodziny do „różnych form rodziny", od tożsamości kulturowej, do „różnorodności kulturowej", od głosowania na zasadzie większości do „kompromisu". Nowy rewolucyjny język konstytuuje nową hierarchię wartości. Przyjemność stawia ponad miłością, zdrowie i dobre samopoczucie ponad świętością życia, prawa kobiet ponad macierzyństwem, etykę ponad moralnością, prawo wyboru ponad odwiecznym prawem wypisanym w ludzkich sercach, nową formę demokracji i humanizm ponad Bożym objawieniem, immanencję ponad transcendencją, człowieka ponad Bogiem.

Według Peeters również chrześcijanom zagraża pokusa, by szacunek do kultury traktować jako „podejście pełne wrażliwości kulturowej", a judeochrześcijańskie pojmowanie wartości jako równoznaczne z „zasadą słuszności". By moralne i teologiczne formowanie sumienia zastępować przez działania, które mają na celu „rozwijanie świadomości" i „uwrażliwianie", by zamiast nauczania o równej

eprasa.pl 86d75865c9

godności kobiety i mężczyzny zajmować się „włączeniem kwestii płci do głównego nurtu polityki” (gender mainstreaming), a w miejsce życia nadzieją opartą na Bogu propagować „pozytywne myślenie”, aby wolność w Chrystusie zamienić na „wolność wyboru”. By zamiast zdrowej prokreacji promować „zdrowie reprodukcyjne”, a zamiast troski o zdrowe matki i dzieci, poczęte lub narodzone, zabiegać o „bezpieczne macierzyństwo”, a w końcu, by spójny, pełen szacunku dla ludzkich wartości i kultur rozwój mylnie utożsamiać z programem konferencji organizowanych przez ONZ i „Milenijnymi celami rozwoju”.

Jednostka Narodów Zjednoczonych ds. Równości Płci i Upodmiotowienia Kobiet (UN Entity for Gender Equality and the Empowerment of Women) wydała jakiś czas temu oświadczenie, w którym czytamy: „Rozwody, kohabitacja, tzw. małżeństwa jednopłciowe, dzieci rodzące się poza związkami małżeńskimi czy seks wśród nastolatków to upodmiotowienie kobiet, zaś miejscem prawdziwie niebezpiecznym dla kobiet i dziewcząt okazuje się rodzina”.

Otwierający ten felieton piękny akapit o miłości macierzyńskiej i ojcowskiej pochodzi ze świetnego bloga Małżeństwo NIEidealne. Nasza odpowiedź na rewolucję musi być właśnie taka, rozproszona, sieciowa. Cywilizacja zachodnia jest jak pociąg pospieszny pędzący nocą ku przepaści, chrześcijanie muszą chwalić Boga i palić ogniska wzdłuż torów. Niech pasażerowie wiedzą, że istnieje inny świat. Świat takich właśnie blogów, książek, kanałów, stron i profili, poprzez które dzielimy się darowanymi nam okruchami prawdy, dobra i piękna.

POPKULTURA

WOJNA CYWILIZACJI

Warte Pisałem już tutaj o pierwszych tomach cyklu Red Rising. *„Czerwony świt”* i *„Złoty syn”* to świetne powieści, Pierce Brown pisał je, mając 26 i 27 lat. Rok później opublikowano trzecią część serii *„Gwiazda zaranna”* i znów zachwycony czytam polski przekład. Książka jest napisana ekstatycznym stylem, przynajmniej pierwszych 300 stron czyta się na wdechu, a potem nie jest dużo gorzej. Małgorzacie Strzelec i Wojciechowi Szypule udało się oddać to w tłumaczeniu – szanowni państwo, chapeau bas!

Pierwsza część cyklu science fiction Browna opowiada o powstaniu na Marsie, druga o wojnie domowej, którą udało się wywołać głównemu bohaterowi, a trzecia o wojnie planetarnej. Siły antagonistów są rozmieszczone od Merkurego po księżyce Saturna, Układ Słoneczny pęka w szwach.

Tempo i rytm, rwąca akcja i jej szokujące zwroty, tajemnice, pułapki, rzezie, pojedynki, wybuchy atomowe, ukryci sojusznicy, Suwerenka, Władcy Księżyców i Synowie Aresa.

Darrow, piekłonurek, chłopak z nizin, wzniecił powstanie. Świat, na który przyszedł, to Wspólnota kast. Jeszcze bardziej oddalonych od siebie dzięki manipulacjom genetycznym niż w tradycyjnym hinduskim społeczeństwie. Na samym szczycie jest kasta Złotych, którzy dzięki ulepszeniu ciał bardziej przypominają bogów olimpijskich niż ludzi. Złoci władcy po wielkiej wojnie ustanowili porządek światów, eksterminowali 90 proc. Obsydianowych, z którymi o mało nie przegrali konfrontacji, zmodyfikowali Różowych, czyniąc z nich przedmioty seksualne, mają na usługi górników – Czerwonych, genetyków – Fioletowych, Niebieskich, Zielonych... System ma jeden cel: podporządkowanie dzięki separacji. Jest zakonserwowany zwietrzałą ideologią o niby szlachetnych korzeniach. Jeden z bohaterów mówi: „Żyjemy we Wspólnocie uformowanej na wzór marzeń pedofilii z epoki brązu. Żyjemy mitologią, jakby tego syfu nie wymyślił przy ognisku jakiś wieśniak z Attyki przygnębiony tym, że życie jest paskudne, brutalne i krótkie. Złoci wmawiają Obsydianowym, że są bogami. Nie są nimi. Jeśli Złoci są czymkolwiek, to prędzej królami-wampirami. Pasożytami pijącymi z naszej tętnicy szyjnej. Chcę Wspólnoty wolnej od faszystowskiej piramidy”. Rewolta ma więc na celu przywrócenie człowieczeństwa wszystkim kolorom.

Krew leje się strumieniami, wrogowie są zamrażani, paleni, rozrywani, popieleni. Sojusze są zrywane, odwracane, ukryci sojusznicy pomagają, przyjaciele zdradzają, dzieje się, ale to tylko powierzchnia przekazu. Pomijam już to, że również żyjemy w świecie, w którym najbogatsi przyznali sobie status nadludzi. Istotne jest bowiem zobrazowanie w atrakcyjnej formie dwóch rządzących naszym światem paradygmatów.

Brown pokazuje różne typy przywództwa. Może być ono zbudowane na lęku i strachu, można gromadzić wokół siebie ludzi, genialnie czytając mapę zbiorowych interesów i indywidualnych ambicji, można uwodzić elity i masy. Brown pokazuje jednak, że najsilniejsze przywództwo buduje się dzięki zdolności do tworzenia prawdziwych więzi opartych na prawości, zdolności przywódcy do poświęcenia, na prawdziwej miłości i rodzącej się z niej lojalności. A siłą Darrowa jest to, że gdziekolwiek się pojawia, tworzy wokół siebie wspólnotę.

Jeden z bohaterów mówi o swoich dzieciach: „Czy czytałem im mity Greków? Opowieści o silnych mężczyznach zdobywających chwałę dla siebie? Nie. Opowiadałem im o Arturze, o Nazarejczyku, Wisznu. Historię bohaterów, którzy pragnęli tylko chronić słabych”. Rodzina, miłość, zaufanie, wspólnota, troska o najsłabszych. Zestaw wartości, który główny bohater uzupełnia, myśląc o wychowaniu swego nowo narodzonego syna: „Opowiemy mu o gniewie Aresa, sile Ragnara, honorze Casiusa, miłości Sevro, lojalności Victry i marzeniu Eo, dziewczyny, która natchnęła mnie, bym poszukał w życiu czegoś więcej”. Czego więcej możemy życzyć sobie w adwencie?

***Robert Tekieli**, Polskie Radio*

eprasa.pl 86d75865c9

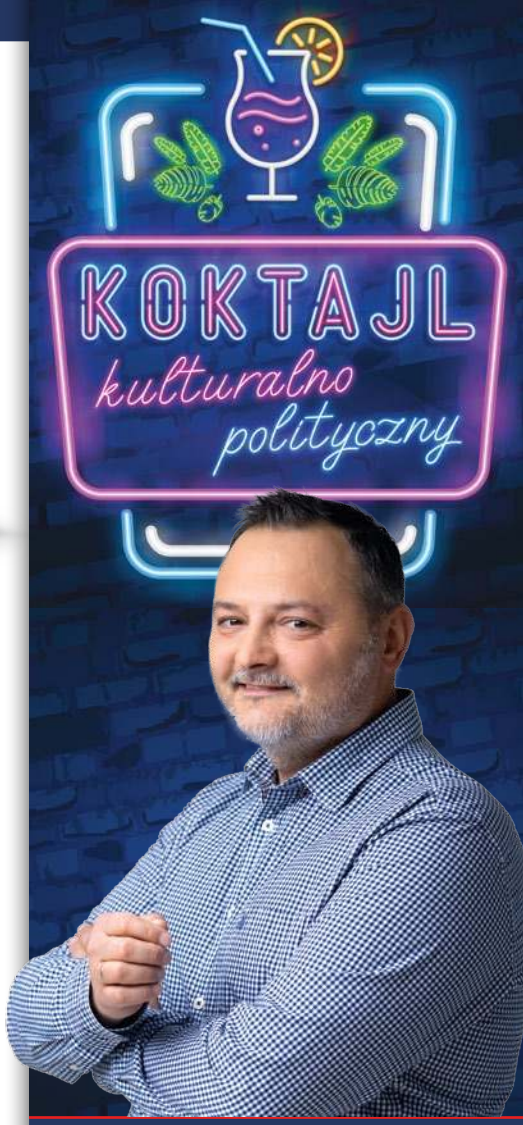

Maciej Walaszczyk

O sensie i bezsensie istnienia

DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

„Paryż to miejsce, w którym można zmarnować życie" – miał wyznać Emil Cioran. Twórczość słynnego Rumuna składa się głównie ze zbiorów aforyzmów napisanych w stolicy Francji, gdzie spędził większość życia. Jego wyszukany styl jest tragiczny, surowy i niepokojący. Ale jednocześnie przesiąknięty wystarczającą ilością dowcipu, by nabrać bezpiecznego dystansu do jego książek. Ta została poskładana z odnalezionych w jego archiwum rękopisów powstałych w ostatnich latach wojny. Napisanych jeszcze po rumuńsku, ale już na progu ponownych „narodzin" filozofa w języku francuskim.

„Życie staje się słodką drzemką w obliczu nieuniknionej śmierci" – napisał w jednym z fragmentów, konsekwentnie wywlekając i oglądając pod światło każdy fragment negatywu istnienia. Cierpienie i ból uważał za jego osnowę jako nieuniknione i nieustannie towarzyszące człowiekowi. „Ból jest sitem, które podstawiamy pod nasze dni. Zatrzymujące się na nim śmieci to zbiorowisko nadziei" – pisze, choć dalej wyjaśnia, że kochał życie tak, jak kocha je skazany na śmierć. Tylko całość tych porozrzucanych refleksji należy próbować objąć i zrozumieć, i nie dać się pochłonąć zalewającemu potokowi lodowanego pesymizmu. Oto cały Cioran, dla którego zdrowie to tylko „niepełna choroba", a życie jest „anegdotą na cmentarzu".

Cioran wygnaniec to także człowiek po pewnych politycznych doświadczeniach związanych z zaangażowaniem w działalność Legionu Archanioła Michała i Żelaznej Gwardii. Był już wówczas przekonany, że wielkie idee mogą stanowić jedynie „chorobliwe pragnienie", a karmienie się ideologicznymi fantasmagoriami zawsze kończy się gorzkim wstrząsem. Upojenie faszystowskim witalizmem i przemocą ustąpiło bowiem rozczarowaniu kryzysem europejskiej cywilizacji. Cioran, filozof życia, nie chce się oczywiście poddać owemu tragizmowi. Tu i ówdzie przypomina, że z losem należy walczyć, stawiać czoło udrękom, przekuwać owo doświadczenie w poezję. Bo „wewnętrzną degrengoladę wybaczamy tylko w zamaskowaniu lirycznym", a tylko dusza, która przeszła przez kulturę i „podjęła trud skodyfikowania własnych rozproszeń", odnalazła niezbędny sens lub styl. Jeśli więc chcemy z odwagą stawić czoło mroczniejszym aspektom istnienia i ze stoicką rezygnacją opanować strach przed śmiercią, dodatkowo w grudniową szarugę za oknem. Proszę bardzo.

Emil Cioran, „Okno na Nic", Aletheia 2020

POECI POSPIESZALSKICH

Ta płyta sumuje fascynacje muzyczne oraz poetyckie rodziny Pospieszalskich. Ale tak naprawdę swe niezatarte piętno odcisnął na niej Mateusz Pospieszalski – multiinstrumentalista, aranżer, po prostu człowiek orkiestra. Zawiera ona kompozycje do tekstów polskich poetów, a ich wybór wyjaśnia klucz, który skrywa się w jej tytule. Dom, ojczyzna, krajobrazy i zapachy, obyczaje i tożsamość, rodzina i bliźni, których scala kulturowo chrześcijański uniwersalizm („Introit" Stachury).

Na płytę trafiłem, podczytując chwilę wcześniej o historii Genego Krupy, wirtuoza i twórcy jazzowej perkusji. Był synem polskich emigrantów z Chicago (jego ojciec pochodził z podrzeszowskiej wsi), który stając się jednym z twórców nowoczesnej amerykańskiej kultury, faktycznie przestał być tam Polakiem. Tej kultury, która przesączyła się potem do Europy i Polski, a dziś rezonuje na płycie muzykującej rodziny, która by zilustrować wiersze Leśmiana czy Norwida, używa jazzu, funku i soulu. I to jedyna uwaga, bo „myśli wyrażanej przez dźwięki" (Chopin) programowo hołdującej tożsamości winien chyba towarzyszyć „śpiew własnego plenienia" (Adam Strug). Na szczęście funkowa energia rozrywa tylko otwierający album „Do ciebie, człowieku" (Libert). Trzeba przyznać, że jest on znacznie bardziej zróżnicowany stylistycznie, a dopieszczone aranżacje nie pozostawiają wątpliwości, że słuchamy muzyków przepełnionych pasją do tego, co robią. Pieśń „Dom" zupełnie zmienia nastrój, przywołując tak często spotykaną w rodzimej piosence poetyckiej formę kantyczki. To w końcu adaptacja fragmentów homilii Jana Pawła II. Pulsację wypiera dyskretny fortepian, flety i inkantacje chóru, a w środku ujmujące saksofonowe solo Mateusza Pospieszalskiego, których nie brak także w innych pięknych piosenkach. W tej samej konwencji są też utrzymane „Kwiaty" Baczyńskiego, mające potencjał przeboju Herbertowskie „Promienie", „Taka cisza w ogrodzie" Leśmiana czy „Moja piosnka" Norwida, które brzmią, jakby były skomponowane dla Anny Marii Jopek czy Justyny Steczkowskiej. Więcej rockowego dramatyzmu wyziera z „Rozbitków" z tekstem znanego z grupy Zakopower Bartłomieja Kudasika oraz wyśpiewanego w harmonii przez Pospieszalskich „Introitu" Stachury, w którym partie fletu kojarzą się z Jethro Tull. A gdyby tak wystawić musical do tej muzyki?

Pospieszalscy, „Dom", Agencja Muzyczna Polskiego Radia 2024

eprasa.pl 86d75865c9

Rembek zebrany i doceniony

Stanisław Rembek to jeden z naszych najlepszych prozaików. Kto nie zna, ma właśnie okazję rozpocząć ciekawą przygodę z jego twórczością

To ostatni, dziesiąty tom „Dzieł zebranych" wydanych staraniem prof. Macieja Urbanowskiego. Cechuje je duża edytorska pedanteria, a teksty we wszystkich tomach zostały opracowane tak, by wyeliminować wcześniejsze błędy, ingerencje redaktorskie i cenzorskie. Jeśli ktoś nigdy nie czytał Rembeka, może miał okazję obejrzeć filmy zrealizowane na podstawie jego książek. „Wyrok na Franciszka Kłosa" z Mirosławem Baką w roli głównej, będący jednym z pierwszych w polskiej literaturze powojennej tekstów poświęconych problemowi kolaboracji, czy znakomity „Szwadron" Jana Machulskiego na podstawie opowiadań osadzonych w realiach powstania styczniowego są świetną zachętą do lektury.

Lepiej jednak od razu sięgnąć po tę wciągającą prozę, m.in. powieść „W polu" czy „Dziennik. Rok 1920". Można zacząć nawet od tego tomu zawierającego krótkie opowiadania, felietony, teksty polityczne, recenzje, listy, fragmenty powieści, m.in. fabularyzowanej książki harcerskiej „Ekspedycja karna", a także dwa wiersze. Bo to od nich zaczynała się przygoda pisarza z literaturą. Szczególnie w patetycznym „Spartakusie" objawia się jego „pełna ambiwalencji fascynacja wojną".

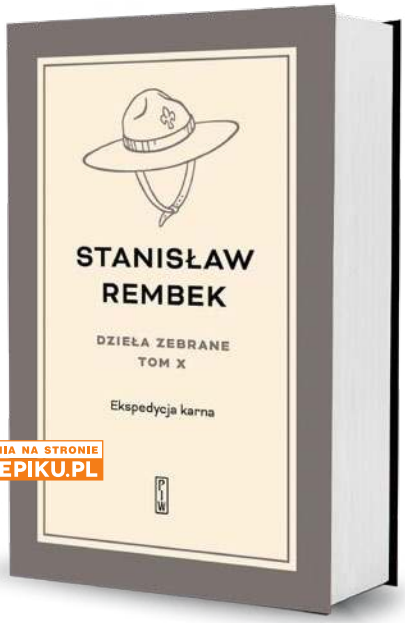

DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

Rembek brał udział w rozbrajaniu Niemców, w 1919 r. wstąpił na ochotnika do armii, walczył z bolszewikami, był również zaangażowany politycznie po stronie lewicy socjalistycznej. Choć już w latach 30. XX w. publikował w narodowo-radykalnym piśmie literackim „Prosto z Mostu", a po wojnie wstąpił do PAX. Stąd umieszczona tu, choć nigdy nieopublikowana publicystyczna próba obrony Bolesława Piaseckiego i jego słynnego tekstu „Instynkt państwowy" z października 1956 r. Przed wojną Rembek nie miał jednak taryfy ulgowej dla patologii II RP – kieruje nim bowiem czułość dla Polski zrodzonej z klęski wojennej trzech zaborców, wywalczonej „bez butów, amunicji i chleba". Czujemy to wręcz namacalnie, czytając fragmenty nieukończonej powieści „Opuszczone działo". Pisarz obawia się o jej przyszłość, portretując w jednym z artykułów („W sprawie bonów kultury") urzędników, dyrektorów czy oficerów nieposiadających książek, a pogardzana przez nich literatura to, jak mówił, towar pierwszej potrzeby. Inaczej, jak przestrzegał w tekście „Epoka Nikodema Dyzmy", zdominuje politykę „typ socjologiczny", u którego intryganctwo i chamstwo, nikczemność i egoizm będą mylone z cnotami.

Rembek jako publicysta polityczny to błyskotliwy komentator, celnie szermujący argumentami i niezwykle komunikatywny. Jak przekonuje, władza skumulowana w rękach przedwojennych wojskowych nie może przynieść dobrych owoców. „Armia to [...] wola, rząd to [...] rozum. Żołnierzowi nie wolno myśleć o jutrze, polityk musi się nauczyć przewidywać. Armia zawsze będzie i powinna dążyć do zwycięstwa: rząd musi szukać kompromisu". Tragedia z 1939 r. przyznała mu rację, a i dziś uwagi te pozostają aktualne. Temat wojny oraz jej fatalistycznego oblicza odzywa się też w jego opowiadaniach. „Pieśń" ukazuje moment, w którym konający polski żołnierz, leżący gdzieś na przedpolach stolicy w sierpniu 1920 r., słyszy bolszewicką wersję „Marsylianki". Mobilizuje go ona do ostatniej próby wyrwania się śmierci i przeciwstawienia wrogowi. To kapitalny przykład literackiej miniatury, w której w jednym dramaturgicznym węźle kulminuje wręcz maksymalne napięcie. „Czasami szczęście przychodzi tak późno, że już żadne marzenie nie wychodzi mu na spotkanie" – pisze w zupełnie innym miejscu.

Poznajemy też Rembeka reportażystę, który podczas wyprawy na Saharę z pasją wojennego korespondenta opisuje zmagania „trójprzymierza" wody, palmy i człowieka z „trójporozumieniem" pustynnych żywiołów: piasku, wiatru i słońca. Reporterskie zacięcie ujawnia także w listach kierowanych do swej przyszłej żony, opisując zderzenie z cywilizacyjnym zapóźnieniem Polesia. Choć i on miał swoje zdanie na temat takich tekstów, twierdząc, że o Hiszpanii zawsze więcej będzie mówił „Don Kichot" Cervantesa niż setki reportaży z teatru wojny domowej. „Żaden reporter, ni żaden krytyk nic na to nie poradzi" – pisał, twierdząc, że Anglia to Dickens, Francja – Balzac i Zola, Litwa – Mickiewicz, polska wieś – Reymont, a dwór to Weyssenhoff. Rembek to pisarz wojny, nasz polski Remarque.

Stanisław Rembek, „Dzieła zebrane Tom X. Ekspedycja karna", PIW 2024

eprasa.pl 86d75865c9

Gospodarczy eksperyment człowieka z piłą

Javier Milei to ulubieniec ekonomistów i inwestorów. Kochają go, bo wprowadza w życie ich najbardziej szalone pomysły. Na razie idzie mu całkiem nieźle. Argentyńczycy są cierpliwi, ale jeżeli terapia skrajnie rynkowego prezydenta nie przyniesie efektów, gniew ludu strąci go tam, skąd przyszedł – na miejsce politycznego i gospodarczego outsidera

STANISŁAW KOCZOT

Milei nie jest politycznym nowicjuszem, jednak do listopada ub.r., kiedy zwyciężył w wyborach prezydenckich, nie wspiął się ponad status kontrowersyjnego polityka i ekscentrycznego telewizyjnego komentatora o krańcowych poglądach. Sam siebie określił dziwacznym mianem anarchokapitalisty i liberalnego libertarianina, co znaczy tyle mniej więcej, że jest bardziej wolnorynkowy niż sam wolny rynek. Jest tak skrajny, że nawet liberałowie mają z nim problem, gdyż Milei uważa ich za zdrajców, a sam liberalizm za inną formę socjalizmu.

Jednak te radykalne poglądy i umiejętność ich teatralnego prezentowania, czego dosadnym symbolem była piła mechaniczna, którą Milei demonstrował cięcie regulacji krępujących rynek i rozrośniętej biurokracji państwowej, stały się kluczem do jego politycznego sukcesu. Argentyńczycy, wymęczeni dekadami socjalistycznych rządów, po których gospodarka podnosiła się z coraz większym trudem, czekali na człowieka, który przetnie gordyjski węzeł niemocy.

SFRUSTROWANA ARGENTYNA

Współczesna Argentyna to cień dawnej potęgi, przed laty dziewiątej największej gospodarki świata, która przyciągała miliony emigrantów z Europy złaknionych pieniędzy i sławy. Koniunktura się jednak zmieniła, gospodarka nabierała niezdrowych socjalistycznych rumieńców z rozbudowaną biurokracją, niewydolnym sektorem publicznym i pęczniejącymi wydatkami socjalnymi. Było tak źle, że Argentynie brakowało pieniędzy na spłacanie wierzycieli. W rezultacie ogłaszała bankructwo aż 9 razy, 22 razy ratował ją Międzynarodowy Fundusz Walutowy.

Im gorzej, tym lepiej... dla Javiera Mileia. 54-letni polityk i ekonomista z agresywnymi hasłami likwidacji urzędów centralnych i usunięcia politycznej kasty okazał się mężem opatrznościowym dla coraz bardziej sfrustrowanego społeczeństwa.

DRAKOŃSKIE REFORMY

Milei musi działać szybko, gdyż terapia szokowa, którą obiecał Argentyńczykom, jest bolesna. Jego partia Wolność Postępuje (La Libertad Avanza) ma niewielu posłów w Izbie Deputowanych i w Senacie, musi więc liczyć na głosy prawicowej koalicji Razem na rzecz Zmian. Kluczowe dla Mileia jest poparcie społeczne, bez którego jego władza przewróci się jak domek z kart.

Fot. Matias Lynch/Shutterstock.com

Jak pokazują sondaże, na razie jest ono spore. Argentyńczycy pamiętają, jak ciężko się żyło za poprzednich rządów. Widać też efekty drakońskich reform Mileia: w październiku inflacja liczona miesiąc do miesiąca spadła do 2,7 proc. z 3,5 proc. we wrześniu (w grudniu ub.r. ceny rosły w tempie 25 proc. miesięcznie). Co prawda roczna inflacja nadal jest najwyższa na świecie, ale zeszła poniżej 200 proc. – do około 190 proc. Kraj po raz pierwszy od 12 lat

eprasa.pl 86d75865c9

ma nadwyżkę budżetową, której część była efektem klasycznych cięć, ale większość wynikała ze spadku realnej wartości wydatków wywołanych wysoką inflacją (której nie rekompensowały tak jak wcześniej dopłaty finansowane głównie przez bank centralny). Milei zdewaluował peso względem dolara, co poprawiło konkurencyjność argentyńskich towarów (zarazem spadł realny dochód Argentyńczyków), w tym roku wydatki budżetu państwa na pensje realnie obniżyły się o prawie 20 proc., na emerytury o ponad 20 proc.

Milei tnie wydatki i redukuje etaty w podległych sobie instytucjach: zwolnił 30 tys. urzędników, zamknął 13 ministerstw, dzięki zmniejszeniu regulacji doprowadził do obniżenia cen najmu

mieszkań. Pod koniec października rozwiązał Administración Federal de Ingresos Públicos, największy urząd skarbowy w kraju. Zastąpi go nowa instytucja, jednak zatrudniająca znacznie mniej urzędników.

NOWY MODEL PAŃSTWA

Koszty terapii? Wysokie. Rośnie bezrobocie i zwiększa się skala ubóstwa – w 2023 r. doświadczyło go prawie 42 proc. Argentyńczyków, w tym może być to już 60 proc. Co piąty mieszkaniec żyje w skrajnej biedzie. Kraj dopadła recesja gospodarcza, gwałtowny spadek konsumpcji i inwestycji.

Jednak Argentyna wytrzymuje wszystkie plagi sprowadzone na nią przez Mileia, bo te, których doświadczyła wcześniej, były jeszcze gorsze. Prezydent zmienia model państwa. Według niego rządy socjalistów marnowały potencjał Argentyny, brnąc w coraz większe wydatki socjalne, ignorując własność prywatną i coraz bardziej ograniczając wolność jednostki.

Terapia zaserwowana Argentyńczykom podoba się większości ekonomistów, gdyż odpowiada na ich diagnozę, według której najważniejszą przyczyną rosnącej inflacji są wysokie wydatki państwa nieznajdujące pokrycia w dochodach.

Na Argentynę przychylnie zaczęły spoglądać wielkie instytucje finansowe i agencje ratingowe. Według prognoz Międzynarodowego Funduszu Walutowego (któremu Argentyna jest winna ok. 44 mld dol.), PKB tego kraju po spadkach w 2023 o 1,6 proc. i o 3,5 proc. w 2024 r. wzrośnie o 5 proc. w 2025 r. Prognozy dla Argentyny podniosła też agencja Fitch.

Na Argentynę ciepło patrzą inwestorzy, który przez lata ją omijali. Światowy rynek zaczyna wierzyć w powrót kraju rządzonego przez Mileia do klubu państw wypłacalnych. Global X MSCI Argentina ETF wzrósł w ciągu roku aż o ponad 34 proc.

Argentyna pnie się w górę w oczach światowej finansjery, choć trzeba pamiętać, że jest to kraj, który przechodzi poważny eksperyment gospodarczy i nie wiadomo, czy go przeżyje.

Według „The Daily Economy" reformy w Argentynie są podobne do zmian w Polsce w latach 90. XX w. wprowadzonych przez Leszka Balcerowicza. Jeżeli Polacy je przeżyli, to i Argentyńczykom może się udać.

FAN TRUMPA, IDOL MUSKA

Część swoich koncepcji Milei już wprowadził w życie, część czeka na realizację. Czy doczeka się jej pomysł dolaryzacji gospodarki Argentyny, czyli zamiany peso na walutę amerykańską?

Niezależnie jednak od tego, czy plan się powiedzie, czy nie, pokazuje on kierunek, w jakim zmierza „liberalny libertarianin" stojący na czele państwa. Osią, wokół której prezydent organizuje swoje międzynarodowe relacje, zarówno polityczne, jak i gospodarcze, są Stany Zjednoczone oraz liberalne demokracje. Argentyna pod jego przywództwem nie zamierza przyjąć zaproszenia do BRICS, czyli sojuszu Brazylii, Rosji, Indii, Chin oraz Republiki Południowej Afryki, gdyż Milei nie chce współpracować z komunistami, do których zalicza Lulę da Silvę, prezydenta Brazylii, władze Chin, a także Rosji.

Javier Milei jest antyfeministą, antyklimatystą, a zrzucanie na człowieka odpowiedzialności za zmiany w środowisku naturalnym nazywa „socjalistycznym spiskiem". Podkreśla poparcie dla Donalda Trumpa (był pierwszym zagranicznym politykiem, z którym amerykański prezydent elekt spotkał się po wygranych wyborach), chce wrócić do OECD. Prezydenta Argentyny podziwia Elon Musk, tak jak on zapalczywy zwolennik wolnego rynku, który ma zająć się cięciami w administracji Trumpa.

Milei zabiega o względy różnych postaci związanych ze światową prawicą, od Donalda Trumpa po byłego prezydenta Brazylii Jaira Bolsonaro, premiera Węgier Viktora Orbána, hiszpańską partię Vox czy premier Włoch Giorgię Meloni, której podczas jej wizyty pod koniec listopada w Buenos Aires zaproponował „sojusz wolnych narodów przeciwko tyranii i nędzy". Prezydent Argentyny podarował jej figurkę ze swoją podobizną dzierżącą w ręku piłę mechaniczną, przy okazji skrytykował ideologię woke, określając ją jako „chorobę duszy", i zaapelował o „przywrócenie zdrowego rozsądku oraz powrót do wartości, które wyznaje większość obywateli świata zachodniego".

Sukces Javiera Mileia dodał gasnącej Argentynie adrenaliny. Jego teatralny styl rządzenia pomógł mu zdobyć władzę, lecz beczka prochu, jaką jest gospodarka, może eksplodować, jeśli terapia okaże się zbyt radykalna dla Argentyńczyków.

eprasa.pl 86d75865c9

MAREK KRAJEWSKI | PISARZ

Mroczne uniwersum i sielska mała ojczyzna

Autor bestsellerowych kryminałów o komisarzach Mocku i Popielskim, tak znakomicie odnajdujący się w dekoracjach i klimatach mrocznych historii retro, w ostatnich miesiącach mógł zaskoczyć nie tylko swoich fanów. Bo oto pożegnał dawną strefę twórczego komfortu i nie rezygnując z dobrze skrojonych garniturów oraz klasycznej elegancji, wyruszył w nowe kreacyjne rejony.

Na kartach opublikowanej niedawno powieści „Ostatni pisarz" zamienił przeszłość na przyszłość. W czasie współczesnym – dosłownie – wyszedł zza biurka, by stanąć przed kamerą i do tej pory „pisany" kontakt z czytelnikami wesprzeć realizowaną autorsko formą filmową. Na tym jednak nie koniec. Wziął też udział w podróżniczo-promocyjnej serii pt. „Górna półka smaku". Choć, jak deklaruje, zdecydowanie nie jest fanem wędrówek, zwłaszcza pieszych. Za to jako kulinarny koneser potrafi docenić walory potraw prezentowanych mu w „pięknych okolicznościach przyrody".

Telewizyjny projekt tak przedstawił na swoim koncie na FB: „Serial opowiada o perypetiach pisarza Krajewskiego, który przerywa tworzenie powieści kryminalno-kulinarnej, ponieważ z jej kart uciekł mu główny bohater – kucharz Orson Gaweł Hejnowicz. Aby ukończyć książkę w terminie, Marek musi złapać Orsona, który zwiedza Dolny Śląsk. Zachwycony jakością tutejszych produktów, kulinarny maestro wraz z ich producentami tworzy niepowtarzalne potrawy. W ślad za nim podąża Marek w imponującym starym defenderze (prowadzenie go – to dopiero była przygoda!), natrafia na te pyszności i zjada je z wielką przyjemnością".

Oczywiście, co podkreśla autor, w tym podróżniczo-kulinarnym przedsięwzięciu nie narracja była najważniejsza.

– Sceneria zapiera dech w piersiach – zapewnia pełen zachwytu. – Dolny Śląsk wygląda w letnim słońcu jak mityczna Arkadia, gdzie harmonijnie współistnieją obok siebie lasy, rzeki, stawy i góry – dodaje.

Na ten sielski obraz cieniem położyły się dramatyczne wydarzenia z września tego roku. Pisarz tak to komentuje: – Długo się wahałem i pytałem sam siebie – może moje zachwyty nad Dolnym Śląskiem będą czymś niestosownym teraz, po zniszczeniach, jakie mu przyniosła wielka woda? Zdecydowałem się jednak podzielić wspomnieniami. [...]. Moim marzeniem jest, by ten serial kulinarno-kryminalny zachęcił gości i turystów do odwiedzenia mojej małej ojczyzny, a mieszkańcom – dotkniętym boleśnie przez żywioł – oby dał odrobinę wytchnienia i nadziei, że kataklizmy przemijają, a życie trwa!

Kto przeoczył serię „Górna półka smaku" na antenie TVP 2, może sobie zrobić przedgwiazdkowy prezent, odtwarzając całość na TVP VOD. Ci, którzy chcieliby odkryć kryminalne szlaki przyszłości, niech sięgną po powieść „Ostatni pisarz", której akcja toczy się w... 2077 r.

W serii nagrań przybliżających książkę opublikowanej na facebookowym koncie Marek Krajewski pyta m.in. o związek internetu z... „Eneidą" Wergiliusza. W kolejnych filmikach konstatuje: „Czasy się zmieniają, ale ponure, moje wrocławskie uniwersum wciąż trwa".

Warto tu przypomnieć, że w listopadzie minęła 25. rocznica premiery powieści „Śmierć w Breslau", która zainaugurowała serię o przygodach Eberharda Mocka w przedwojennym Wrocławiu, a z Marka Krajewskiego uczyniła najbardziej cenionego i rozpoznawalnego, autora polskich kryminałów retro, który pozostaje w twórczej formie.

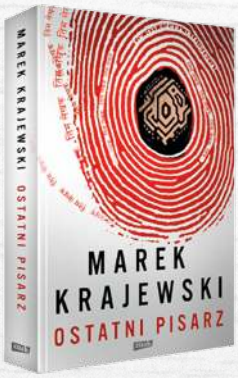

Jolanta Gajda-Zadworna

Fot. TVP

eprasa.pl 86d75865c9

SŁODKO-SŁONY

Kuchenne igraszki

ANNA MONICKA

Syn przyjaciółki, lat 11, postanowił zabrać się za gotowanie. Osiedle, w którym mieszka, ma taką specyfikę, że rodzice pracują do późna, a dzieci, gdy zgłodnieją, muszą sobie radzić. Na szczęście nie same, bo w prawie każdym domu jest cudowna maszyna, czyli Thermomix, który zastępuje niejedną zajętą mamę, więc udaje im się nie spalić kuchni i coś upitrasić. A to placki, a to zupkę, a to kotlety czy pulpety. Młody często spędza czas z kumplami i podpatruje. Nauczył się też obsługiwać kuchennego robota i teraz ciśnie, że i przyjaciółce by się taki przydał, w końcu można go kupić na raty. To bardzo miła odmiana, bo wcześniej był zajęty głównie kopaniem piłki, teraz aż rwie się do gotowania.

Wpadłyśmy więc na pomysł, żeby połączyć przyjemne z pożytecznym i kupić chłopakowi jakąś fajną książkę kucharską. Nie taką z samymi przepisami, ale pełną opowiastek i anegdot, które wciągną przyszłego mistrza patelni w magiczny świat kulinariów. „Pyszne przypadki. Niewiarygodne historie słynnych dań" Łukasza Modelskiego wydane przez Dwie Siostry są wprost wymarzone, zwłaszcza że każda historia kończy się zabawnym obrazkowym przepisem. Mamy więc zapiekankę parmentier dla początkujących, kurczaka marengo, pizzę margheritę, jajka benedict, tartę tatin, lody, bubble tea, nachosy, czipsy ziemniaczane. Czy wiecie, że piętrowa kanapka narodziła się dlatego, że jej „wynalazca" hrabia Sandwich nałogowo grał w karty i nie mógł się oderwać od hazardu nawet wtedy, gdy zgłodniał? Przekładane mięsem kromki pieczywa były tak wygodne, że jedną ręką grało się w karty, a drugą jadło. Albo że truskawkowy deser z pokruszonymi bezami – eton mess – tak naprawdę był tortem bezowym, którym uświetniono mecz krykieta między angielskimi szkołami dla chłopców, ale... usiadł na nim labrador, zamieniając tort w bałagan, czyli mess.

A słynne naleśniki suzette przez przypadek wynalazł uczeń w restauracji Café de Paris w Monte Carlo Henri Charpentier, który zupełnie jak syn mojej przyjaciółki eksperymentował ze słodkim sosem (składającym się z masła, skórki pomarańczowej, cukru i mocnych likierów) tak długo, aż ten się zapalił. Niezwykłe naleśniki przypadły jednak do gustu księciu Walii, a Henri zyskał światową sławę. O ile dobrze pamiętam, synowi przyjaciółki w nagrodę zakazano na jakiś czas wstępu do kuchni. Mam nadzieję, że na krótko.

Łukasz Modelski, „Pyszne przypadki. Niewiarygodne historie słynnych dań", wyd. Dwie Siostry

Fot. Shutterstock

WILCZYM OKIEM

Czyżnie

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Pośród rozmaitych zbiorowisk roślinnych czyżnie należą do grupy, którą lubię szczególnie. Może zresztą nie jest to trafne określenie, bo każde zbiorowisko ma swoje miejsce w przyrodzie, zalety oraz rolę do odegrania i nie powinno się ich lubić lub nie. Powiedzmy więc, że należą do miejsc przyciągających moją uwagę. Czym są?

Czyżnie to na ogół niewielkie kępy zarośli przeważnie o kilkuarowej powierzchni. Występują wśród pól, wzdłuż miedz, na skraju lasów, w miejscach ciepłych, słonecznych, suchych. W kontekście zmian klimatycznych (dodajmy – jednego z możliwych kierunków zmian) ich znaczenie może więc rosnąć.

Czyżnie są warte uwagi nie tylko z powodu prognoz na przyszłość. Również dziś mimo niewielkich powierzchni, odgrywają istotną rolę w ekosystemie.

W skład grupy gatunków, które tworzą to zbiorowisko, wchodzą: śliwa tarnina, dereń świdwa, leszczyna pospolita, szakłak, głóg jedno- i dwuszyjkowy, niekiedy także jeszcze kilka gatunków. Wszystkie mają postać krzewów, ewentualnie przybierają na wpół drzewiasty charakter. Dorastają do wysokości kilku metrów, rosnąc przy tym bardzo gęsto.

Wszystkie też, z wyjątkiem leszczyny, mają ciernie, szczególnie twarde i ostre u tarniny. Jeżeli ma się pecha, przebiją nawet grubą podeszwę (cierni, będących skróconymi pędami, nie mylmy z kolcami, innego rodzaju kłującymi tworami występującymi np. u róż).

Gęstość i ciernistość sprawia, że czyżnie są świetnym schronieniem, przede wszystkim dla drobnych zwierząt. Są wyjątkowo ważne na otwartej przestrzeni pól i łąk oraz nie mniej ważne na skraju lasu, gdzie uzupełniają i domykają ścianę lasu oraz współtworzą strefę ekotonową, przejściową pomiędzy lasem a terenem otwartym.

Czyżnie są miejscem rozrodu wielu gatunków. Tam gnieżdżą się pokrzewki cierniówki, makolągwy, tam dzierzby zakładają gniazda i tworzą swoje charakterystyczne spiżarnie z chrząszczami, jaszczurkami, ryjówkami i nornicami nabitymi na ciernie (dzierzba, ptak niewiele większy od wróbla, potrafi nie tylko upolować gryzonia, lecz także unieść go w powietrze).

Jesienią i zimą czyżnie są rezerwuarem owoców, a wiosną rozkwitają, przede wszystkim białymi kwiatami tarniny, przyciągając pszczoły i trzmiele oraz wiele gatunków motyli, których występowanie jest zależne od obecności ciernistych zarośli.

eprasa.pl 86d75865c9

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Anodina w polskiej policji

Rok temu Koalicja Obywatelska (Platforma Obywatelska, Nowoczesna, Inicjatywa Obywatelska, Partia Zieloni) wraz z PSL i Polską 2050 przejęły władzę. Przez ten rok cała ta nieudolna koalicja 13 grudnia udowodniła, że wcale jej nie zależy na Polsce i na jej obywatelach. Że liczy się tylko władza i zemsta na przeciwnikach politycznych, tym silniejsza, im częściej w ostentacyjnie jawny sposób łamią polskie prawo, od konstytucji RP poczynając. Nastąpiła recydywa patologicznej władzy z lat 2007–2015.

Mimo wyborczego zwycięstwa Prawa i Sprawiedliwości w Polsce wzorem innych europejskich państw zawiązała się rządowa koalicja egoistycznych, lewicowo-liberalnych partyjek. I tak Inicjatywa Polska, partia Barbary Nowackiej, dwa lata temu liczyła 3812 członków i sympatyków, w tym tylko 69 członków płacących składki partyjne. Jaki to odsetek wyborców uprawnionych do głosowania? 0,01 proc. A jednak rządzi, ale tylko dzięki koalicji z Tuskiem. „Polityczka, działaczka, informatyczka", jak o sobie mówi Nowacka, wcześniej przyjaciółka Janusza Palikota i jego partii Ruch Palikota, chwali się ostatnim wysokim wynikiem wyborczym. Głosowało na nią jako na część KO ponad 139 tys. wyborców, co się przekłada na 0,46 proc. uprawnionych do głosowania. Dziś jako „ministra" narzuca całej Polsce lewackie ideologie, a w szkołach podstawy programowe demoralizujące dzieci. Tak wygląda chora demokracja w praktyce. Agresywna mniejszość rządzi większością.

Przy okazji warto wiedzieć, że także inne partie to nikły procent wyborców. Zieloni mają 750 członków, Polska 2050 ponad 1 tys., Nowa Lewica 20 tys., o 10 tys. mniej niż dawne SLD, Lewica Razem – prawie 4 tys. członków, Nowoczesna – ponad 1,3 tys., a Konfederacja Wolność i Niepodległość dwa lata temu miała mniej niż 100 członków, z tym że Kluby Konfederacji zrzeszały ponoć ok. 20 tys. osób. Liczą się więc trzy główne partie: PSL – 87 tys. członków, PiS – 45 tys., PO – 24 tys.

Miniony rok pod rządami KO udowodnił, takie są fakty, że Polska przestała się rozwijać, gdyż najprawdopodobniej zagrażała interesom ekonomicznym Berlina, a polityka wewnętrzna Tuska i Bodnara skupiła się na tym, jak ostatecznie wykończyć, wyeliminować z życia politycznego opozycję, czyli PiS. Odebranie partyjnej dotacji, procesy sądowe, szkalujące artykuły i oskarżenia mają podtrzymać wciąż silne przekonanie elektoratu koalicji, że złodzieje będą ukarani. Złodzieje to oczywiście PiS, które przejmując władzę w 2015 r. po ośmiu latach rządów PO-PSL, zrezygnowało z rozliczeń prawdziwych złodziei za czasów Tuska. I w interesie obywateli ruszyło naprzód, koncentrując się na naprawie państwa i polepszeniu bytu Polaków. Pozostał jednak raport opublikowany przez wydawnictwo Capital, w którym była premier Beata Szydło określiła lata rządów Tuska jako: „Egoizm, marnotrawstwo, pogardę dla państwa i obywateli". Niedobrze się stało, że nie było rozliczeń, bo bezkarność deprawuje. Ale kto miałby rozliczać tę ekipę? Nadzwyczajna kasta sędziowska, prokuratura, policja? No i mamy recydywę.

Komisja Regulaminowa Spraw Poselskich i Immunitetowych jak większość sejmowych komisji rządzona przez przedstawicieli koalicji 13 grudnia pokazała ostatnio, czym jest dla niej prawo, a tym bardziej dobre obyczaje. Dlatego warto przypomnieć starą rzymską sentencję: *quid leges sine moribus* – cóż warte prawa bez obyczajów. Komisja pozytywnie rozpatrzyła wnioski komendanta głównego policji o wyrażenie zgody na pociągnięcie posłów PiS Jarosława Kaczyńskiego, Anity Czerwińskiej i Marka Suskiego do odpowiedzialności karnej. Występująca w imieniu komendanta policjantka do znudzenia odczytywała tekst niejakiego Komosy ze zniszczonej ponoć tabliczki umieszczonej we wnętrzu zniszczonego ponoć wieńca. Ten tekst oskarża śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego o spowodowanie katastrofy smoleńskiej, co jest niezgodne z prawdą, a nawet trzema wyrokami sądów powszechnych. Ale to nie Komosa i jego bojówki są oskarżane o nienawiść i agresję, comiesięczne zakłócanie uroczystości uczczenia ofiar zamachu smoleńskiego, prowokacyjny, niezgodny z prawdą tekst szkalujący śp. prezydenta, ale wspomniani parlamentarzyści czy rodziny ofiar. Posłuszna ministrowi spraw wewnętrznych Tomaszowi Siemoniakowi policja wsparła prowokatorów, wspomogła sejmową większość i doprowadziła do odebrania posłom ich immunitetów za rzekome naruszenie przepisów karnych o wykroczeniach.

W ten sposób policja upowszechnia rosyjską wersję zamachu smoleńskiego. Winny śmierci 95 ofiar jest śp. Lech Kaczyński, który „ignorując wszelkie procedury, nakazał pilotom lądować w Smoleńsku w skrajnie trudnych warunkach". Policjantka, wykonując rozkaz komendanta, weszła w buty rosyjskiej gen. Tatiany Anodiny, tej od badania wypadków lotniczych. I tak Polska pod rządami koalicji dryfuje starym kursem – w stronę Rosji Putina, co niespecjalnie przeszkadza Niemcom kanclerza Olafa Scholza.

www.wojciechreszczynski.pl

OGNIEM NA WPROST

Rozgoryczona Ukraina

Andrzej Rafał Potocki

Na ukraińskim portalu pravda.com.ua ukazał się ważny artykuł Mychajły Dubynianskiego „Bułhakow i sprzymierzeńcy Ukrainy". Jest to nawiązanie do myśli ze znanej książki Bułhakowa o czasach rewolty bolszewickiej 1917 r. „Biała Gwardia", w której pada stwierdzenie: „Jeśli ci powiedzą, że sprzymierzeńcy spieszą nam z pomocą, nie wierz. Sprzymierzeńcy to szumowiny". Autor nie ukrywa rozżalenia na sojuszników walczącej Ukrainy, które jest charakterystyczne dla stanu świadomości patriotycznej większości obywateli tego kraju. Sceptycyzm, rozczarowanie, obraza, najróżniejsze pretensje do USA i Europy przysłoniły autentyczną wdzięczność – uczucie, które przeważało w 2022 r. Dziś na Ukrainie w dobrym tonie jest kopanie „kulawej kaczki", czyli prezydenta USA Joe Bidena. Zarzuca się mu hipokryzję, tchórzostwo oraz polityczną impotencję. Spóźnione zezwolenie na wykonywanie uderzeń w głąb Rosji z użyciem rakiet dalekiego zasięgu nie za bardzo zmiękczyło serca jego ukraińskich krytyków. Podobnie jak pomoc wojskowa, która jest dozowana w ilościach niewystarczających do pokonania agresora. Ciągłe tłumaczenia zarówno Białego Domu, jak i europejskich przywódców o groźbie eskalacji konfliktu doprowadziły do długotrwałej, krwawej wojny, choć dzięki odpowiedniemu wsparciu militarnemu można było ją zakończyć jeszcze w 2022 r. Rozgromienie demokratów w listopadowych wyborach w USA zostało więc odebrane przez wielu Ukraińców ze złośliwą satysfakcją. Uważają oni, że Białemu Domowi należała się porażka jako kara za niezdecydowanie i niekonsekwencję w kwestii ukraińskiej. Zwycięstwo nieprzewidywanego Donalda Trumpa często jest natomiast interpretowane zgodnie z porzekadłem: „Lepsze koszmarne zakończenie niż koszmar bez końca".

Oberwało się też (niezasłużenie) nam, Polakom. Polska, który dwa lata temu była uważana za prawdziwą siostrę Ukrainy, już zdążyła rozczarować Tryzubów. W odpowiedzi na słowa o tym, że nasz kraj nie robi wszystkiego co możliwe dla zwycięstwa Ukrainy, Władysław Kosiniak-Kamysz, wicepremier rządu i minister obrony, oskarżył Ukraińców o niewdzięczność i „krótką pamięć". „Może jednak to polski minister ma rację? – zastanawia się autor tekstu – Może naprawdę nie doceniamy pomocy Zachodu? Może współcześni Ukraińcy, którzy powielają zdanie Bułhakowa o tym, że »sprzymierzeńcy to szumowiny«, nie mają do tego rzeczywistych podstaw?" Jeśli chodzi o Zachód, to rozczarowanie ukraińskich patriotów jest uzasadnione. Co do nas, to obrywamy rykoszetem.

„Udział w pełnoskalowej wojnie wyczerpałby zasoby ludzkie w brytyjskiej armii w zaledwie sześć miesięcy" – stwierdził wiceminister obrony Wielkiej Brytanii Alistair Carns. Mając na myśli wojnę na Ukrainie, jest on zdania, że w ciągu 6, maksymalnie 12 miesięcy brytyjska armia byłaby właściwie całkowicie wyłączona z funkcjonowania. „Swoje przewidywania oparł na statystykach mówiących o dziennych rosyjskich stratach na Ukrainie. Obecnie średnio ma tam dochodzić do eliminacji nawet 1,5 tys. Rosjan (zabici plus ranni)" – zauważa portal defence24.pl. Zdaniem ministra Carnsa brytyjskie władze muszą poważnie rozważyć kwestię wzmocnienia rezerw. „Rezerwiści są absolutnie kluczowi. Bez nich nie możemy generować masy, nie możemy sprostać natłokowi zadań obronnych" – powiedział. Według stanu na 1 października brytyjskie wojska lądowe liczyły 109 245 żołnierzy, w tym 25 814 ochotników rezerwistów. Liczbowo armia Wielkiej Brytanii jest najmniejsza od XVIII w. Dla porównania Wojsko Polskie posiada ok. 200 tys. żołnierzy. Ten problem również stoi przed naszymi siłami zbrojnymi. Jak do tej pory każdy z obecnych rządów boi się nawet mówić o przywróceniu poboru. W tym przypadku trudno powiedzieć, że „mowa jest srebrem, a milczenie złotem".

Front. Praktycznie bez większych zmian poza odcinkiem donieckim. Moskale kontynuują obchodzenie Pokrowska od południa, tak by znaleźć się na zachodnim podejściu do miasta i odciąć drogi zaopatrzenia. Kontynuują też marsz na zachód na całej linii od Pustynki do Słońcówki. Ponieważ zajęcie Słońcówki i atak z północy na Stare Terny się nie powiodły, Moskale przeszli linię kolejową w Berestkach i północnym brzegiem zalewu chcą dojść do Starych Tern, żeby wyjść na tyły garnizonu w Kurachowem. Którego być może (poza grupami sił specjalnych) już w mieście nie ma. Widać, że Moskale nie atakują bezpośrednio umocnień, tylko je obchodzą. Równie dziwna sytuacja jest na południe od Wołczy. Niby Moskale posuwają się do przodu, ale stracili impet, choć nie wiadomo o jakichś wielkich walkach w tym rejonie. Jakby się pogubili i nie za bardzo mieli pomysł, co dalej. A w samej Federacji Moskiewskiej wzrosła cena za bojca. Obecnie to 2 mln rubli (przynajmniej) jednorazowej wypłaty i 210 tys. miesięcznie (w przeliczeniu: 75 tys. i 8 tys. zł). Zameldowali się nawet Huti z Jemenu. Mało im u siebie, to szukają guza na antypodach.

Współpraca: „Skipper"

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 86d75865c9

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Oblężenie

Aleksander Nalaskowski

Nic, co ma miejsce w rządzie i żadna ważna decyzja resortowa nie dzieje się bez wiedzy Tuska. To urodzony zamordysta i bezwzględny gracz. Wbrew retoryce los obywateli jest mu najgłębiej obojętny, a większość energii angażuje w polityczne rozgrywki i zagrywki. Chce kontrolować wszystko i jestem przekonany, że doskonale wiedział o zmianach w polskiej oświacie i dał Nowackiej przyzwolenie na bezrozumne działania. Barbary Nowackiej nie posądzam o rozum, ale o posłuszeństwo wobec pryncypała i owszem. Dostała zadanie oraz przyzwolenie na rozprawienie się z polską edukacją i skwapliwie wykonuje to zadanie.

Szkoła została osaczona z czterech stron i przyglądając się działaniom obecnego MEN nietrudno odnieść wrażenie, że idzie o kompletną destrukcję systemu oświaty, podcięcie go u samych podstaw. Proponowane plany uderzają w dwa dobra narodowe. Jednym jest oświata, a drugim, jakże ważnym, polskie dzieci.

Tak naprawdę walka toczy się o ocalenie dzieci i dzieciństwa, o prawo dzieci do normalności

Szkoła à la Nowacka ma nie reprodukować wiedzy tożsamościowej, wiedzy związanej z Polską i jej historią. Przeorano spis lektur i programy nauczania tak, aby szkoła wypuszczała absolwentów tak samo tępych, jak szefowa MEN. Wiedza o Polsce, o wielkich Polakach, o polskiej historii i literaturze została wyprana z polskości oraz tego, co ważne. Historia ma być nudna i niepotrzebna, bo znacznie ważniejsza będzie informatyka i posługiwanie się sztuczną inteligencją.

Druga strona sabotażu szkoły to jej system dydaktyczny. Zakaz zadawania prac domowych i ograniczenia w systemie oceniania jest uderzeniem nie tylko w proces dydaktyczny, lecz także wychowawczy w szkole. Zadania domowe uczą systematyczności, odpowiedzialności, operowania wiedzą, a wreszcie jej utrwalaniu. Nieocenianie ich jest niemal równoznaczne z ich jałowością. Stają się nieobowiązkowe, co w większości przypadków oznacza zwykłe nieuctwo. Część rodziców próbuje sobie z tym radzić, urządzając dzieciom szkołę w domu. Cierpliwie przerabiają z pociechami materiał, próbując jakoś zniwelować szkody wyrządzane przez Nowacką. Znam takie rodziny, ale nie wiem, na jak długo wystarczy im cierpliwości.

Trzecia strona sabotowana przez MEN to religia w szkole. Redukcja godzin, planowanie zajęć na pierwszej lub ostatniej lekcji (co stanowi wyraźną zachętę, aby nie chodzić na religię), pomysł na klasy łączone to zamach na skuteczne przekazywanie wiedzy o chrześcijańskim systemie wartości, na którym jest oparta cała cywilizacja europejska i nie tylko europejska. Szkoła ma być proeuropejska, ale wypatroszona z tego, co tak naprawdę stanowi Europę. Rozumienie tego jest dla Nowackiej po prostu niedostępne. Tępota bowiem może wygenerować tylko tępotę i to się właśnie dzieje.

Czwarta sabotowana strona szkoły to jej wymiar ściśle ideologiczny. Jak każda instytucja szkoła jest zobowiązana do przestrzegania konstytucji. Ale Tusk i cała jego ekipa mają za nic ustawę zasadniczą i niemal codziennie Bodnar bije im brawo z tego powodu. Są sfery, do obecności w których szkoła jest niepowołana, a konstytucja oddaje pierwszeństwo rodzicom. Taką sferą jest wychowanie, w tym rozwój seksualności dziecka. Tu jest miejsce tylko dla rodziców, działań, rozmów w obrębie rodziny. Przeniesienie tego na grunt szkolny to podpalenie lontu w materiale wybuchowym i naruszenie konstytucji. Propozycja, aby zajęcia o seksualności prowadzili zewnętrzni edukatorzy może być też furtką do wpuszczenia do szkoły ambasadorów zboczeń i dewiacji.

Cztery strony tego oblężenia to również cztery strony odpowiedzialności nauczycieli, a wreszcie pozbawianie ich misji resztek sensu. Coraz mniej absolwentów szkół wyższych chce pracować w szkole. Mamy wyraźny deficyt powołań do tego zawodu. Brakuje nauczycieli. Działania Nowackiej jeszcze zwiększają ten deficyt, co oczywiście zepchnie szkołę na poziom bliższy dna.

Jak nigdy dotąd nauczyciele mogą się słusznie zbuntować, mogą nawet zastrajkować, żądając ustąpienia Barbary Nowackiej ze stanowiska, mogą żądać cofnięcia szkodliwych zmian. To rzesza licząca niemal 700 tys. osób! Jej głos byłby słyszalny w całej Polsce.

Wreszcie ogromną siłą są rodzice. Tak naprawdę szkoła boi się tylko ich. Manifestacja na pl. Zamkowym była ważna i potrzeba, ale dalece niewystarczająca. Ten rząd, a szczególnie Tusk, są impregnowani na głos ludu. Trzeba więc wywierać presję na dyrektorów, na wychowawców klas, od jednych i drugich trzeba wymagać rozumnego i etycznego działania.

Tak naprawdę walka toczy się o ocalenie dzieci i dzieciństwa, o prawo dzieci do normalności. Nie możemy sobie pozwolić na utratę całego pokolenia tylko dlatego, że Nowacka (czytaj: Tusk) tak chce.

eprasa.pl 86d75865c9

Michał Korsun prezentuje:
Deweloperski Black Friday, czyli mieszkanie ze wszystkimi rabatami

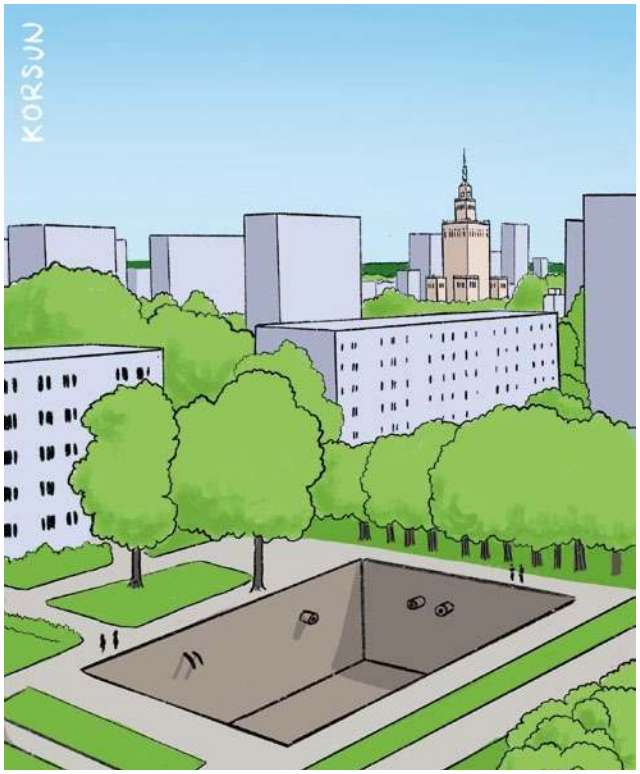

Wycinki z przeszłości

W „Kuryerze Literacko-Naukowym" datowanym na 25 grudnia 1929 r. znajdujemy ciekawy opis wigilijnych zwyczajów dawnych lat. „Trudno byłoby wyliczać ilość i jakość poszczególnych dań, jakie musiały się znaleźć koniecznie w dniu wigilijnym na stole. Koronę wszakże stanowiły strucle. Bez strucli żadne, najuboższe nawet gospodarstwo nie mogłoby się obejść, a piekarze warszawscy wysadzali się szczególnie z tym pieczywem i nie tylko walczyli o lepsze pomiędzy sobą, ale tworzyli arcydzieła takie, że na ich oglądanie zbiegało się całe miasto.

Za króla Jana III Sobieskiego, pisze jeden ze współczesnych mieszczan warszawskich, był na jego dworze piekarz Józef Smoliński, który w 1681 r. na wigilię Bożego Narodzenia upiekł tak ogromną struclę, jakiej dotąd nikt nie widział. Celem oglądnięcia tego dziwu zbiegło się niemal całe miasto. Na strucli bowiem ułożył piekarz z migdałów, rodzynków i różnych bakalii tak udatny wizerunek królowej Marii Kazimiery, iż uważano go za wyborne malowidło albo najwyborniejszą florencką mozaikę. Oboje królestwo uradowani z takiego prezentu obdarzyli Smolińskiego znaczną kwotą pieniężną, za którą zacny piekarz zakupił u różnych gospodyń wielką ilość strucli i porozdawał".

Piękny gest, aż ślinka leci!

(mk)

KURYER
LITERACKO - NAUKOWY
Gdy się Chrystus rodzi...!
W WIGILIJNY WIECZÓR.

Z WOLEJA

Armia Czerwona z Cypru, milcząca UEFA i Polak z jajami

Ryszard Czarnecki

W sezonie 2024/2025 w europejskich pucharach polskie kluby piłkarskie idą jak burza. Legia Warszawa jako jedyna nie straciła gola oraz wygrała wszystkie mecze, mając stosunek bramek gorszy tylko od legendarnej londyńskiej Chelsea, której właścicielem na szczęście nie jest już Rosjanin Roman Abramowicz, były gubernator Czukotki, kumpel Putina. Natomiast Jagiellonia Białystok wygrała prawie wszystkie mecze poza jednym – zremisowanym. Oba polskie kluby mają szansę na bezpośredni awans bez gry w barażach i oczywiście na wielkie pieniądze.

Polskim kibicom najbardziej mógł smakować (ze względów pozasportowych) piłkarski nokaut Legii na Cyprze. Wygrana 3:0 cieszy, tym bardziej że na trybunach zawisły antypolskie transparenty. Kibice Omonii Nikozji to lewacy, którzy często czczą komunistów – od Lenina po Fidela Castro. Pod tym względem przypominają niemieckie St. Pauli z Hamburga oraz włoskie Livorno. Tamte kluby też są znane ze swoich lewicowych fanów, ale ten z Cypru przebija tych z RFN i Italii skrajnym chamstwem i bezceremonialnym fałszowaniem historii. Gdy parę lat temu Omonia grała w europucharach z białostocką Jagą, wywiesiła jeden z najbardziej skandalicznych transparentów w historii europejskiej piłki. „Goniliśmy was aż do Berlina" – głosił napis. Cypryjczycy zaliczyli więc Polaków do sojuszników Niemców podczas II wojny światowej!

Tym razem legionistów przywitał transparent: „Armia Czerwona wyzwoliła Warszawę". Żeby było jeszcze głupiej, były też transparenty z podobizną Józefa Stalina (!), sierpa i młota oraz Che Guevary.

UEFA, czyli Europejska Federacja Piłkarska, właśnie ukarała za „polityczne transparenty"... Legię Warszawa. Podczas meczu z Dynamem Mińsk jej kibice upomnieli się o Polaków prześladowanych na Białorusi. Na razie ta sama UEFA jakoś nie ukarała Omonii.

W klubie z Nikozji gra dwóch Polaków. Jeden z nich, Mariusz Stępiński, uznał, że ważniejsza jest lojalność wobec ojczyzny niż wobec klubowych fanów. Stwierdził, że ludzie, którzy wywiesili transparent o Armii Czerwonej, „nie są do końca świadomi historii, nie wiedzą, jak było naprawdę". I dodał: „To było skandaliczne zachowanie, należy je stanowczo potępić i trzeba o tym mówić". W odpowiedzi miłośnicy Armii Czerwonej z Cypru zażądali od klubu ukarania Polaka.

Stępiński pokazał, że ma jaja, a kibice Omonii, że są ahistorycznymi debilami.

eprasa.pl 86d75865c9

OD A DO ZYBERTOWICZA

Spitfire i historyczne błędy

Dobre kilka lat temu kupiłem sobie uszytą przez polską firmę marynarkę z wpiętym w lewą klapę małym samolocikiem. Czasem ktoś pyta, co to za przypinka i dlaczego ją noszę. Dawniej pytania zbywałem żarcikami, takimi od czapy. Ale pewnego razu pasjonat dziejów polskiej wojskowości zwrócił mi uwagę, że to nie jest taki sobie samolocik – wbrew swej prostocie jest to model konkretnego i swego czasu nawet kultowego brytyjskiego jednoosobowego samolotu myśliwskiego Spitfire.

PRZYPOMNIAŁEM SOBIE…

…wtedy, że w latach młodzieńczych sporo czytałem o słynnym polskim Dywizjonie 303, którego piloci latający m.in. na myśliwcach Spitfire, walcząc w bitwie o Anglię, uzyskali liczbę zestrzeleń niemieckich samolotów znacznie powyżej średniej pilotów innych formacji.

W MUZEUM RAF

Gdy dwa lata temu byłem z synem w Londynie, wybraliśmy się do imponującego muzeum brytyjskiej Royal Air Force, czyli lotnictwa. Zupełnie bez pośpiechu przez całe popołudnie obejrzeliśmy chyba wszystko.

W jednym z wielkich hangarów stały samoloty z okresu II wojny światowej, a wśród nich właśnie oryginalny myśliwiec Spitfire. Nie mogłem się oprzeć. Wszedłem pod samolot, wypiąłem z klapy marynarki mój samolocik, spojrzałem od dołu – sylwetki zgadzały się idealnie.

LOT DO WARSZAWY

Już wracając naszym LOT-em do Warszawy, przypomniałem sobie, że Polska była krajem, którego żołnierzy nie zaproszono do udziału w londyńskiej defiladzie zwycięstwa, która odbyła się w czerwcu 1946 r. Jedyną polską grupą bojową zaproszoną do udziału byli piloci Dywizjonu 303, którzy mieli maszerować w szeregach RAF. Ale odmówili po tym, jak innych polskich oddziałów nie zaproszono. Mimo tylu dokonań i ofiar na wielu frontach tej wojny.

Widzę potrzebę przeanalizowania źródeł powtarzającej się nieskuteczności polskiej polityki zagranicznej

Uświadomiłem sobie też poczucie bycia zdradzonym, które Polacy musieli przeżywać jesienią 1939 r., gdy okazało się, że zachodni sojusznicy – Francja i Wielka Brytania – nie przyszli nam z pomocą na czas, gdy armie Hitlera można było jeszcze względnie łatwo pokonać.

„GWARANCJE" I PŁONNE NADZIEJE

Nieco później pomyślałem o entuzjazmie i poświęceniu, z jakimi miliony polskich rodzin przyjęły uchodźców z zaatakowanej przez Rosję w 2022 r. Ukrainy. I konkretną, nie tylko militarną, pomoc przekazaną Ukrainie. I szybkość, z jaką polskie państwo uruchomiło hub logistyczny w Rzeszowie, aby pomoc niektórych państw członkowskich NATO docierała niezwłocznie.

A za chwilę przyszła myśl, jak bardzo nieroztropną (pozostańmy przy tym określeniu) politykę przyjęli ukraińscy politycy wobec naszych postulatów ekshumacji ofiar tragedii wołyńskiej, oraz zagrywki wokół eksportu zboża przez terytorium Polski.

PO SZKODZIE MĄDRY?

Ale odłóżmy to na bok. Błędem by było, gdybym próbował tu bawić się w jakąś kolejną odsłonę naszej martyrologii. Moje intencje są odmienne. Widzę potrzebę systematycznego znalezienia i przeanalizowania głębszych źródeł powtarzającej się nieskuteczności polskiej polityki zagranicznej. Owej niezdolności naszej klasy politycznej do wyciągania na czas wniosków z popełniania błędów tego samego typu. Jak to miałoby wyglądać? Na przykład tak…

SEMINARIUM ANALITYCZNE

Powołajmy w jakiejś placówce – akademickiej? think tankowej? – seminarium interdyscyplinarne, np. historyczno-politologiczne. Takie, na którym kolejno, przypadek po przypadku, gruntownie by przeanalizowano wpadki Rzeczypospolitej w polityce zagranicznej. Zwłaszcza te, gdzie można mówić, że jakiś inny kraj, traktowany przez nas jako sojusznik, poważnie zawiódł nasze zaufanie. Efektem prac seminarium powinna być rozbudowana kolekcja szczegółowych studiów przypadku. Jednak nie w celu historycznym, ale nader praktycznym.

KONIECZNY WARUNEK…

…który powinno spełnić każde opracowanie w takim tomie, to analiza pod kątem rozpoznania ówczesnych *naszych* błędów w ocenie sytuacji, a następnie – obowiązkowo – zaproponowanie instytucjonalnych środków zaradczych. Takich, które jak najszybciej powinno podjąć państwo polskie, byśmy znowu nie zostali przez kogoś oszukani!

Andrzej Zybertowicz

Autopromocja x2

eprasa.pl 86d75865c9

„Człowiek rodzi się nie sobie, lecz dla swojej ojczyzny”

Andrzej Frycz Modrzewski

Wesprzyj patriotyczne media

wPolsce24

Dane do wpłat:
Fratria Sp. z o.o.

Konto do wpłat z Polski:
69 1020 4900 0000 8202 3036 2577

Konto do wpłat zagranicznych:
BIC (SWIFT): BPKOPLPW
PL69 1020 4900 0000 8202 3036 2577

w tytule: **DAROWIZNA**

Twoje dane osobowe będą przetwarzane zgodnie z polityką RODO

eprasa.pl 86d75865c9

Świąteczna prenumerata tygodnika SIECI

Zyskujesz najwięcej!

47% rabatu

Biograficzna książka w prezencie

120 książek w prezencie

Teraz prenumerata 26 zł taniej

(od 1 stycznia 2025 r. cena wzrośnie do 375 zł)

Zwyczajni święci Polacy

10 życiorysów zwykłych Polaków, którzy zaufali Bogu i dokonali rzeczy wielkich.

Niektórych dobrze znamy z historii (Witold Pilecki czy Romuald Traugutt), o innych ciągle wiemy zbyt mało (Józef Ulma czy Jerzy Ciesielski)

264 strony | biografie 10 wielkich Polaków | inspirująca lektura na adwent

Zamów już dziś z rabatem 47% i o 26 zł taniej niż w przyszłym roku!

www.sieciprawdy.pl/prenumerata

Roczna prenumerata SIECI z książką w prezencie **teraz za 349 zł**

Przed zamówieniem prenumeraty upewnij się, że promocja jest nadal dostępna:
prenumerata@fratria.pl | tel. 22 616 36 00 w godz. 14-16

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria Sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując pełne dane adresowe do wysyłki.

eprasa.pl 86d75865c9